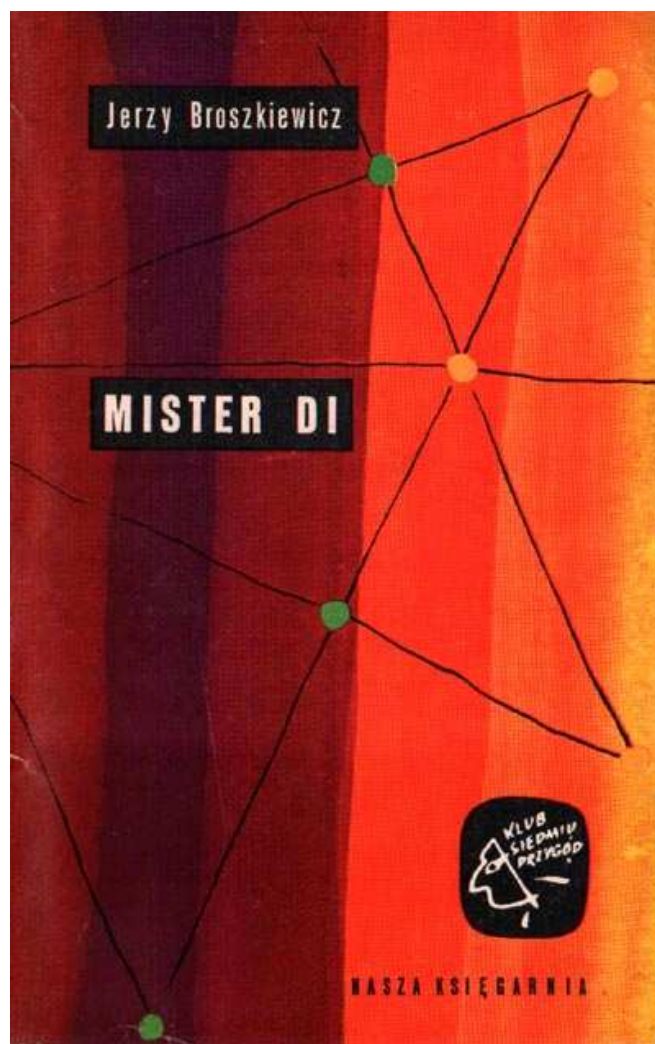


JERZY BROSKIEWICZ

MISTER DI



INSTYTUT WYDAWNICZY „NASZA KSIĘGARNIA” WARSZAWA 1978

1

Szeryf Lordsburga, dwudziestoletni John Baker, szedł środkiem opuszczonej ulicy. Niebo było szare od upału.

Szeryf szedł krokiem powolnym i lekkim, mimo to spod jego stóp podnosiły się małe obłoczki kurzu. Jasna koszula zawilgła od potu. Zbrązowiła od słońca i szminki twarz spływała wielkimi kroplami. Spod uchylonych warg błyskały olśniewająco białe zęby — jakby uśmiechał się do własnej śmierci.

Oto bowiem z głębi ulicy nadchodził Big Colosimo. Czarna koszula, czarne sombrero. Pas nabijany srebrem i złotem. W olstrach wykładane perłową inkrustacją kolby dwóch czterdziestek piątek — a tuż nad nimi smukłe palce szulera. Spojrzeliśmy z bliska w tę twarz. Spod białego czoła i czarnych brwi patrzyły oczy mordercy. Kąciki wąskich ust Colosima podniosły się w górę, szyderczo, bez litości. Cały Teksas, cały Lordsburg mogłyby postawić tysiące dolarów przeciw zgniłym orzechom, że młodziutki szeryf nie ma cienia szans w walce z najokrutniejszym rewolwerowcem Teksasu.

W końcu obaj przystanęli. Usłyszeliśmy jasny głos szeryfa:

— *Hands off*, precz z rękami, Colosimo — powiedział łagodnie — i rzuć te zabawki na ziemię. W tym miasteczku nikt nie ma prawa nosić broni bez mego zezwolenia.

Colosimo w szczerym rozbawieniu pokazał wszystkie zęby. Milczał. Milczał i czekał.

Z najbliższego okna wychyliła się jasnowłosa dziewczyna o twarzy smutnego anioła, o oczach lśniących od łez.

— Johnny! — wołała łamiącym się głosem. — Zostaw go! Błagam!

W gruncie rzeczy był to pomysł idiotyczny wołać w takiej chwili. Niechby Johnny choć na ćwierć sekundy odwrócił oczy — Czarny Colosimo zaliczyłby sobie osiemdziesiątego czwartego trupa. Na szczęście szeryf był mądrzejszy od swojej złotowłosej Kate. Zmrużył tylko oczy.

— On zabił twego ojca, dziewczyno — rzekł.

Colosimo roześmiał się bezgłośnie.

— Brata też — szepnął.

— Słyszysz? — krzyknął Johnny.

— Och, Johnny! — szlochała Kate. — Och, Johnny!

Powziąłem decyzję. Nie mogłem dłużej patrzeć na tę scenę. Wiedziałem, że za chwilę rozpocznie się strzelanina. Było to tak pewne, jak teoria względności. Tymczasem ból głowy dokuczał mi coraz bardziej bezlitośnie.

W zasadzie lubię dobre westerny. Ale ten należał do taśmowej produkcji klasy C. Wiedziałem, że po dwóch lub trzech minutach pukania z coltów — Colosimo zacznie broczyć krwią. A w chwilę później Kate padnie w ramiona szeryfa, który zdobędzie tego dnia sławę, dziewczynę, jak również rancho jej ojca zagarnięte przed rokiem przez Czarnego Colosimo.

Wstałem z fotela, przeprosiłem sąsiada i ruszyłem wprost przed siebie, w stronę baru i salonu pierwszej klasy. Nim zdążyłem zamknąć drzwi do baru, posłyszałem pierwsze strzały.

W barze czule szeptał przez radio swoją najnowszą piosenkę George Harrison. Za ladą stała stewardesa, urocza dziewczyna o kreolskiej urodzie. Powitała mnie uśmiechem, ale w jej oczach mignął cień popłochu. Zapewne nie wiedziała, w jakim języku się do mnie zwrócić. Boeing 707, w którym od dwu już godzin lecieliśmy nad Atlantykiem, należał do Szwajcarskich Linii Lotniczych. Stewardesy tych linii zobowiązane są zatem do znajomości trzech języków używanych w Szwajcarii (francuski, niemiecki, włoski) oraz angielskiego i któregoś

jeszcze z europejskich, jako że Genewa, port macierzysty boeinga, był lotniskiem tranzytowym dla całej środkowej i wschodniej Europy do połączeń z obu Amerykami.

„A więc — pomyślałem — jaki jest ten twój piąty język, kochanie: hiszpański czy rosyjski? portugalski czy rumuński?”

Nie chcąc dłużej męczyć ślicznej dziewczyny uśmiechnąłem się po polsku, ale o proszek od bólu głowy poprosiłem po angielsku. Odpowiedziała uśmiechem nadzwyczaj współczującym. W ciągu sekundy pojawiły się na jej dłoni pięknie opakowane pastylki.

— Czym pan zechce popić lekarstwo? — spytała.

Wskazała ruchem dłoni półki baru zastawione co najmniej stoma butelkami o efektywnych naklejkach i jeszcze bardziej obiecującej zawartości.

Początkowo miałem na myśli jedynie sok owocowy. Najchętniej grejpfrut. Ale pod kością czołową mojej głowy od dłuższego już czasu spacerował jakiś ohydny krasnoludek w stalowych kapciach, tupiąc po umęczonych szarych komórkach i kopiąc od środka to w jedną, to w drugą skroń.

Właśnie kopnął w lewą.

Pomyślałem za udręką, że chyba dziewczyna ma rację, że przydałoby mi się jednak coś na rozszerzenie naczyń. I oto nad głową stewardesy błysnęła złota siatka butelki starego Napoleona — koniaku firmy Salignac.

Od wczesnej młodości żywiłem szczerą niechęć do cesarza Napoleona I, przede wszystkim za jego obrzydliwą grę z Księstwem Warszawskim. Od kilku jednak lat przekonałem się do tego drugiego Napoleona — zamkniętego w pękatej butelce i oplatającej ją złotej siatce.

Poprosiłem więc o sok z grejpfruta i podwójnego Napoleona.

Krasnoludek znów kopnął, tym razem w prawą skroń.

„Czekaj no” — pomyślałem sobie. Przełknąłem dwie bardzo gorzkie pastylki. Spłukałem ich smak łagodną goryczą soku. W końcu upiłem drobny łyk koniaku. Już po minucie poczułem, że krasnoludek jakby osłabł. Posłałem mu więc jeszcze jeden łyk. Uśmiechnąłem się dziękczynnie do stewardesy. Spytałem, czy salon pierwszej klasy jest pusty.

— Tak, bardzo proszę, sir — usłyszałem.

Westchnąłem z leciutkim żalem. Dziewczyna była piękna jak sen o raj. Ale i tak wiedziałem, że żadne słodkie uśmiechy na nic się tu nie dadzą. Stewardesę można ostatecznie poprosić o rękę. Wszelkie zaś inne uwodzicielskie zagrania grożą tylko ośmieszeniem. A zresztą (co najważniejsze) od dwudziestu lat jestem żonaty z mądrą i uroczą kobietą. Mam też syna, który zaczyna być mężczyzną.

Skłoniłem się więc bez słowa i przeszedłem do salonu. Jak miło: kilkanaście pustych foteli, stół, stoliki, prasa trzech kontynentów, łagodne światła, łagodna cisza.

Rozsiadłem się w fotelu pod oknem. Spojrzałem w noc atlantycką — aksamitną czerń w dole, w górze drżące światła gwiazd.

— A widzisz?

Było to skierowane pod adresem owego cholernego krasnoludka o żelaznych kapciach. Wreszcie go gdzieś poniosło. Bardzo rzadko cierpię na bóle głowy, ale za to tym razem dostało mi się ponad miarę.

Wracałem do domu z drugiej strony świata, bo aż z Rio. Kongres FAO *, na który znów mnie delegowano, trwał dziesięć dni. Dziesięć dni bez żadnej taryfy ulgowej — od dziewiątej rano do dziewiątej, dziesiątej wieczorem, jeśli nie do północy.

Trzy dni sesji ogólnej, siedem dni pracy w komisjach. Sześć dni upałów — wiadomo: zima. Nie było nawet czasu ni okazji na dokładniejsze obejrzenie wspaniałego miasta. Dopiero ostatniego dnia obwieziono nas autokarami. Wpierw po śródmieściu i nadmorskiej dzielni-

* FAO (*Food and Agriculture Organization*) (ang.) — Organizacja do Spraw Wyżywienia I Rolnictwa.

cy, w końcu zawędrowaliśmy na słynną górę Christo el Re.

Dopiero wtedy zachwyciła mnie ogromna panorama miasta, wzgórz, zatoki, portu, złotych plaż i srebrnego oceanu. Byłem jednak mocno zmęczony. Autokar w powrotnej drodze spóźnił się o godzinę — ledwo zdążyłem na samolot. Organizatorzy kongresu obdarowali mnie biletem pierwszej klasy, ale i tak nie danym mi było odpocząć ani się zdrzemnąć. Współpasażerowie zażyczyli sobie filmu na dobranoc.

Tak to szeryf Lordsburga do spółki z Czarnym Colosimo i krasnoludkiem w żelaznych kapturach omal mnie nie utłukli. Na szczęście bar i salon były puste.

Łagodne światło, łagodna cisza. Uśmiechnąłem się ku milczącym gwiazdom: wracam do domu.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat zwiedziłem spory kawał świata. Czy zwiedziłem? Przesada. Uznano mnie za dobrego specjalistę, delegowano do FAO. Tłukłem się po komisjach, sesjach i kongresach. Początkowo ceniłem sobie owe podróże. W ciągu pierwszych pięciu lat zaliczyłem cztery kontynenty, trzydzieści stolic, cztery oceany.

Ostatnimi jednak laty to wszystko stało się dla mnie męczące. Z roku na rok coraz bardziej. Zeszłej wiosny zacząłem pisać pracę, na której bardzo mi zależało. Każdy zaś wyjazd burzył rytm roboty, odrywał od laboratoriów, bibliotek i pisania. Zacząłem się buntować. Nachodziłem ministerstwo, trafiłem do samego szefa resortu. Uprzejmie, lecz stanowczo poprosiłem o zdjęcie z moich zmęczonych ramion zaszczytnego obowiązku.

Minister współczująco kiwał głową. Wzdychał razem ze mną. Na koniec zaś z prawdziwie ministerialną obłudą orzekł, że świetnie mnie zrozumiał, ale trudno... jeszcze przez pewien czas nikt nie zdoła mnie zastąpić. Oczywiście była to nieprawda. Z miejsca podałem co najmniej dziesięć nazwisk. W odpowiedzi usłyszałem, że jestem wprowadzony w robotę jak nikt, że mnie znają, a ich nie, że oni — i owszem — są bardzo dobrzy, ale ja mam doświadczenie. I tak dalej, i tym podobnie.

Wydusiłem w końcu obietnicę, że jeszcze tylko rok — nie dłużej. Rok! Rok — czyli dwanaście miesięcy, czyli trzysta sześćdziesiąt pięć dni. A ile godzin? Przecież praca sama mi się nie napisze.

Postanowiłem wysyłać na siebie anonimy. Do komitetów, do departamentów, do ministra. Że jestem pijak, hochsztapler oraz erotoman.

Na nic! Po ósmym anonimie minister zadzwonił do mnie osobiście i poradził (chytrus!), żebym się z tymi anonimami nie wygłupiał, bo i tak muszę jechać na kongres do Rio. Jechać — a raczej lecieć.

Obecnie wracałem właśnie z owego Rio. Nad czarnym Atlantykiem, pod srebrzystym niebem, na wysokości czterdziestu tysięcy stóp, temperatura zewnętrzna minus pięćdziesiąt dwa stopnie. Wiedziałem wprawdzie, że zastanę dom jeszcze pusty, bo Krystyna i Marek (żona i syn) mieli wrócić z zimowych ferii dopiero w trzy dni po moim powrocie. Ale dom to jest dom.

Nawet w najlepszych podróżniczych latach i najpiękniejszych miastach świata zaczynało mnie ciągnąć do owego domu, mniej więcej już po dwóch tygodniach. Do żony i syna. Do pracy. Do przyciasnego mieszkania z widokiem na Wisłę, Powiśle i Wawel.

Do domu — czyli do bliskich i najbliższych, do swego kraju i miasta. Początkowo nikt poza Krystyną nie chciał wierzyć w moją rosnącą niechęć do podróży. Nie liczę znajomków ani nawet przyjaciół. Przecież własny mój ojciec rozhuśtał na ów temat całkiem rzetelną awanturę. Pohukiwał basem, trząsał nade mną spracowanymi rękami i siwą wiechą znad czoła. On przecież od czterdziestu czterech lat — mimo emerytalnego już wieku — ciągle nie mógł się rozstać ze swą parowozownią i kolejarskim fachem. Tak bardzo, od najwcześniejszych lat, ciągnęły go cztery strony dalekiego świata, podróże, tropiki, lody biegunów, piaski Sahary i śniegi Kilimandżaro. A oto ja — jedyny z trzech jego synów, który przeżył wojnę — ośmielałem się wydziwiać i grymasić, niczym głuchy szympanś na szopenowskim konkursie.

Przeprosiłem staruszka. Na drugi dzień on przeprosił mnie.

Ale i tak nie uwierzył — po prostu nie potrafił. Cieszył się natomiast bardzo, gdy przywoziłem mu z dalekich podróży jakieś egzotyczne drobiazgi — totemy, maski, muszle, wypchane ptaki, noże i sztylety, figurki, strzały, naszyjniki. Oczywiście nie stać mnie było na żadne oryginalne cuda. Kupowałem uczciwie sporządzone imitacje. Tym razem wiozłem dwie karnawałowe maski. Dwie — bo od czterech lat do zamówień ojca przyłączył się jego wnuk, czyli mój syn, Marek — zwany też „Homarkiem” (w domu) oraz „Tyką” (w ogólniaku). Albowiem tęsknota za dalekim światem przeskoczyła z dziadka na wnuka, z tym że Marek chyba wierzył w moją rosnącą niechęć do podróży, kongresów, misji, sesji i tym podobnie.

Był to całkiem niezły chłopiec: w szkole podstawowej widział przed sobą tylko jeden raj — Wyższą Szkołę Morską.

Zrezygnował z niej dopiero w liceum na rzecz chemii i matematyki. A poza taśmami do magnetofonu (najlepszy beat, Nowy Orlean, modern jazz i Bach) zbierał też atlasy oraz tomiki poezji wszystkich kontynentów. Jeśli chodzi o sport, sama nazwa „Tyka” wskazuje, że wszedł do koszykarskiej reprezentacji liceum jako obrotowy.

Cóż dalej o Marku? Jesienią tego roku kilka razy widziałem go z tą samą dziewczyną: szatynka, mądre zielone oczy, figura świetna, choć bardziej ze stadionu niż z żurnala. Sarni krok, piękny uśmiech. Ani Krystyna, ani ja nie pytaliśmy nawet o imię. Dopiero dzięki telefonowi („Dzień dobry, mówi Ela Jaroń, czy mogę prosić Marka?”) dowiedzieliśmy się co nieco.

Oczywiście w naszej obecności telefoniczna rozmowa Marka ograniczała się głównie do pojedynczych słów. Ale na dwa tygodnie przed moim wyjazdem telefony nagle się urwały! Marek przestał wychodzić z domu, zwagarował z dwóch treningów pod pretekstem bólu gardła, kuł fizykę, z którą były jakieś kłopoty, w lekturach zaś przeszedł z poezji na „Alicję w krainie czarów” i Dostojewskiego. Świecił do późna w noc.

— Słuchaj — mówiła Krystyna najcichszym szeptem — jak myślisz? Rzuciła go?

Wzruszyłem ramionami. A przy okazji wspomniałem pewną szesnastolatkę o cygańskiej urodzie i wdzięku, której obojętność oraz kpiny bolały mnie w czterdziestym szóstym bardziej niż wszystkie dawniejsze wojenne strachy.

Mnie również było Marka bardzo żal. Oboje jednak — Krystyna i ja — rozumieliśmy, że musimy sprawę przeczekać. Marek widział, że coś tam wiemy i pojmujemy. Milczał jednak z żelaznym uporem. Przesiadywał całe popołudnia w domu, ale unikał nas jak człowiek obcy lub chory. Jakim go teraz zastanę?

Przymknąłem oczy, wysączyłem beczułkowaty kieliszek do ostatniej kropli. Odchyliłem poręcz fotela ku pozycji niemal leżącej. Western na pewno się skończył, a stewardesy przysposobiły już miejsca przedziału I klasy do snu. Nie chciało mi się jednak tam wracać. Nawet wstać mi się nie chciało, choć miałem szczerą ochotę na jeszcze jeden kieliszek cesarskiego napoju o barwie miodu.

„O której to — myślałem leniwie — wylądujemy w Genewie? Nie lubię — myślałem — ostatnich minut przed lądowaniem”.

Statystyki wyraźnie mówią, że ogromna większość samolotowych katastrof zdarza się w ciągu pierwszych po starcie lub ostatnich przed lądowaniem dziesięciu minut. Miałem czas się z tym oswoić. Ale przecież nie oswoiłem się do końca.

„Bzdura — myślałem dalej. — Ale warto by chyba przewyciężyć lenistwo i poprosić «szwajcarską Kreolkę» o jeszcze jedną szklaną beczułkę na niskiej nóżce, wypełnioną w dwóch trzecich Napoleonem z rodu Salignaków”.

— Ależ służę panu, *mein Herr* * — usłyszałem niski, bardzo niski i piękny bas. — Oto pański kieliszek.

Otwarłem oczy z nagłym biciem serca. Ów głęboki, miękki bas zaskoczył mnie na

* *Mein Herr* (niem.) — mój panie, proszę pana.

samej krawędzi snu. Przez sekundę wydawało mi się, że spadam w mroźną pustkę, w czarne fale Atlantyku.

Zaraz potem przyszła złość. Cóż to za nieproszona uprzejmość i nachalne natręctwo?

W ustawionym tuż naprzeciw mnie fotelu siedział mężczyzna ubrany jak londyński buchalter: czarny surdut, ciemnopopielate spodnie w paski, czarny krawat, popielata gładka kamizelka, czarne buty o ściętych nosach. Jego twarz rozpływała się jakby w dymie grubego cygara, w niebieskawej mgle i przyćmionym świetle. Wyciągnął ku mnie dłoń z kieliszkiem. Uśmiechał się.

Widziałem wyraźnie tylko jego oczy. Skądże je znałem? Bo znałem je na pewno. Jakby ktoś dawno już podał mi ścisły ich opis: „prawe, ze złotą iskierką na dnie, prześwidrowywało każdego na wylot, lewe, puste i czarne, było jak wąskie ucho igielne, jak wylot bezdennej studni wszelakich ciemności i cieni”.

Tamten zaśmiał się cicho.

— Doskonale pan to spamiętał — rzekł nachylając się ku mnie. — Zgadza się co do przecinka: prawe, ze złotą iskierką na dnie, prześwidrowywało każdego na wylot, lewe, puste i czarne, było... i jest... jak wąskie ucho igielne, jak wylot bezdennej studni wszelakich ciemności i cieni.

Mówiąc to wcisnął mi w palce kieliszek i zaciągając się cygarem mówił dalej:

— A jeśli chodzi o resztę pańskich niepokojów, to w Genewie wylądujemy punktualnie o ósmej trzydzieści miejscowego czasu. I zapewniam — uśmiechnął się — że wylądujemy z aksamitną gładkością. Jak motyl na łące. Tym razem możemy być całkowicie spokojni, choć... — machnął ze zniechęceniem dłonią. A zaraz potem w tejże dłoni pojawił się kieliszek.

Facet pochylił się ku mnie, lekko stuknął swoim szkłem w moją beczuleczkę.

— Pańskie zdrowie — zawołał — *Cheerio! Prosit! Wasze zdarovoia! Skool! A la vôtre!*

Poczułem na skroniach chłód zimnego potu. Serce znów wahało się, jak tuż przed nocnym spadochroniarskim skokiem. Rękę z kieliszkiem wsparłem o poręcz, żeby zapobiec jej drżeniu.

— Dziękuję — rzekłem głosem nieco schrypłym. — Pańskie zdrowie, *thank you!*

Skąd znałem, skąd pamiętałem owe oczy? Lewe ze złotą iskierką, prawe czarne i puste...

— Ależ nie — rzekł z jawnym wyrzutem w głosie. — Odwrotnie. Za pierwszym razem pamiętał pan lepiej. Powtórzmy sobie: prawe ze złotą iskierką...

— Iskierką — szepnąłem idiotycznie.

— Lewe czarne i puste...

— Czarne i puste — westchnąłem.

I tu ogarnął mnie nagły a prawdziwy gniew. Rzadko mi się to zdarza. Ale jeśli już — to na całego. Odstawiłem kieliszek na pobliski stolik, tak że pękła szklana nóżka, a płyn chlusnął aż na popielatą kamizelkę natręta.

— Przepraszam! *Sorry!* I do cholery! — krzyknąłem. — Jakim prawem rozmawia pan ze mną w ten sposób? To bezczelność.

Dziwny facet w stroju buchaltera z City uśmiechnął się boleśnie.

— Proszę — szepnął — o wybaczenie.

Schylił się po utraconą beczuleczkę mego kieliszka, postawił ją na nóżce. Kieliszek znów był cały i pełny.

— Czy ma pan przy sobie jakąś szpilkę? — spytałem już nieco grzeczniej.

Sięgnął do swego krawata. Dopiero wtedy dojrzałem wpiętą weń złotą szpilkę zakończoną wielką perłą o różowoniebieskim blasku. Przyjrzałem się jej nie bez podziwu.

— Prawdziwa? — spytałem.

— Szpilka?

— Nie, perła.

— Oczywiście.

Tu roześmiał się cicho i dyskretnie. Ja zaś z rozmachem wbiłem złote ostrze szpilki w lewą dłoń. „We śnie to nie może zabołec” — pomyślałem.

— Auuu! — wrzasnąłem.

A więc nie był to sen? Zabolało aż po łokieć. Wyszarpnąłem złote ostrze. Na dłoni ukazała się ciemna kropla krwi.

Czym zdezynfekować to świństwo? Zalałem ranę kilkoma kroplami koniaku. Reszta płynu — jakby bez udziału mej świadomości — znalazła się w moich ustach i ciepłą falą spłynęła ku sercu.

Dym cygara rozwiął się wreszcie. Ujrzałem dokładniej twarz tego człowieka. A raczej tego... osobnika. Ową zaś twarz znałem i pamiętałem nie gorzej niż opis jego oczu. Proszę: „prawy kącik ust opadał ku dołowi, wysokie łysiejące czoło bruździły głębokie, równoległe do ostrych brwi zmarszczki. Skórę na jego twarzy jak gdyby na wiele wieków przepaliła opalenizna”.

— *Excellent!* Brawo! — zawołał z zadowoleniem. — Podziwiam pańską pamięć.

— Dziękuję uprzejmie. Ale proszę również — tu odchrząknąłem dość ostro — aby zechciał pan powstrzymać się od rozmowy z moimi myślami. Nie lubię tego.

Na jego twarzy ponownie ukazał się grymas szczerzego zakłopotania, niepokoju nawet.

— Ależ, profesorze! — zawołał. — Raz jeszcze najuprzejmiej proszę o wybaczenie.

Uniósł się nawet ze swego fotela, by do przeprosin dodać ukłon. Równocześnie jego strój uległ naglej przemianie: surdut wydłużył się jaskółczo, kamizelka nabrała srebrzystego połysku, buty o ostrych szpicach błysnęły lakierem, na lewej zaś klapie ogniście zamigotał jakiś królewski lub co najmniej ambasadorski order — osadzona w złocie brylantowa gwiazda z płonącym pośród brylantowych ogni ciemnoczerwonym żarem wielkiego rubinu.

Stał oto przede mną i kłaniał mi się nie jakiś przytłoczony rocznymi bilansami londyński buchalterek, lecz postać co najmniej ambasadorska.

— Proszę o wybaczenie — mruczał aksamitny bas. — Wina wyłącznie po mojej stronie. Tak, tak — westchnął. — W moim wieku nietrudno już o chwilę roztargnienia. To się więcej nie powtórzy. *Parole d'honneur*, słowo honoru, *sir*.

Ja również uniosłem się lekko ze swego fotela. Odpowiedziałem ukłonem na ukłon, uśmiechem na uśmiech. Zaczynałem się już orientować, z kim w istocie mam do czynienia. Były buchalter, obecny ambasador znów rozsiadł się naprzeciw mnie. Wyrzucił żarzący się niedopałek cygara przez zamknięte okno, niebieski dym przypadł ku podłodze, niczym mgła na bagnach.

Wyciągnąłem ku niemu rękę.

— Pora chyba się przedstawić — rzekłem, wyraźnie wymawiając imię i nazwisko.

Uścisnął moją dłoń. Ale mruknął coś całkiem niezrozumiałego. Czyżby postanowił nie ujawniać się? Trochę mnie to zezłościło. W końcu to on sam pierwszy się do mnie przyczepił, z własnej woli pokazał kilka głupich cyrkowych sztuczek, najwyraźniej prowokował. I co dalej? Będzie pozował na tajemniczość?

— Przepraszam — spytałem dość ostro. — Czy reprezentuje pan szlachetną sztukę cyrkową? Czy też należy pan do badaczy tak zwanych zjawisk parapsychicznych, jak na przykład telepatia, wywoływanie duchów... i tym podobnie?

Po chwili namysłu zdecydował się. Wyprostował ramiona, błysnął orderem.

— *Dear sir*, drogi panie — rzekł. — Ani jedno, ani drugie. Raczej... t y m p o d o b n i e.

— Tym podobnie? — spytałem.

— Tak — oświadczył już bardzo stanowczo. — Jest to określenie najbliższe rzeczywistości.

— Jakiej rzeczywistości? — spytałem ostro.

Znowu się spieszył. Rozłożył ręce, zaczął się niespokojnie wiercić, dolna warga zwiśla mu aż na brodę, jakby w sekundę postarzał się o tysiąc lat.

— Widzi pan... — zaczął starczo mamrotać — nie chciałem... no, tego... nie chciałem.

— Co?

— No... przestraszyć! — wydusił wreszcie i otarł czoło z potu.

Zacząłem się śmiać. Co za idiota! Nie chciał mnie przestraszyć? Wyśmiałem się do woli, otarłem załzawione oczy, poklepałem go po kolanie.

— Ekscelencjo — rzekłem ze szczerą uprzejmością i swobodą. — Rozumiem pańską delikatność. Ale przecież ja jestem ateistą, człowiekiem niewierzącym. Pan niewątpliwie może wzbudzić strach i przerażenie. Ale przecież głównie u ludzi, którzy wierzą w pańskie istnienie. Przyznaję. Wzbudził pan, ekscelencjo, moje wielkie zaciekawienie. Ale strach? Mój drogi — zaśmiałem się raz jeszcze.

„Ekscelencja” odetchnął z ulgą. Zdmuchnął z klapy surduta brylantowy order, który rozwiął się w nicość, pstryknął palcami nad stolikiem. Na jego powierzchni ukazało się tym razem srebrne wiaderko z lodem, dwa płytkie, kryształowe kieliszki i zanurzona w wiaderku butelka szampana. Korek sam radośnie wystrzelił — szampan trysnął wdzięcznym łukiem, napenił wpierw mój, potem jego kieliszek.

— Czy to aby nie przesada? — spytałem. — Czy ekscelencja przypadkiem nieco się nie rozpija? Alkoholizm może chyba zatruć życie nawet na samym dniu... piekła.

Zarumienił się jak człowiek, który nagle usłyszy o sobie coś niezbyt miłego, a zarazem bliskiego prawdy.

— Ach — westchnął — te nasze nerwowe czasy, ciągły pośpiech, hałas, intrygi, zatrute rzeki, spaliny, i tak dalej... i tak dalej...

— Więc jak to jest, ekscelencjo?

Złożył dłonie.

— Przede wszystkim proszę nie nazywać mnie ekscelencją. Tytuł wprawdzie mi przysługuje, ale nie lubię go. Poza tym podróżuję tym razem incognito, bez świty. Nawet bez sekretarki. Proszę — uśmiechnął się ze szczerą prośbą — proszę nazywać mnie... o, na przykład: Mister Di. Wystarczy?

— Di? — spytałem — jak *diavolo*?

— Tak! — zachichotał Mister Di. — Jak *diavolo*, jak *devil*, jak *diawół*, diabeł, i w ogóle.

— I tak dalej?

— I t y m p o d o b n i e!

Trąciliśmy się kieliszkami. Szampan pachniał niczym wzgórze Szampanii w jesiennym słońcu. Mister Di pił łapczywie, ciekło mu po brodzie, uronił też kilka sporych kropel na krawat i klapy surduta. Ręce mu drżały.

— Wygląda mi pan na przepracowanego — powiedziałem ze współczuciem.

Mister Di znów się lekko zarumienił.

— Trochę przepracowania, trochę przepicia...

— Trochę? — przyczaiłem się. — Czy aby na pewno „trochę”? Głowa boli?

— Boli.

— A co w gardle?

— Zaszło.

— A co z żołądkiem?

— Ssie.

— Trochę?

— Nie — wyznał Mister Di. — Dość mocno.

— Wstyd! Nic, tylko wstyd! — rzekłem.

Musiałem przeholować. Ostatecznie ekscelencja nie był przyzwyczajony do poufałości ze strony zwykłych śmiertelników. Widziałem, jak rośnie jego gniew: szczerwieniły mu włosy, spod warg wysunęły się dwa tygrysie kły, w oczach błysnęło żółte szaleństwo.

— Ejżesz ty! — zachrypiał. — Kogóż to mam się wstydzić? A pański krasnal w stalowych kapciach skąd się wziął? Z nieba?

— I owszem — oświadczyłem ze spokojem. — Z nieba. Po prostu dostałem słonecznego udaru podczas wycieczki w otwartym autokarze. O alkoholu nie było mowy.

— Tfu! — splunął wściekle Mister Di. — O alkoholu mowy nie było? To skąd tak dobrze wiesz, człowieku, z czego boli głowa, czemu zasycha w gardle i jak ssie w żołądku? Z lektur szkolnych? Co?

— Odmawiam odpowiedzi!

On tylko się zaśmiał niczym hiena, a włosy zaczęły mu już iskrzyć na dobre. Oczy powlekło żółte bielmo szaleństwa.

Schwycił butelkę szampana, zgryzł szyjkę, chęptał wino, przegryzając lodem z wiaderka, aż echo szło po skrzydłach odrzutowca. Na wszelki wypadek przymknąłem oczy.

Nareszcie chęptanie i zgrzyt gryzionych kawałków lodu ucichły. Chwila milczenia — i westchnienie.

— Drogi panie — mrucał przyjazny znów bas. — Serdecznie przepraszam.

Przedemną znów siedział łysawy buchalter z londyńskiej City i w zakłopotaniu mrugał powiekami.

— Tak, tak — powtórzył. — To nerwy, nerwy...

Po wiaderku i butelce nie zostało ni śladu. Mister Di zaś wyciągnął w moją stronę skórzaną papierošnicę z ekstramocnymi.

Podziękowałem — nie. Właśnie po raz czwarty odzwyczajalem się od palenia. Połowa piątego tygodnia. Najgorsze już minęło. Na wszelki wypadek wsadziłem do ust miętowego dropsa. Poza tym należało chyba jakoś podtrzymać rozmowę, bo Mister Di najwyraźniej ciągle jeszcze był zakłopotany swym uprzednim zachowaniem.

— *Dear Mister Di* — spytałem. — Dokądże Bóg prowadzi... Tfu! To znaczy: dokąd pan leci?

— *Sorry!* — usłyszałem. — Tajemnica służbowa.

— Pan też na delegacji? — ucieszyłem się.

— Ach — westchnął Mister Di — od iluż stuleci! Bez wytchnienia, bez przerwy. A chciałoby się spisać trochę pamiętników, pograć na gitarze, porozmawiać z dala od zgiełku z kimś rozumnym... ot, choćby z Wielką Niedźwiedzicą! Niestety... nic z tego. Praca, praca i praca. Trochę sławy. Lecz czymże jest sława? Ostatnio już nawet dzieci śmieją się z diabła. Wie pan, co to jest wyobcowanie?

— A wie pan? — ożywiłem się. — Bardzo dobrze robi poranna gimnastyka. Dwadzieścia minut codziennie, z niedzielą włącznie.

— Panie — machnął dłonią — w moim wieku?

Umilkliśmy. Spojrzałem przez okno i zdumiałem się.

W dole świeciły gwiazdy. W górze też. Dopiero po chwili zorientowałem się, że przelatujemy nad jakimiś wyspami.

— Kanaryjskie — wyjaśnił uprzejmie Mister Di.

Znowu zaczął podsłuchiwać moje myśli. Tym razem nie miałem już zamiaru się gniewać. Zaniepokoiłem się jednak: dlaczego właśnie wybrał mój samolot i moje towarzystwo? Co to ma znaczyć?

I oto znów rozległ się głęboki, basowy śmiech.

— Drogi profesorze! — brzmiało to jak aria z „Fausta” — Po prostu... hahaha — ha!... Wybrałem najdogodniejsze połączenie z Europą oraz towarzystwo inteligentnego, to-le-ran-cyj-ne-go człowieka! We wszystkich klasach boeinga jest sporo wierzących. Gdyby mnie

rozpoznano, od razu zaczęłyby się krzyk, popłoch. Zawały, ataki histeryczne. Rozumie pan?

— Rozumiem. Ale... na przykład... Co z barem? — pytałem nieufnie.

Mister Di z ubolewaniem rozłożył ręce.

— Niestety! Proszę sobie wyobrazić, że ta śliczna stewardesa studiuje w Genewie religioznawstwo porównawcze. Pisze właśnie pracę magisterską poświęconą... — zdenerwował się — formułom w y ś w i ę c a n i a d i a b ł a stosowanym w drugiej połowie trzynastego wieku przez zakony franciszkanów i bernardynów. Więc niech pan sobie wyobrazi, że siadam przy barze, zamawiam rum Negrita, gin Gordona czy choćby zwykłe piwo... a to babsko zaczyna mnie nagle egzorcyzmować i wyświęcać! Z boeinga! W dwudziestym wieku! Wyobraża pan to sobie?

Wyobraziłem sobie. I wbrew najlepszym chęciom spadłem z fotela. Ze śmiechu.

Trwało to, nim uspokoiłem oddech, otarłem oczy. Było mi nawet nieco wstyd. Zachowałem się bez szacunku i taktu.

— Proszę o wybaczenie — rzekłem.

Mister Di przyglądał mi się z uśmieszkiem dość paskudnym.

— Pan się ze mnie wyśmiewa?

— Ależ, Mister Di...

— Pan się ze mnie wyśmiewa już po raz trzeci w przeciągu godziny!

— Bardzo mi przykro.

Z buchaltera znów wyrzwał ambasador.

— Panu dopiero może zrobić się przykro.

— Nie rozumiem.

Mister Di włożył w prawe oko monokl. Dziwny był to monokl — wyglądał całkiem jak wypukłe lustro. Ujrzałem w nim swoją twarz, rozdętą jak wodogłowiec, usta kretyńsko rozdarte od ucha do ucha i uszy, kłapciaste oraz idiotyczne.

— Nie rozumie pan? — spytał ekscelencja.

„A cóż to znowu” — myślałem w popłochu.

— Czy to ma być groźba, ekscelencjo? — spytałem.

— Czy to ma być groźba? — powtórzył za mną. — A co to ma być? Rurka z kremem? Czerwona książeczka Mao? Słój w karafce?

— Wypraszam sobie — oświadczyłem. — Niech się pan nie wysila. Do niewierzących, wedle własnych pańskich słów, diabeł nie ma dostępu.

Na te moje słowa Mister Di omal nie zatchnął się obrzydliwym chichotem. Monokl wypadł mu z oka! Potoczył się po podłodze, przemienił w białą mysz, zniknął w jakimś kącie. A Mister Di nadal chichotał, jazgotał, trząsał brzuchem, spiczaste kolana podskakiwały w rytmie boogi, ramiona w rytmie samby.

— Wypraszam sobie! — huknąłem ze złości i strachu.

Mister Di natychmiast spowaźniał.

— On sobie wypraszają! — rzekł. — On jest zdania, że nie mam dostępu do niewierzących!

— Pan wybaczy — wstałem. — Jestem zmęczony. Idę spać.

— Niewierzący! — posykiwał i powarkiwał Mister Di, najwyraźniej się ze mnie natrzęsając. — Pięknie! Ale co pan na to, że każdy z was, niewierzących, ma jakąś własną boczną furtkę, jakieś kuchenne schody. A to boi się czarnego kota. A to odpukuje w niemalowane drzewo. A to nie lubi, jak mu przejdzie drogę baba z pustymi wiadrami...

Poczułem, że blednę. Nie ma co ukrywać. Ten piekielny arogant nie mylił się: miałem i ja swoje „boczne furtki”. Bardzo na przykład nie lubiłem na swojej drodze widoku pustych wiader czy czarnego kota.

— A widzisz, kotusiu! — przemówił Mister Di. — Widzi pan, drogi profesorze? Moje możliwości są nieco szersze, niż pan przypuszcza. To prawda, że nikomu z was niewierzą-

cych nie mogę na dłużej zagrozić. Ale dokuczyć potrafię.

— Pan chyba żartuje.

— Nie!

— Pan na pewno żartuje, drogi Mister Di — powtórzyłem zbyt przymilnym głosem.

Uśmiechnął się. Krzywo, bo krzywo, ale przecież.

Pstryknął palcami i oto na naszym stoliczku stanęły dwie szklanki, oszronione nieco, pachnące ginem Gordona, wermutem Martini i irlandzkim wrzosem.

Miałem dość! Wstałem z fotela.

— Było mi bardzo miło — rzekłem chłodno — ale czas się zdrzemnąć. Życzę panu dobrej nocy.

Tym razem Mister Di zachował się w sposób właściwy. Wstał również. Skłoniliśmy się sobie nawzajem.

— Dobrej nocy! — zamruczał bas ekscelencji. — Ja jeszcze wyjdę odetchnąć świeżym powietrzem. Miłych snów, *mein Herr*.

Tak to rozstaliśmy się. Przynajmniej na razie. A ekscelencja rzeczywiście wybrał się na swój spacer. Ściana salonu, przy której stały nasze fotele, uzyskała nagle ni to wodną, ni to szklaną przezroczystość. Europejski już księżyc, który wtoczył się naprzeciw nam, oświetlił prawe skrzydło boeinga.

Mister Di przechadzał się po owym skrzydle krokiem wolnym, z rękami założonymi na plecach. Kulał lekko na lewą nogę, szyję owinał białym szalikiem. Wzruszyłem ramionami: co za ryzykant! Czterdzieści tysięcy stóp nad poziomem oceanu, minus pięćdziesiąt dwa stopnie Celsjusza!

Miałem pusty bar. Wróciłem do swego przedziału. Łagodne światło, senna cisza. Chrapanie niektórych pasażerów tłumiło pomruk czterech motorów boeinga. Wsunąłem się na swoje miejsce, zdjąłem ubranie, wpełzłem w piżamę.

Sen nadchodził. Otaczał mnie ze wszystkich stron. Zdążyłem pomyśleć: „Mister Di? Cóż to takiego? Skąd do mnie tak idiotyczne przywidzenia?” Westchnąłem raz, drugi, a przepływając krawędź snu pomyślałem, że na wszelki wypadek od razu po powrocie powinienem chyba odwiedzić zaprzyjaźnionego psychiatrę, przemiłą panią docent B. z kliniki przy Kopernika.

Stewardesy podały śniadanie o siódmej trzydzieści. Nie czułem się najlepiej: głowa znów rozboleła, w gardle zaschło, w żołądku odezwało się niemiłe ssanie. Co gorsza, nie mogłem przypomnieć sobie przyczyn tego stanu. Przecież w barze wypilem tylko jednego Napoleona. Pastyłki od bólu głowy popiłem grejpfrutem i... i co dalej?

Przecież od razu poszedłem spać. W końcu uprzytomniłem sobie, że muszą to być resztki słonecznego udaru, który zapewne chwycił mnie podczas zwiedzania Rio. Miałem przy tym uczucie jakiegoś niedostatku. Jakbym na przykład zapomniał klucze, zgubił teczkę czy coś w tym rodzaju.

Większa wskazówka zegarka wskazywała dokładnie ósmą trzydzieści, gdy spod skrzydła boeinga popłynął betonowy pas lotniska. Ładowaliśmy jak motyl na łące. Nawet nie poczułem, kiedy koła podwozia dotknęły betonu. Rozejrzałem się za stewardesą z baru, chcąc raz jeszcze podziękować za pastylki i sok. Nie mogłem jednak jej znaleźć. Dwie jej koleżanki, blondynka i ruda — obie też jak z obrazka — zegnały pasażerów przy drzwiach wyjściowych świergocząc pięcioma językami.

Skłoniłem się, poprosiłem, by podziękowały kapitanowi za wspaniałe lądowanie. Odpowiedziały nadzwyczaj uroczyimi uśmiechami.

Niebo nad Genewą było brudne od chmur. Góry znikły pod mokrym kozuchem. Drobną mżawka mieszała się z płatkami szarego śniegu. Ruszyłem w stronę dworca tranzytowego. Było nas zaledwie kilka osób z całego boeinga, które czekały na połączenia z Europą środkową i wschodnią. Drogę znałem dobrze. Wyprzedziłem nawet przewodniczkę lotniska i był-

bym pierwszy wszedł do komory celnej, gdyby nie złośliwy pech: pękło mi sznurowadło.

Zakląłem głośno a dosadnie w pięknej mowie ojczystej. Schyliłem się, by jako tako związać przetartą tasiemkę. Nim naprawiłem defekt, przewodniczka zatrzymała się przy mnie. Jej niebieskie oczka zaokrągliły się z ciekawości.

— Przepraszam — powiedziała z landrynkowym uśmiechem. — Pan cosz bardzo czekawego powiedział. Można prosić o powtórzenie? Ja studiuje język polski.

Poczułem, że rumienię się chyba nawet na plecach i łydkach.

— Pani wybaczy — stęknąłem. — Ja... eee... już zapomniałem.

— Nie szkodzi, proszę pana — odpowiedziała porcelanowym głosem.

Odwrociła się na pięcie i półbiegiem dopędziła swoją grupkę.

Powlokłem się ich śladem. Wchodziło się do dworca tranzytowego — do jego poczekalni, restauracji, kawiarni i kina — przez niewielką komorę celną. Była właściwie tylko swego rodzaju dekoracją. Zazwyczaj nieludzko znudzony celnik podsuwał pasażerom do podpisu jakiś papierki, dziękował za autograf, ziewał. I to było wszystko.

Tym jednak razem scena wyglądała inaczej. Ilość celników wzrosła o pełne sto procent, czyli było ich aż dwóch. Starszy, pocziwina o twarzy mądrego mopsa, nudził się nieludzko. Stał zaś na uboczu, na planie drugim.

Natomiast przy właściwym kontuarze urzędował człowiek młody. Promieniał on tym namolnym rodzajem energii, jaką okazują początkujący służbiści. Ci, którzy brak doświadczenia i wiedzy zastępują bezbrzeżną miłością do przepisów, paragrafów, ogólników i zarządzeń. Musiał to być praktykant. Mówiło o tym pogardliwie pobłażliwe spojrzenie starszego celnika.

Praktykant zaś ujawniał niezwykłą prężność i pewność siebie. Był to niewątpliwy talent, zadatek na wybitnego biurokrate. Podając papierki celnych deklaracji przypominał podpisującym o konieczności zgłaszania takich to a takich przedmiotów. Pieczętki podbijał ruchem, z jakim nożowcy całego świata sadzą cios pod lewą łopatkę.

Ubawił mnie ów młody człowiek. On zaś musiał zauważyć mój uśmiezek. Podając deklarację do podpisu szczególnie nachalnym słowem wymienił przedmioty (broń, materiały wybuchowe, narkotyki itd., itp.), których nie należy ukrywać nawet przy tranzycie.

Wzruszyłem ramionami, sięgnąłem po swoje pióro — czarny mont blanc, prezent od Krystyny, z którym nie rozstaję się od pięciu lat. Sięgnąłem machinalnie do lewej wewnętrznej kieszeni — i zrobiło mi się zimno. Zacząłem gorączkowo przeszukiwać kieszenie. Nie ma, nie ma, tu też nie ma...

Reszta tranzytowych pasażerów znikła już za drzwiami poczekalni. Pozostaliśmy w komorze we trójkę: starszy celnik, praktykant i ja.

Policzyłem po cichu do dziesięciu, żeby nieco się uspokoić. Potem zacząłem po raz drugi przeszukiwać kieszenie. No i na koniec roześmiałem się! Z wielkiej radości. Jak zawsze, jak zwykle pióro znalazło się na miejscu. Nie było jednak wpięte (jak należy) w brzeg kieszeni, tylko chytrze a przekornie zsunęło się na jej dno.

Podpisałem deklarację.

— *Merci, monsieur*, przepraszam pana — rzekł spokorniały blondas.

Mops mrugnął do mnie całkiem wesoło. Ja zaś starannie osadziłem pióro na właściwym miejscu i sięgnąłem do kieszonki na piersiach po chusteczkę, by otrzeć czoło i policzki z potu.

Praktykant podbijał właśnie moją deklarację. Pieczętka huknęła niczym colt Czarnego Colosimo. Ale równocześnie posłyszeliśmy wszyscy jakiś srebrzysty dźwięk. Na podłodze, tuż pod moimi stopami, coś ogniście zamigotało. Pochyliłem się — oni też się pochylili.

— *O monsieur!* — wrzasnął praktykant.

— *O monsieur!* — mruknął celnik.

— O cholera! — jęknąłem niczym ranny łoś.

Oto w chwili, w której wyciągałem chusteczkę z kieszeni na piersiach, wypadł wraz z

nią, dzwoniąc po posadzce, jakiś nie znany mi królewski lub co najmniej ambasadorski order. Osadzona w złocie brylantowa gwiazda z płonącym pośrodku brylantowych ogni ciemnoczerwonym żarem ogromnego rubinu. Wszystko to migotało, mieniło się, dzwoniło u mych stóp niczym spadająca gwiazda.

— Ach, *monsieur!* — wrzasnął ponownie praktykant.

A mops, który milczkiem zmienił się w buldoga, jedną ręką podniósł z ziemi barbarzyński klejnot, drugą ujął mnie pod ramię chwytem zgoła żelaznym.

— Pan pozwoli ze mną, *monsieur* — rzekł niby wesoło.

Zachowywał się zresztą bardzo sympatycznie. Kiedy zacząłem tłumaczyć, że niczego nie rozumiem, obiecał, że w swoim czasie wszystko się wyjaśni, kiedy począłem mu wyjaśniać, że nie znam ani pochodzenia, ani wartości owego przeklętego orderu, napomknął, że teraz będę miał okazję zapoznać się z nim bliżej, kiedy zacząłem się denerwować, że za półtorej godziny mam samolot do Warszawy, wpieryw nadzwyczaj grzecznie wykręcił mi rękę na plecy, a potem orzekł, że mamy mnóstwo czasu.

Zaprowadził mnie do dyrekcyjnego i wyszedł zamykając drzwi na klucz! Nadal niczego nie rozumiałem, ale postanowiłem opanować się i rozluźnić. Przestałem się już nawet denerwować. Wprawdzie coś mi się plątało po głowie, że gdzieś, kiedyś, u kogoś widziałem podobną gwiazdę. Ale gdzie, u kogo?

Byłem i jestem przeciwnikiem wszelkich pigulek, kropeł, pastylek. Dawno już przekonałem się, że nic tak nie uspokaja i nie rozluźnia, jak kilka minut dobrej gimnastyki. Marsz w miejscu, bieg w miejscu, trzydzieści przysiadów, rowerek, trzy minuty walki z cieniem itp., itd. Dlaczegoż więc nie miałbym skorzystać z okazji? Wprawdzie na stole migotał, wdzięczył się, żarzył ów idiotyczny order, ale nie do mnie on należał, choć jakimś sposobem mi go podzuczono. Po co? Dlaczego?

Mniejsza o to! Najważniejsza rzecz — odzyskać kondycję.

Zdjąłem krawat, marynarkę, koszulę, spodnie i buty. Zostałem w całkiem przyzwoitym negliżu. Otwarłem szeroko okno i zacząłem swój zwykły program: marsz, bieg, skłony, przysiady. W dalekiej głębi za oknem, chmurami i górami dojrzałem mądre oczy Krystyny, postyszałem wesoły głos Marka. Uśmiechnąłem się do nich.

Byłem już spokojny. Krew krążyła szybciej, oddech miał dobry rytm. Bure niebo za oknem pojaśniało. Zacząłem walkę z cieniem.

W połowie rundy otworzyły się cicho drzwi. Wszedł łysy facet w cywilu, po pięćdziesiątce. Duże wąsy, mała bródka, brzuch piwosza, spokojne oczy. Nie przerywałem swego zajęcia. On przyglądając się mojej walce z cieniem przechylił głowę na ramię, cmoknął z uznaniem.

— Chytrze! — rzekł. — Szanowny pan udaje wariata. Tak?

— Nie — krzyknąłem tańcząc na palcach i idąc za ciosem.

— Na pewno nie?

— Na pewno!

— Ciekawe.

Zakończyłem rundę. Jeszcze kilkanaście rozluźniających skłonów, krótki, lekki bieg. Rozgrzewka była dobra. Nie zwracając większej uwagi na faceta ani na order zacząłem się ubierać.

Facet podszedł do mnie dopiero wtedy, gdy byłem już w porządku.

— Pan pozwoli — podał mi rękę. — Komisarz Duparc.

— Bardzo mi miło — rzekłem. — Oto mój paszport.

Podziękował, uśmiechnął się, ale paszport przejrzał uważnie.

— Pan jest biologiem? — spytał.

— Tak.

— Profesorem?

— Tak.

— Pan profesor wraca...

— Z kongresu FAO.

Komisarz Duparc skłonił się z szacunkiem.

— Jestem szczęśliwy ze spotkania z panem profesorem.

Odpowiedziałem ukłonem.

Chwila ciszy. Komisarz oddał mi paszport i kiwnął się nad stołem. Brylanty migotały, rubin żarzył się ponuro.

— *Monsieur le professeur*, panie profesorze — zaczął znowu. — Kiedy i gdzie odznaczono pana Wielką Gwiazdą Saudyjską?

— Nigdy i nigdzie.

— Więc skąd „to” u pana?

— Nie mam pojęcia.

— Ja też — westchnął komisarz.

— Drogi komisarzu — rzekłem stanowczo. — Niezależnie od tego wszystkiego, ordery ani klejnoty nie podlegają przepisom o tranzytowej kontroli celnej. Nie mam pojęcia, skąd się to u mnie wzięło, ani kto mi podrzucił. Ale jeśli nawet nie uwierzycie moim wyjaśnieniom, co was obchodzi cała ta sprawa?

— Profesorze — szepnął czule komisarz. — Pan m i a ł b y absolutną rację...

— Miałbym... a więc nie mam?

— Właśnie. Miałby pan absolutną rację, gdyby nie fakt, że od dwóch lat Interpol i wszystkie policje świata poszukują tej oto Wielkiej Gwiazdy, którą władca Arabii Saudyjskiej ustanowił dla swego pierwszego prawnuka, a której jedyny egzemplarz skradziono niewiadomym sposobem z podręcznego skarbczyka jego królewskiej wysokości.

— E! — powiedziałem. — Nie wierzę.

— A jednak.

— Nieprawdopodobne!

— A przecież prawdziwe.

Sprawa znowu zaczęła mi się nie podobać. Spojrzałem na zegarek — do startu maszyny Lotu, w której miałem zarezerwowane miejsce, pozostało wszystkiego pięćdziesiąt pięć minut. Trochę to przymało, żeby udowodnić, że nie mam nic wspólnego z całą tą arabsko-saudyjską awanturą. A ja już miałem absolutnie dość podróży, gwiazd orderowych, celników, genewskiej mżawki i genewskiej policji. Ostatecznie stanowią jakiś autorytet. Może trzeba w tej sytuacji go okazać? Nadałem się więc jak pierwszy lepszy idiota z kompleksem niższości.

— Pan wie, kto ja jestem?

Komisarz skłonił się z szacunkiem.

— A mimo to zatrzymaliście mnie?

Komisarz rozłożył ręce.

— Czyżbym był podejrzany?!

Komisarz westchnął.

Miałem do wyboru dwa chwyt. Albo zacząć wrzeszczeć, kopać, gryźć i dążyć do skandalu na całego — albo po prostu poważnie potraktować własną i cudzą inteligencję, wymienić poglądy, wyjaśnić rzecz możliwie najszybciej. Wydawało mi się, że moja absolutna niewinność upoważnia mnie nawet do wywołania skandalu. Równocześnie jednak plątało mi się po krańcach pamięci niemiłe uczucie, że gdzieś, u kogoś, i to nawet niedawno, widziałem Wielką Gwiazdę. A zatem — lepiej okazać spokój. A nawet wyrozumiałość. Zachować stanowczość, ale podać ją w kulturalnym opakowaniu.

— Drogi komisarzu — rzekłem bez uśmiechu, lecz przyjaźnie. — Po pańskich wyjaśnieniach nie dziwię się już swej sytuacji. J e s t e m jednak niewinny. Jeśli więc sprawa podlega Interpolowi, proszę o jak najszybszy kontakt z jego przedstawicielem. Jestem człowie-

kiem pracy. Nie mam czasu na głupstwa.

Spojrzałem raz jeszcze w stronę Wielkiej Gwiazdy. Przybladła jakoś, przyczała się, przygasała. W nagłym natchnieniu dodałem jeszcze jedno żądanie:

— Proszę również o zavezwanie bieglego jubilera, który może sprawdzić, czy opis Interpolu odpowiada cechom tej błyskotki. Czy jest pan przekonany, że mamy do czynienia z oryginałem?

Komisarz niepewnie zavezował w pierw ku mnie, potem ku Gwieździe. Skłonił się w nagłym przypływie szacunku, a prostując plecy stuknął piętami.

— Panie profesorze — zameldował. — Zamierzałem właśnie pana prosić o rozmowę z przedstawicielem Interpolu w randze nadkomisarza. Towarzyszy mu biegly sądowy, jeden z najwybitniejszych jubilerów Europy.

Spojrzałem na zegarek. Zostało mi już tylko trzydzieści dziewięć minut na rozmowy i przetargi. Nie! Mniej! O wiele mniej! Uprzytomniłem sobie nagle, że od tej liczby trzeba odjąć co najmniej piętnaście minut potrzebnych na dojście do samolotu. Tak to z trzydziestu dziewięciu minut zostały mi zaledwie dwadzieścia cztery.

Złość zaczęła mnie dławic w gardle niczym zbyt duży kęs jabłka. Komisarz wybiegł z pokoju, nie zapominając jednak zamknąć drzwi na klucz. Zacząłem liczyć do dziesięciu, potem odwrotnie: dziesięć, dziewięć, osiem...

Na szczęście już przy „siedmiu” ponownie rozwarły się drzwi. Pierwszy wszedł komisarz. Stał z boku. Wyprężył się niczym przed generałem. Ja zaś patrzyłem na wchodzące dwie osoby. Patrzyłem, tracąc rachubę czasu i poczucie rzeczywistości, odnosząc niezwykłe uczucie, że gałki oczne wyskoczyły mi z twarzy na dobre pół metra i kołyszają się teraz w wielkim zdumieniu, niczym ukwiały na dnie morza.

Oto weszły do pokoju dwie osoby. Ale jakie! Wpierw przekroczyła próg zakonnica w ciemnym habicie i białym, sztywnym kornecie, wzrostu około metr osiemdziesiąt, numer trzewika około czterdzieści pięć, w okularach o przydymionych szklach, z parasolem w dłoni. Za nią wtoczył się osobnik sięgający zakonnicy mniej więcej do pasa, odziany jak na letnie królewskie przyjęcie w Westminsterze: szary cylinder, frak, biały gors, czerwona wstążeczka Legii Honorowej w klapie i wściekle niebieskie oczy pod wiehciami krzaczastych brwi.

— Witam siostrę... — rzekłem głosem lekko zdławionym.

Zakonnica ściągnęła z głowy krochmalony kornet i cisnęła go na wieszak.

Spod kornetu ukazała się jajowata, krótko strzyżona głowa o posiwiałych skroniach.

— Siostra? — huknął szydlerczo generalski baryton. — Bzdury! Nadkomisarz Brandy z Interpolu!

— Brandy? Ładne nazwisko — jęknąłem, gdyż siostra (to znaczy nadkomisarz Brandy) miażdżyła mi dłoń w uścisku.

— Nazwisko jak nazwisko — huknął nadkomisarz. — Nie najgorsze.

— Mam przyjaciół nazwiskiem Brandys. Ludzie sławni i świetni — dodałem. — O ile pamiętam, lubią też brandy *. Czy może krewni?

— Niestety! — szczeznął nadkomisarz, ustępując miejsca małemu facetowi w cylindrze i fraku.

— Co słysząc? — spytał mały. — Pan na długo w naszej pięknej Szwajcarii?

Spojrzałem na zegarek.

— Na około dwadzieścia minut — rzekłem bardzo stanowczo.

— Cha, cha, cha! — szczeznął nadkomisarz. — Znakomite poczucie humoru!

— Co jest? — zdziwił się mały. — Z czego tu się śmiać? Dwadzieścia minut to jest dwadzieścia minut.

Nadkomisarz chwycił go za ramię.

* *Brandy* (ang.) — koniak.

— Wpierw mamy coś do wyjaśnienia.

Mały strzepnął jego rękę z barku jak muchę.

— Czy ja nie wiem, że mamy coś do wyjaśnienia? — zaperzył się. — Ale w takich sprawach jest potrzebne podejście psychologiczne. To jest taki cymes, że...

— Przepraszam — przerwałem mu. — Nie mam czasu na psychologię.

— Ani ja! — huknął Brandy.

— Ani ja! — szepnął Duparc.

— To gdzie „ono” jest? — spytał mały.

Nadkomisarz przysunął fotel do stołu, ustawił małego na fotelu i przysunął mu pod oczy migoty, blaski i żary Wielkiej Gwiazdy Saudyjskiej.

Mały wpierw wyciągnął ku niej różowe, drobne dłonie. Westchnął. Potem zamarł bez ruchu. Interesująca... nadzwyczaj interesująca postać. Nie miałem jednak czasu na dłuższe rozmowy z nikim — z najciekawszymi nawet ludźmi.

Widziałem tuż przed sobą tłuściutki kark jubilera, wylewający się nieco z twardego, staroświeckiego kołnierza frakowej koszuli.

I oto ów kark zaczął się zmieniać. Wpierw był różowy. Potem szcerwieniął. Czerwień przeszła w purpurę. Purpurę zaś zaczął wypierać sinawy fiolet.

Zamarłem. Wyglądało na objawy przedzawałowe.

Kark siniał, w pokoju słychać było coraz głośniejszy oddech małego. „Cześć — pomyślałem sobie. — Jeśli ten malec zaraz tu trupem padnie, poczekam ja na chwilę powrotu”.

Co robić? Wołać o wodę? Rozerwać sztywny kołnierzyk?

Ale w tejże chwili biegły artysta podskoczył na fotelu i walnął piąstkami w stół, aż echo poszło na całą Genewę.

— Mnie tu zaraz na miejscu szlag trafi! — wrzeszczał mały. — Co to jest! Do czego mnie się wzywa? Mnie, Henryka Rudolfa Birnbauma! Do takiego śmiecia? Do takiej roboty wystarczy wezwać zwykłego szklarza. Kto mi odpowie za taki afront? Ja nie mam zdrowia na oglądanie tombaku, butelkowego szkła i stolarskiego kleju! Wielka mi gwiazda! Ja sam na Gęsiej w siódmym roku życia robiłem lepszy bruch! Rozumiecie?

Nie rozumieli. Nic dziwnego. Mistrz Henryk w przyływie zdenerwowania wykrzyczał swój gniew po polsku, z najczystszy a rozczulającym akcentem Nalewek lub Kazimierza. Nadkomisarz i komisarz nie zdążyli ochłonać, gdy mistrz Henryk cisnął szkiełkami rzekomej Gwiazdy w kąt i wybiegł rwąc przyciasny kołnierzyk.

Ja ochłonałem natychmiast. Przetłumaczyłem w pięciu zdaniach wypowiedź biegłego rzeczoznawcy, wdziałem płaszcz, rękawiczki, ująłem rączkę walizki, skłoniłem się komisarzowi oraz nadkomisarzowi i ruszyłem w swoją drogę.

Czas był najwyższy! W poczekalni wywoływano już moje nazwisko przez megafony. Zacząłem biec. Wpadłem na płytę lotniska. O sto metrów przed sobą ujrzałem turbomigłowiec Lotu. Pognałem ku schodkom przystawionym do drzwi dużego pasażera z białoczerwonym znakiem na sterze. Dopadłem pierwszych stopni, gdy ktoś przytrzymał mnie za rękaw. Był to nadkomisarz Brandy, a raczej znów była to ogromnego wzrostu zakonnica w nieskazitelnym kornecie i skromnym habicie.

Jakim cudem nadkomisarz tak szybko mnie dogonił?!

— Żegnam siostrę! — szepnąłem z nienawiścią.

— Żadne „żegnam”, lecz... do zobaczenia, łaskawy panie — rzekła zakonnica i zdjawszy przydymione okulary zajrzała mi prosto w oczy. Świat zawirował, pociemniał. Na szczęście po schodkach zbiegła polska stewardesa i pociągnęła mnie ku górze. Była to ostatnia chwila — schodki zaczęły już odjeżdżać.

Musiałem wyglądać niezbyt przytomnie, bo jasnowłosa i ciemnooka panna Jadwiga — dobra moja znajoma — od razu podała szklanekę wody. Ręka mi drżała, musiałem być dość blady. Wypiłem wodę jednym haustem, a potem przytrzymałem dziewczynę za rękaw.

— Widziała pani oczy tej zakonnicy? — spytałem zdławionym głosem.

Spojrzała na mnie w wielkim zdumieniu.

— Nie.

— To dobrze, to bardzo dobrze — szepnąłem.

Panna Jadwiga dotknęła mego czoła, potem ujęła za puls. Poprosiłem o sok z grejpfruta. Niestety, był tylko pomarańczowy. Poprosiłem o pomarańczowy. Wypiłem już nieco spokojniej.

Byłem bardzo zmęczony. Utrudzony jak po długim biegu lub okrutnym śnie. A przecież przez dobre pół godziny nie przymykałem powiek, bojąc się, by znów nie ujrzeć przed sobą oczu nadkomisarza Brandy, z których prawie „ze złotą iskierką na dnie prześwidrowywało każdego na wylot, a lewe, puste i czarne, było jak wąskie ucho igielne, jak wylot bezdennej studni wszelakich ciemności i cieni”.

W końcu, nie wiedząc kiedy, usnąłem. Obudziłem się dopiero nad Warszawą, całą w śniegu i słońcu. Moja radość była wielka — zapomniałem o wszelkich bzdurach, ambasadorach, gwiazdach, komisarzach i zakonnicach. Co więcej, spotkała mnie nadzwyczaj miła niespodzianka. Oto udało mi się złapać bezpośrednie połączenie lotnicze do Krakowa. Zdążyłem jeszcze zjeść obiad na Okęciu, a o godzinie piętnastej dwadzieścia pięć trzeci z kolei w ciągu ostatniej doby samolot ruszył na start, by zanieść mnie wreszcie do domu.

Ogarnęło mnie poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Zacząłem planować jutrzejszy dzień. W zasadzie należałoby odpocząć, odetchnąć po kongresowych ciężkich robotach i idiotycznych przypadkach na lotnisku genewskim. Tym bardziej że — jak zwykle po dużym wysiłku — miałem uczucie jakiejś przerwy w pamięci. O czym właściwie mogłem zapomnieć? Czy nie zawałem czegoś na kongresie? Sięgnąłem po notatnik — odetchnąłem z ulgą. Ze skreśleń w spisie spraw do załatwienia wynikało, że byłem w porządku. Lot z Rio do Genewy? Pamiętałem jedynie ból głowy i stewardesę o kreolskiej urodzie. Dopiero ta idiotyczna przygoda w Genewie — całkiem w stylu drugorzędnej komedii filmowej — idiotyczna, a niewiarygodna. Po chwili namysłu postanowiłem, że nie będę się nią chwalił przed światem. Kto poza Krystyną uwierzy w Wielką Gwiazdę, nadkomisarza Interpolu w stroju siostry zakonnej i jubilera z Gęsiej? Pierwszy bym nie uwierzył.

Co dalej? Tu wreszcie trafiłem na nie rozwiązana zagadkę. Dlaczego mianowicie i z jakiego powodu tak podziałał na mnie widok odsłoniętych oczu nadkomisarza Brandy?

Wzruszyłem ramionami. Widocznie wyczerpały mnie perypetie z Wielką Gwiazdą, a raczej jej nędzną imitacją. Prawda — były to oczy dość niesamowite, kojarzące się z jakimś zagrożeniem, wzbudzające poczucie niebezpieczeństwa. Tak to przynajmniej zapamiętałem, ale teraz, w tej chwili, wspomnienie było raczej niepoważne. Sam nadkomisarz wyglądał w owym przebraniu jak postać z amatorskiego przedstawienia teatralnego. Ten wzrost! Żle wygolony podbródek! Buty jak na nogę młodocianego hipopotama! Łapy ciężarowca, nos boksera — i ów nieskazitelny kornet.

Samolot skierował się ku południowi. Ja zaś w końcu wspominając postać nadkomisarza wpiers się roześmiałem, a potem wzruszyłem ramionami — co za bzdury! Skąd więc mój niepokój, a nawet strach? Musiały być to skutki przemęczenia, nadmiernego napięcia nerwowego.

Obiecałem sobie raz jeszcze, że jutrzejszy dzień muszę przeznaczyć na pełny odpoczynek. Tak, kłopot tylko w tym, że najbardziej męczą mnie nieróbstwo i nuda i że od dość dawna najlepszą formą odpoczynku i rozrywki jest dla mnie praca. Rzecz prosta — wtedy, kiedy idzie dobrze, doświadczenia się udają, a cel i sens kolejnej roboty widzę już jasno i przejrzysto. Tak więc chyba zacznę odpoczynek od odwiedzin w laboratorium i przejrzania wyników doświadczeń zaplanowanych na czas mojej nieobecności.

— Przepraszam bardzo — usłyszałem. — Czy miejsce obok pana jest wolne?

Spojrzałem na pytającą osobę. Nieco się zdziwiłem. W przejściu między fotelami stał

dziesięcioletni mniej więcej chłopiec. Dobrze odżywiony, starannie ubrany, bardzo rzeczowy.

— Przepraszam, że przeszkadzam — ciągnął sympatycznym chłopięcym altem — ale nierozważnie usiadłem na ogonie. A tam zaczyna już trochę huścić. Od dziecka źle znoszą huśtanie. Czy pozwoli pan zatem usiąść koło siebie?

— Ależ proszę — odpowiedziałem. — Miejsce jest do twojej dyspozycji.

Pomogłem mu powiesić palto na wieszaku, torbę podróżną ustawiłem na półce. Bawił mnie. W zasadzie nie lubię młodocianych geniuszków. Ten miał jednak miły głos i szczerą powagę w sobie. Pod pachą dzierżył dość grubą książkę.

— Sam lecis? — spytałem.

— Przecież — odpowiedział — jest nas tu około trzydziestu osób.

Uśmiechnąłem się.

— Pytałem o rodziców.

— Rodzice moi, proszę pana, są niestety dość staroświeccy — odparł po chwili namysłu. — Podróżują raczej koleją.

— Nie boją się puszczać ciebie samego?

— Zazwyczaj udaje mi się ich przekonać. Poza tym pociągi w zimie są przegrzane lub niedogrzone, a ja mam skłonność do zapadania na anginę. Jestem uczulony.

Wypadało podtrzymać rozmowę.

— Jesteś uczulony na przegrzanie czy niedogrzenie?

Zaprzeczył głową.

— Na spóźnienia. Przede wszystkim na spóźnienia — rzekł surowym głosem. — Pociągi zimą spóźniają się w sposób niedopuszczalny. A ja mam zamówionego dentystę na osiemnastą zero, zero. Niestety.

Tu położył na kolanach książkę w barwnej obwolucie. Mimo woli spojrzałem na tytuł — „Przygody Marka Piegusa”. Trochę mi się zrobiło dziwnie po ostatnich słowach chłopca, zamierzałem więc wyjaśnić sprawę owego uczulenia i dentysty.

Ale od czego zacząć? Może książka będzie dobrym pretekstem.

— Zabawny ten „Piegus” — rzekłem. — Prawda?

— I owszem — odpowiedział. — Ładną mamy dziś pogodę. Nieprawdaż?

Otworzył książkę i zabrał się do lektury, a ja przez moment miałem rzetelną ochotę przełożyć go przez kolano. Z miłego cudownego dziecka wylaźł arogancki geniuszek! „Zre-sztą — pomyślałem od razu — mały nie jest winien. Tak go widocznie wychowano: słownik profesorski, dowcipy bezczelne, sodowa woda pod przyciętą grzywką. Dobrze przynajmniej, że lekturę ma normalną”.

Lubię od czasu do czasu dobre książki dla młodych czytelników — a mój Marek już przed kilku laty zareklamował mi „Piegusa” i ubawiłem się znakomicie.

Mimo woli zajrzałem przez ramię młodego człowieka — i znów (który to już raz w ciągu tej podróży?!) odniosłem wrażenie, że albo ja tracę kontakt z rzeczywistością, albo rzeczywistość traci go ze mną.

Potrząsałem głową, zamknąłem oczy, rozluźniłem krawat, ugryzłem się w palec. Nie pomogło. Fakt był faktem: na kolanach siedzącego obok mnie malca leżał wielki tom o grubych pergaminowych kartach pokrytych najdziwniejszymi rysunkami, obliczeniami, formułami.

Jeden z moich przyjaciół, zawzięty zbieracz starych książek, szczyci się tym, że jest właścicielem dwu rozpraw z dziedziny Czarnej Magii, jak też kilku podręczników astrologiczno-wróżbiarskich z XVI i XVII wieku. A tak jest dumny z owych bibliofilskich bogactw, że podpycha je pod oczy, niezależnie od tego, czy ktoś widział owe skarby po raz pierwszy, drugi czy dwudziesty.

Ja należałem do owych trzeciej kategorii znajomych. Widywałem owe księgi mniej więcej trzy razy w miesiącu, a dodam tu, że znamy się od lat jedenastu. Każdy może łatwo

obliczyć, ile mniej więcej razy musiałem widzieć owe dzieła. Dlatego w pierwszej już chwili zorientowałem się, jakiego typu lekturą zajmuje się mój młody sąsiad. Rozpoznałem wielokrotnie widywane figury magiczne, znaki, formuły zaklęć.

Zaschło mi w gardle, pochyliłem się nad ramieniem chłopca.

— Nie zasłaniam profesorowi? — usłyszałem zgryźliwe pytanie.

Byłem ciągle jeszcze tak zdumiony, że nie zwracałem uwagi na arogancki ton i bezczelne słowa.

— A gdzie jest „Piegus”? — pytałem nieporadnie.

— Jaki Piegus?

— No przecież trzymałeś pod pachą „Piegusa”.

— Przepraszam — zabrzmiała lodowata odpowiedź — ale nikogo nie nosiłem pod pachą. A w ogóle nie znam człowieka.

— A co to jest? — wskazałem księgę.

— Ach — ciągnął przekłety chłopczek — to jest po prostu *Caballa magna* * mistrza Asmodeusza, przygotowana do druku pod redakcją mistrza Wolanda, wydana w wersji dwujęzycznej, po łacinie i grecku, rok 1444, w drukarni Mefisto i Synowie, w Norymberdze. Ja osobiście uważam, że tekst starogrecki jest czytelniejszy. Bardzo ciekawa lektura.

Poczułem, że się duszę, że kark mój czerwienieje, czerwień zmienia się w purpurę, a purpura przechodzi w fiolet. Szarpnąłem za kołnierzyk. Guzik pod szyją puścił i odskoczył jak z procy.

Odetchnąłem głębiej.

— Mój drogi — powiedziałem. — P o w t ó r z, co powiedziałeś.

Powtórzył.

Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymałem się, by nie szarpnąć szczeniaka za ucho. Policzyłem tym razem do dwudziestu — tam i z powrotem. Pomogło.

— Powiadasz, że tekst grecki jest czytelniejszy? — spytałem.

— I owszem. W łacińskim pełno ortograficznych błędów i barbaryzmów. Ale całość bardzo... bardzo interesująca. Pan profesor nie rozumie?

— Nie — warknąłem. — Nie rozumiem.

— I to pana złości?

— Jeszcze jak!

Smarkacz nadał się jak purchawa.

— Bardzo charakterystyczne dla wapniaków — rzekł. — Nie jesteście w stanie pojąć duszy młodego człowieka, a odpowiedzialność za to przerzucacie właśnie na nas.

Nie ukrywałem, że sam nie inaczej określałem źródło błędów wychowawczych popełnionych przez dorosłych wobec młodzieży. Tym jednak razem bezczelny geniuszek tak mnie rozjuszył, że utraciłem dystans do sprawy. Czułem chrypkę w głosie i upałem na karku. Mimo to uśmiechnąłem się dość grzecznie.

— Mnie ciekawi w tej chwili — mówiłem — z jakich właściwie powodów interesujesz się magią, kabalistyką i astrologią?

— Proste — odrzekł. — Zamierzam się poświęcić tym dziedzinom.

— Co?! — krzyknąłem. — W naszych czasach?!

Mały uśmiechnął się z wyższością.

— Drogi profesorze — rzekł. — Większość mego życia, w przeciwieństwie do pana, przypadnie na wiek dwudziesty pierwszy.

— I mimo to chcesz — pytałem — zostać astrologiem, magiem i wróżbitą?!

— I owszem.

— Drogie dziecko — oświadczyłem ze współczuciem. — Przecież posadzą cię albo za

* *Caballa magna* (łac.) — dosł.: „Wielka kabała”.

kratki, albo... w najlepszym przypadku... do szpitala. Czarno widzę przed tobą, chłopysiu.

Łypnął na mnie dziwnie czarnym i pustym oczkiem.

— Uważam — rzekł ostro — że nic pana nie upoważnia do nazywania mnie „chłopsiem”.

— Przepraszam. Ale ponieważ nie rozumiem twoich planów — mówiłem tonem możliwie pojednawczym — będę wdzięczny, jeśli sam mi coś z tego wytłumaczysz. Przecież... powinieneś o tym wiedzieć... nasz kodeks karny nie toleruje takich sposobów nabierania, jak wróżby, chiromancje, astrologie i inne tego typu oszukaństwa.

Chłopyś zaśmiał się jakoś bardzo dziwnie, prawie basem.

„Mutacja — pomyślałem szybko. — Ale skąd ja znam ten śmiech?”

— Jest pan naiwny, drogi panie — zaśmiał się. — Ja wcale nie zamierzam łączyć swojej kariery ani z waszym głupim socjalizmem, ani z waszym idiotycznym kodeksem karnym.

„Nie wytrzymam — pomyślałem — nie wytrzymam. Przerzucę szczeniaka przez kolano i wrzepię w tłusty zadek”.

Zawsze byłem wrogiem kar cielesnych. Mój Marek ma szesnaście lat, a po pupie dostał ode mnie dwa razy, i to przed piątym rokiem życia. Ale ten bezczelny fifak budził we mnie najgorsze instynkty.

W drugim jego oczku łysnęła złota iskierka jawnej kpiny.

On zaś ciągnął swoje:

— Wybacz pan ostre sformułowanie. Ale w tym k r a j u nie ma możliwości dla ludzi o moich talentach i mojej wyobraźni. Doczekam do pełnoletności... i tyle mnie zobaczycie. Moje uszanowanie, i cześć! Jadę na Zachód. Tam dopiero otworzy się przede mną prawdziwa kariera. Mało pracy, duża forsa, minimum ryzyka.

— Tak sądzisz? — spytałem.

Mały zaśmiał się jak ropucha.

— Profesorze! — mówił coraz to obniżającym się altem. — Trzeba znać statystyki, rzeczywistość. Na przykład Wielka Brytania. Kraj, szanowny panie, cywilizowany i uprzemysłowiony, nauka na wysokim poziomie i w ogóle. Ale badania wykazują, że co trzeci obywatel wierzy w duchy, co siódmy wierzy w diabła, co czternasty widział upiora na własne oczy i tak dalej, i tym podobnie. Więcej: z przebadanych sześćdziesięciu siedmiu wielkich przedsiębiorstw przemysłowych, czterdzieści dziewięć zatrudnia na stałe wróżbiarzy lub astrologów. Wedle poufnych informacji, niektóre ministerstwa... jak ministerstwo wojny, handlu i spraw wewnętrznych... czynią to samo. Tyle że w sposób ściśle tajny. No i co? — zaśmiał się mały. — Nie mam racji? A ile gazet francuskich, angielskich i amerykańskich zamieszcza stałe rubryki astrologiczne. Panie kochany! Przy odpowiedniej dozie sprytu można w Londynie wyciągnąć do tysiąca funtów miesięcznie z samej praktyki prywatnej. Nie licząc etatów w handlu lub w pracy państwowej. A wy mi tu chcecie zawracać głowę marksizmem i studiami wyższymi? Chała! Śmierć frajerom!

„Mnie tu zaraz szlag trafi — pomyślałem. — Cóż to za obrzydliwy cyniczny gówniarz!”

Złość trzęsła mną niczym atak malarii, przed oczami miałem rudą mgiełkę.

W zasadzie nie znoszę drętwej mowy ani łatwych uogólnień. Jemu jednak udawało się zmusić mnie do tego. Czułem, że z sekundy na sekundę coraz bardziej wapnieję, łysieję, siwieję, nadymam się niczym na pomniku.

— Otóż to! — krzyknąłem. — Tacy jesteście! Myśmy walczyli, harowali, cierpieli głód, płonęli entuzjazmem, nie liczyliśmy na tłuste kariery, mieliśmy poczucie honoru i obowiązku! A wy?

— My? — spytał z cienkim chichotem. — Jacy my?

— Jacy wy? — huknąłem pięścią w kolano tak, że przez moment straciłem nawet rozeznanie, co bardziej zabolalo: pięść czy kolano?

— Jacy wy? — powtórzyłem i rozcierając pięść o kolano ciągnąłem dalej ze szczerą furią. — Wy! Młodziaki! Cudowne dzieci wychowane na mleku i miodzie, przekonane, że wszystko wam się należy, a od was nie należy się nic. Ech, wy... rodzina i ojczyzna wychowa was, wykarmi, ubierze. A wam w głowie nic, tylko piastowskie loczki do ramion i ochota kariery na Zachodzie! Bęcwały kosmiczne!

— Przepraszam! — przerwał mi ostro młodociany sąsiad. — Ma pan potomstwo?

— Że co?

— Pytam, czy ma pan dzieci?

— Syna.

— No i co? — pytał. — Jaki z niego bęcwał? Średni, mały czy kosmiczny?

— Wybaczy pan — oświadczyłem z godnością. — Ale on jest inny!

— Gorszy czy lepszy?

— Lepszy.

— He, he, he — zaśmiał się obrzydliwy malec aksamitnym basem. — Czy aby nie myli się pan?

— Nie.

— A co pan wie o swoim synalku?

— Swoje wiem — warknąłem.

Mały zaczął znów się śmiać, a mnie odebrało mowę. Ujrzałem wreszcie oczy złowrogiego karła! Jedno świeciło złotą iskierką, a drugie było czarne i puste jak bezdenne studnia!

Śmiał się! A w tym złowrogim śmiechu ukazał dwa żółtawe tygrysie kły, zaś włosy zaczęły mu iskrzyć i żarzyć się ponuro niczym rubin Wielkiej Gwiazdy, którą ujrzałem nagle wpiętą w klapę jego marynarki.

— Bęcwał! — warczał mały głębokim basem. — Ja ci pokażę, megalomanie jeden, co ty naprawdę wiesz.

— A więc znowu pan, Mister Di? — spytałem szeptem. — Pan chyba żartuje.

— Ani mi w głowie. I choć długo to, niestety, nie potrwa — mówił rozptywając się powoli w migotliwym, niewyraźnym świetle — swoje spamiętasz. Spokojna głowa, że na długo. Pojmujesz, profesorku?

Znalazłem jedną tylko odpowiedź. A mianowicie: mimo niewygodnego ustawienia, z całą siłą, na jaką było mnie stać, wyprowadziłem prawym hakiem cios wprost na szczękę złowrogiego karła.

Oczywiście! On już zniknął, a ja trafiłem w twardą poręcz fotela. Miałem przy tym poczucie, że zarówno prawa pięść, jak obie moje półkule mózgowe rozsypują się na części proste. Jeszcze chwila, a sam rozwieję się jak dym cygara, jak mgiełka spalin, jak obłoczek pary na Antarktydzie.

Odnoszę przykre wrażenie, że — opowiadając o tym wszystkim — mimo woli nieustannie ośmieszam się i wygłupiam. Wcale mnie to nie cieszy. Nie lubię tego typu humoru ani dowcipu.

Tym razem jednak byłem bezradny. Zdarzyło mi się to, co mi się zdarzyło. Łącznie z ciosem w fotel i jękiem, jaki z siebie wydałem.

Na szczęście znaleźliśmy się już nad lotniskiem. Zapłonął świetlny napis zakazujący palenia, a zalecający zapięcie pasów bezpieczeństwa.

Samolot przechylił się na skrzydło, do ostatniej rundy przed lądowaniem. Moje serce biło dzikim rytmem, bo oto wróciła mi nagle cała pamięć. Londyński buchalterek i demoniczny ambasador, oczy nadkomisarza i diaboliczny śmiech rzekomego dziesięciolatka. Mister Di, jego groźby i spacer na skrzydle boeinga, czarcie figle na genewskim lotnisku, diabła bezczelność rzekomego dziesięciolatka.

Nie bardzo pamiętam, jak znalazłem się w autobusie Lotu, który odwiózł nas na Rynek. Pamiętam tyle, że był już zmrok, że światło latarni przyćmiewał drobny, iskrzący śnieg, że

akurat trafiliśmy na hejnał. Pamiętam przede wszystkim poczucie nieokreślonego zagrożenia, kolejnego niebezpieczeństwa lub wygłupu.

Aby ochłonać, wracałem do domu piechotą. Walizka była lekka, wieczór piękny i tajemniczy, wokół światła latarni drobny śnieg tworzył tęczowe kręgi. Wchodząc na Planty zawałęm się: tuż pod moimi nogami wędrował sobie czarny, spasiony, arogancki kocur. Tfu! Splunąłem. W chwilę potem, jak w innym świecie, wymiarze i czasie, przeszła mi nagle drogę bosonoga, młoda wieśniaczka w czerwonej chustce i zapasce, w aksamitnym staniku, niosąc dwa puste wiadra.

Nie miałem już nawet sił na zdziwienie. Marzyłem, byle dostać się do domu, wziąć kąpiel i od razu spać! Spać, przespać to wszystko, zbudzić się znowu w zwykłej formie i ludzkiej postaci.

Nadzieja dodała mi sił. Ruszyłem szybszym krokiem. Po chwili ujrzałem swój dom. Winda — oczywiście — jak zwykle po powrocie, kiedy niosło się walizki, stała między piętrami. Jej kontrolne światło żarzyło się ciemnym ogniem niczym rubin Wielkiej Gwiazdy. Ja jednak poczułem w sobie nagle wspaniałą świeżość mięśni i żelazną kondycję. Zaśmiałem się — co mi tam winda? Pogałęm schodami co drugi stopień — całkiem jak Marek, jego codziennym zwyczajem.

Nawet się nie zadyszałem.

Otwarłem drzwi. Cisnąłem płaszcz i walizkę byle jak, w przedpokoju, choć nie raz i dwa czepiałem się Marka za podobne zwyczaje. Wbiegłem do pokoju, zaświeciłem światło i... i odebrało mi głos.

Oto naprzeciw mnie stał z ogłupiałą miną mój syn Marek!

Mrugał tak jak ja powiekami, potem przedrzeźniając mnie uszczypnął się w ucho.

— Marek — krzyknąłem. — A ty tu skąd?

Odpowiedziała mi cisza.

Postąpiłem krok naprzód. On też.

— Skądś się wziął? — spytałem.

On również poruszył wargami, ale nie dosłyszałem słowa. Postąpiłem krok drugi i trzeci. Wyciągnąłem rękę. Dotknąłem gładkiej, zimnej powierzchni lustra.

Skądś, jakby z rur wodociągowych, posłyszałem starczy chichot pana Di: „Niedługo to potrwa, ale popamiętasz!”

Zrozumiawszy zaś, poczułem po raz pierwszy w życiu, jak miękną mi kolana, jak sufit pada mi na głowę, a podłoga skacze w górę. I jeszcze jako ja — ale już w skórze mego szesnastoletniego syna — spłynąłem ku ziemi. Czyli — zemdlałem.

Może kogoś to dziwi?

Niech sam spróbuje.

2

Rano obudziłem się zgodnie z nową sytuacją — na wersalce Marka. Za oknem rozjaśniał się szarobiały zimowy ranek.

W ciągu kilku pierwszych sekund nie pojmowałem jeszcze, skąd na mnie piżama mego syna i dlaczego odruchowo masując brodę czuję zamiast twardej szczecinki zarostu niespodziewaną miękkość. Kiedy jednak usiadłem na pościeli, wróciła mi pełna pamięć faktów, poczynając od przejścia do salonu I klasy boeinga, a kończąc na omdleniu na widok swego odbicia w lustrze.

Co było potem?

Po kolei: pozbierałem się jako tako, wziąłem kąpiel, zrewidowałem lodówkę, urządziłem sobie kolację i od razu poszedłem spać. A mózg mój i myśli moje czarne były i puste, niczym wylot bezdennej studni.

Czy miałem jakieś sny? Chyba nie.

Obecnie była godzina siódma dwadzieścia sześć, środa, miesiąc styczeń. Włączyłem radio. Spiker mówił o opadach śnieżnych w całym kraju i o trudnej sytuacji w kolejnictwie — szczególnie jeśli chodzi o województwa północnowschodnie. W Tatrach warunki narciarskie znakomite, podobnie jak w Karkonoszach. Zezłościła mnie ta informacja — co mi po znakomitych warunkach narciarskich?

Otworzyłem szeroko okno, zabrałem się do gimnastyki. Miłe to jednak uczucie, kiedy trzydzieści przysiadów nie sprawia żadnych kłopotów ani mięśniom, ani sercu. Przysiady, skłony, suchy crawl na stołku... ciągnąłem to wszystko do siódmych potów, ciągle jeszcze starając się nie myśleć o swojej nowej skórze. Udawało mi się to podczas gimnastyki i pod tuszem.

W żołądku tymczasem otworzyło się coś w rodzaju bezdennej studni. Zabrakło oczywiście pieczywa, ale w lodówce nadal było za czym się rozejrzeć: ćwierć kilo białego sera, pięć deka szynki z drobiu, dwa jajka na twardo, pół litra mocnej herbaty ze skondensowanym mlekiem — załatwiłem się z tym wszystkim w dwie minuty i dziewięć sekund.

Śniadanko było dobrej klasy. Przydałby się po nim smaczny papieros. Miałem w biurku kilka „gościnnych” paczek: od sportów po bensony. Poniosło mnie do właściwej szuflady jak wiedźmę na miotle. Paczka bensonów była otwarta. Już miałem peta w gębie i zapałki w rękach, kiedy przyszło opamiętanie. Komu ja tym zrobię kawał? Sam przetrzymałem niemal pięć tygodni bez dymka. A Marek nie palił od trzech miesięcy.

Nie orientowałem się jeszcze, do jakiego stopnia i na jakich zasadach ten chuligan z piątego wymiaru, Mister Di, wsadził moją świadomość w organizm mego szesnastoletniego syna. Jedno było pewne: tym papierosem złamię albo siebie, albo Marka, albo nas obu. Zakląłem na cały głos, bensoną rozdarłem na strzępki, zapałki odniosłem do kuchni, znowu włożyłem w połataną dzinsy i włochaty golf Marka, a w końcu rozsiadłem się na ławie pod półkami biblioteki. Zawsze najlepiej myślało mi się przy cichej muzyce. Tym jednak razem, zamiast sięgnąć po swoje płyty z Bachem, Mozartem lub Strawińskim, jakby mimo woli sięgnąłem z Markowego biurka magnetofon i puściłem pierwszą z brzegu taśmę.

Tak — pod akompaniament Zeppelinów, potem Beatlesów i Skaldów — zacząłem rozmyślać. A miałem nad czym!

Mister Di oświadczył wyraźnie, że „długo to nie potrwa, ale zapamiętam do końca życia”. Niespodzianka była rzeczywiście ponad wszelkie wyobrażenia. Nic w końcu dziwnego, że podczas pierwszego wizualnego spotkania z sobą samym (a raczej: z sobą cudzym) zemdlałem przed lustrem niczym anemiczna dziewczica po pierwszym pocałunku.

Od tego jednak czasu minęło ponad dziesięć godzin. Zacząłem się więc jak gdyby przyzwyczajając. Bardzo mi było wygodnie w połatanych dzinsach — całkiem nieźle mi się myślało przy akompaniamencie Beatlesów („*Because*” * itd.), prawe kolano samo podskakiwało do rytmu.

— Słuchaj no, Jarecki — rzekłem sam do siebie, ale zarazem głosem Marka i jakby po trosze z jego pozycji. — Fakt jest faktem. Jaka więc jest sytuacja? Sytuacja jest tragiczna, ale za to całkiem niepoważna. Najważniejsze: co robimy dalej?

Oto pytanie o znaczeniu podstawowym! Sytuacja rzeczywiście była podbramkowa. Dialektyczna: i do płaczu, i do śmiechu. Mnie jakoś śmiać się nie chciało.

„Można by — pomyślałem — dokonać uniku. Zamknąć się na cztery spusty, nie odbie-

* *Because* (ang.) — dosł.: „Dlatego że...”.

rać telefonów, udawać nieobecnego. Przeczekać. Aż wróca Krystyna z Markiem... Zaraz! Zaraz!” — w tym momencie coś u. mnie głucho jęknęło. Bo co będzie, jeśli żona i syn zastaną mnie w mojej postaci obecnej?

Świat zakołował wokół mej głowy. Gdzieś, z bardzo daleka, odezwał się starczy chichot i aksamitnie basowy śmiech, całkiem jak z arii Mefista:

— Hahaha — ha!

— Cha-cha-cha! — wrzasnąłem. — Ten numer nie przejdzie! To ci się nie uda!

Chyba rzeczywiście miałem rację. Przypomnijmy sobie raz jeszcze: „długo to nie potrwa”. A więc jak długo? Doba? Dwie? Trzy?

Maksimum trzy, zdecydowałem. A jeśli według pierwotnego pomysłu zastrajkuję, zamknę się na cztery spusty i wyłączę telefon? Mister Di będzie się mógł wypchać i pomalować farbami fosforowymi w harcerskie lilijki i pawie oczka. Ja zaś sobie wreszcie odpocznę jak na bezludnej wyspie.

— Zaraz, zaraz — powiedziałem znów głosem Marka, ale tym razem raczej z pozycji własnej. — Takie wyjście byłoby zbyt łatwe. Przecież stoi przed nami okazja do niezwyklego doświadczenia psychologiczno-socjologicznego. Wapniak w skórze młodziaka, ojciec w kostiumie synowskim. Facet po czterdziestce w postaci nastolatka. Od czasów przygód doktora Fausta nie znamy podobnych przypadków. Przyznajmy! heca się stała iście diabelska. Ale po pierwsze, diabła nie ma. A po drugie, eksperyment istotnie może być ciekawy.

— Hahaha — ha! — roześmiałem się niczym Mefisto w arii z „Fausta”. A tym razem żadne, nawet najskromniejsze echo mi nie odpowiedziało. Jakby Mister Di spietrał się lub zgoła przemienił w nicłość.

Muszę tu podkreślić, że roześmiałem się z rzeczywistą radością. Odezwała się we mnie dusza naukowca. Wprawdzie jestem specjalistą od genetyki roślin (stąd między innymi moja obecność w FAO) — ale jeśli zdołam uczciwie opisać całą tę historię, może ona stać się drobnym, bo drobnym, ale nie najdrobniejszym chyba przyczynkiem do nie kończącej się dyskusji na temat: młodzież — dorośli, dzieci — rodzice.

A zresztą — i to właśnie było chyba najważniejsze — będę mógł nareszcie trochę rozemnieć się w życiu, środowisku i sprawach mego syna. Myślę, że zarówno Krystyna, jak i ja osobiście, jesteśmy n a p r a w d ę zaprzyjaźnieni z Markiem. Ale my dość dawno weszliśmy już w okres pełnej dojrzałości, natomiast Marek jest w okresie wchodzenia w świat, budowania w sobie pierwszych na ów świat poglądów.

Jest to zaś okres, w którym najszczerze kontakty z rodzicami w pewien sposób kończą się. Nadal pozostaje przyjaźń, wzajemne zaufanie, ogólne porozumienie. Ale dziecięca szczerość ustępuje — bo m u s i ustąpić nowym, własnym tajemnicom. Tak się zdarza nawet w rodzinach, w których (jak na przykład u nas) istnieje rzetelne porozumienie między rodzicami a młodym człowiekiem.

Jak widzę, wpadłem tu w tak zwane rozważania ogólne. Prawdopodobnie znajdą się czytelnicy, których nudzi tego typu gadanina i których interesuje goła, że tak powiem, akcja. Polecam im zatem przeskoczenie od razu o kilka stron. Tym zaś, których zajmują również sprawy ogólne, zwracam uwagę, że w okresie dojrzewania zaczyna się czas tworzenia w ł a s n y c h ocen, odkrywanie w ł a s n y c h uczuć i łączącej się z nimi nieufności do s i e b i e i do dorosłych, z rodzicami i szkołą na czele.

Wtedy nawet najlepsi przyjaciele własnych rodziców milkną. Zamykają się w sobie. Jeśli szukają okazji do szczerego porozumienia, wybierają przede wszystkim rówieśników. Bo w owym wieku dojrzewania — sam to pamiętam z własnych doświadczeń — człowiek staje przed swoją przyszłością jak nad brzegami wielkiego morza, które należy przepłynąć. A źle i trudno jest płynąć samemu. Szuka się więc wśród rówieśników współnika i towarzysza owej dalekiej wyprawy. Tak to powstają te najprawdziwsze w życiu i nierozzerwalne przyjaźnie, o których myśli się, że trwać będą wiecznie. W tym też okresie zdarzają się również

pierwsze prawdziwe miłości i pierwsze prawdziwe nieszczęścia.

Rozmyślając na owe tematy siedziałem na ławie pod bibliotecznymi półkami w synowskiej skórce, w Markowej bieliźnie, golfie i dzinsach. Ale ciągle jeszcze myślało mi się w kategoriach czterdziestolatka. Ojca, który chce być jednym z najbardziej niezawodnych przyjaciół swego syna. Wiedziałem jednak, że w ciągu ostatniego roku chłopiec nie tyle się od nas (od Krystyny i ode mnie) oddalił, ile zaczął mieć własne tajemnice, niedostępne nam myśli, sądy, uczucia. Jest to jednak zjawisko naturalne.

— Tak — rzekłem na głos — rzecz jest ludzka, a zjawisko naturalne. Podobnie jak nasza ciekawość.

Otóż to: nasza, czyli rodzicielska ciekawość. Gdzieś był? Kiedy wrócisz? O czym myślisz? Co to za dziewczyna, z którą cię widzieliśmy? I tak dalej...

— I tym podobnie — parsknąłem pogardliwie głosem Marka, choć przecież Krystyna i ja staraliśmy się unikać tego typu pytań.

„Zaufanie (mówiliśmy między sobą) — nie wymaga pytań ani odpowiedzi”.

Istotnie — śledcze metody wychowawcze uczą przede wszystkim kłamstwa. Jest to najprostsza droga do całkowitej utraty porozumienia między rodzicami i dziećmi. Szczególnie wtedy, kiedy rodzice zapominają o dwóch rzeczach, po pierwsze: o własnej wczesnej młodości. Po drugie: kiedy nie biorą poprawki na czas, który minął od owej młodości. Poprawki na nowe obyczaje i nowy obraz świata.

— Ale przecież — powtórzyłem — nasza rodzicielska ciekawość też jest rzeczą bardzo ludzką. Trzeba tylko zrozumieć jej sens. Rozumiesz? — spytałem siebie jako ja.

— Staram się, ale... — odpowiedziałem sobie jako Marek.

— Co za „ale”?

— No... w ogóle... nie wszystko, co ludzkie, jest zrozumiałe.

Z półek na książki spojrział na mnie wyrazisty tytuł: „Idiota”. Kogo to się tyczyło? Kto tu coś zamieszał? „Idiota” Dostojewskiego stał zazwyczaj na innym miejscu. I jeśli jakiś lokajczyk pana Di podsunął mi ów tytuł pod sam nos, to aluzja też była nie na miejscu.

Rozzłościłem się. Cofnąłem taśmę w magnetofonie na Skaldów.

Ostatecznie Marek jest dostatecznie inteligentny, żeby zrozumieć, na czym polega nasza wobec niego powściągliwość, a czym w istocie jest nasza ciekawość. Dyskrecja rodziców jest dowodem uczciwego zaufania. A ciekawość?

Wstałem. Odwróciłem się plecami do „Idioty” i rzekłem pełnym, pewnym siebie, własnym barytonem:

— Nasza ciekawość jest po prostu przejawem niepokoju o młodego człowieka, który nie zna jeszcze niebezpieczeństw dojrzałego życia.

„Nie inaczej: troska i niepokój — myślałem dalej. — Przecież nawet ci rodzice czy wychowawcy, którzy zamiast porozmawiać, pogadać i przekonać, stosują metody sędziego śledczego, chcą bronić swych podsądnych przed ich własnym niedoświadczeniem. Gdzieś był(a)? Co robiłeś(aś)? Czemu tak późno wróciłeś(aś)?”

Prawda, że takie śledztwo może obrzydzić najbliższych. Ale przecież wyrozumiałość obowiązuje w obie strony.

Stanąłem przed lustrem, to znaczy — przed Markiem.

— Wyrozumiałość — powiedziałem — obowiązuje w obie strony. Nas wobec was, ale i was wobec nas. Jasne?

Marek w lustrze skinął głową. Wprawdzie nie z takim przekonaniem, jak ja bym to zrobił, ale zawsze.

Ja natomiast nagle roześmiałem się od ucha do ucha.

— No i co, *dear Mister Di*? — spytałem. — Chciałeś zrobić mi kawał. A tymczasem ja nie tylko będę miał wspaniałą okazję do przyjrzenia się z bliska problemom nastolatków, ale trochę się też dowiem o własnym moim chłopaku.

— Powoli... powoli... — zamruczał skądś aksamitny bas. — Do rana daleko!

W nagłym popłochu rozejrzałem się dookoła. Gdzie się mógł ukryć ów piekielny pokurcz? Ale już w następnej minucie westchnąłem z bardzo wielką ulgą. Był to po prostu fragment jakiegoś słuchowiska. Taśma w magnetofonie właśnie się skończyła, a z drugiego pokoju, gdzie stało radio, odezwał się ów aksamitny aktorski bas. Bo po prostu — starym zwyczajem Marka — zapomniałem wyłączyć skrzynkę. Basowi odpowiedział jakiś bohater-ski tenorek: „Zobaczmy... zobaczmy!”. Bas jednak zareagował tak bezczelnym wybuchem śmiechu, że rzuciłem się na radio jak bramkarz na piłkę i wyłączyłem.

Mimo to wydawało mi się, że ów śmiech trwa jakby trochę zbyt długo.

— Słuchaj, koleś, ekscelencjo! — powiedziałem głosem Marka. — My o b a j jeste-śmy niewierzący. A ja, ze swojej strony — te słowa właściwie mówił we mnie sam Marek — proszę grzecznie nie podchodzić za blisko pod rękę, bo skrzywdzę.

Uśmiechnąłem się, zajrzałem do lustra. Mrugnąłem do Marka, on do mnie. Coraz lepiej czułem się w młodej skórze i starych dżinsach. Tym bardziej że po ostatnich moich (naszych?) słowach w mieszkaniu zaległa cisza. Bezmyślnie i bez powodu zacząłem liczyć owe milczące sekundy.

W siedemnastej zadzwonił telefon.

Zaczyna się. Jeszcze przez moment wahałem się: podnieść słuchawkę czy nie podnieść? W końcu zdecydowałem: trzeba sprostać sytuacji. Niezależnie od tego, do którego z nas dzwonią.

Zdjąłem słuchawkę.

— Słucham:

Z drugiej strony odezwał się przepity bas:

— Leoś? — mówił bas. — Powiedz szefowi, że mam atak ślepej kiszki. Trzy dni zwo-łnienia.

— Atak? — spytałem uprzejmie. — Prawdziwy?

— Coś ty, Leoś? — mamrotał bas. — P o s z ł e m wczoraj w kurs. Z „Kubusia” do „Rybnej”, z „Rybnej” do „Kręgielni”, z „Kręgielni”... Czekać... dokąd poniosło mnie z „Kręgielni”? Nie wiesz czasem?

— Może do Izby Wyrzecznień?

— Eee — śmiał się bas. — Nie na mnie takie numery, Leoś!

— Szkoda!

— Cooo? — zdumiał się bas. — To ty, Leoś? Czekać, czekać... kto mówi?

— Szef, kotusiu — zaśmiałem się. — Ja ci dam atak ślepej kiszki, ja ci dam „Kręgiel-nię”...

— Panie szefie! — jęczał przerażony bas. — Szefuniu kochany...

— Jaki ja dla ciebie kochany? — wrzasnąłem odkładając słuchawkę.

Wyobraziłem sobie strach i rozpacz na przepitej gębie owego basa. Należało mu się. Zachichotałem na myśl, jaki będzie miała przebieg jego rozmowa z prawdziwym szefem. Zanim jednak zdążyłem rozwinąć ów temat, telefon znowu zaczął terkotać.

— Słucham?

— To ty, Marek? — usłyszałem ciche pytanie.

Serce zaczęło mi bić jak na trwogę. Po pierwsze dlatego, że jeśli powiem „Marek”, to już wejdę w całą tę awanturę obiema nogami. Po drugie, poznałem głos. Słyszałem go już wielokrotnie („Dzień dobry, mówi Ela Jaroń, czy mogę prosić Marka?”). To był właśnie ów alt, który zamilkł mniej więcej na dwa tygodnie przed moim wyjazdem.

Co robić? Przecież nie mogę włączyć z kopytami w najtajniejsze sprawy mego chłopca. A z drugiej strony — jeśli się teraz nie odezwę — mogę popsuć wszystko.

— Dzień dobry — powiedziałem. — Tak. To ja.

— Nie dziwisz się, że dzwonię?

— Bardzo się cieszę.

W jej głosie na pewno zabrzmiał uśmiech, choć starała się być bardzo obojętna i rzeczowa.

— Miło mi — powiedziała. — Mam do ciebie wielką prośbę. Wprawdzie po tym, co było...

Przerwałem jej:

— Jaką prośbę?

— Nie jesteś obrażony?

— Nie

— Słowo?

— Słowo honoru.

Nastała chwila ciszy i namysłu. Gdybym umiał się modlić, modliłbym się, żeby coś przerwało tę rozmowę. Na przykład: międzymiastowa. Ale w końcu sam byłem sobie winien. Podniosłem słuchawkę, powiedziałem: „Tak, to ja”, eksperymentu mi się zachciało! A oto teraz grozi sytuacja całkowicie bez wyjścia. Jeśli dziewczyna zacznie mówić o czymś „co było” (a o czym ja nie mam bladego pojęcia), od razu na wstępie tej piekielnej historii mogę wygłupić Marka w sposób niedopuszczalny.

Cisza w słuchawce trwała zbyt długo. Odchrząknąłem. Potem odezwałem się najcieplejszym z dostępnych mi młodzieńczych barytonów.

— Słucham...

— Bo widzisz... — zaczęła i znów urwała.

„Trzeba — pomyślałem — rozstrzygnąć sprawę po męsku. Jak szesnastoletni, rozumny mężczyzna”.

— Daję ci słowo — powtórzyłem — że będzie to dla mnie wielka radość... przysłużyć się tobie.

— Nie kłamiesz?

— Człowieku! — krzyknąłem. — Przecież już dwa razy dałem słowo honoru. Mało?

Po owym „człowieku” usłyszałem w słuchawce coś w rodzaju cichego, uroczego chichotu. Ale kiedy odezwała się znowu, jej głos był poważny.

— Wierzę — powiedziała. — Przecież nie zwracałabym się do ciebie, choć... Mniejsza o to. Jeszcze porozmawiamy, prawda?

— Tak.

— Ale dzisiaj chodzi o Zośkę... a raczej o Ambrożego. Marek — to już było naprawdę serio — z nimi jest bardzo źle. A raczej: z nim jest bardzo niedobrze. Jak ty mu nie pomożesz, nie wiem, kto to potrafi. Rozumiesz? Sam wiesz, jak sprawa może się skończyć. A do tego wszystkiego Zośka się z nim pokłóciła. Teraz siedzi u mnie i beczy... ale boi się iść do Ambrożego. Sam wiesz... jego ojciec...

— Tak — powiedziałem. — Wiem.

Musiałem otrzeć czoło z potu. Powiedziałem: wiem. A przecież nic nie wiedziałem. Nic nie wiedziałem o Zośce. I owszem — zapamiętałem imię Ambrożego. Ale w związku z czym? Marek na pewno wspominał o tym chłopcu. Ale co mówił? Imię było charakterystyczne, ale niczego ponad to nie zdołałem wykrzesać ze swej pamięci. Równocześnie jednak odniosłem dziwne wrażenie, jakbym miał w sobie jakiegoś suflera, który, po pierwsze, kazał mi się ogromnie cieszyć z tego, że Ela wreszcie się odezwała, choć ciągle jeszcze byłem w jakiś sposób na nią zły. A po drugie: choć nadal nic nie wiedziałem o Zośce i prawie nic o Ambrożym, to jednak ów dziwny sufler wewnętrzny nakazywał mi wziąć udział w tej sprawie, o której mówiła Ela.

Więcej: odniosłem wrażenie, że niezależnie od wszelkich niepokojów na temat Eli, wokół imienia i osoby Ambrożego czai się jakieś prawdziwe niebezpieczeństwo.

— Ela — powiedziałem. — Czekam na rozkazy.

— Ta idiotka siedzi u mnie i znów się maże.

— Zośka?

— Przecież nie księżniczka Małgorzata!

— Moja droga — rzekłem dość chłodno. — Wygląda na to, że nie ma czasu na dowcipy. Pytam: co mam robić?

Na chwilę ją zatkało. Obraziła się? Wzruszyłem ramionami — tak głupia chyba nie jest. Nie omyliłem się. Usłyszałem szmer rozmowy w słuchawce. Dziewczeta najpewniej naradzały się nad tym, co mam robić. Mnie zaś znów ogarnął strach. Czy dam sobie radę? Przecież będę musiał grać w ciemno. A sprawa na pewno nie jest błaha.

— Marek? — odezwała się wreszcie Ela.

— Tak?

— Musisz pójść do Ambrożego i pogadać z nim na serio. Musisz także wziąć list Zośki dla niego.

— Pięknie. Ale jak to załatwimy? Mam przyjechać po list?

Głos mi zdrzął. Przecież nie znam jej adresu. A Jaroniów w książce telefonicznej jest kilkunastu.

— Tak — powiedziała Ela. — Przyjeżdż.

— Nie! — natychmiast zaprzeczyła samej sobie, a ja odetchnąłem. — To by trwało za długo. Ja nie mogę ruszyć się z domu. Ale Zośka zaraz wyjdzie. Spotkacie się za piętnaście minut w tramwaju. Zdażysz?

— Prze... przepraszam — spytałem. — W jakim t r a m w a j u?

— Och! — Ela rozzłościła się. — Nie wygłupiaj się. Przecież w t r a m w a j u! Idziesz?

— Idę. Ale...

— To cześć — uciekła.

— Cześć! — powiedziałem łamiącym się głosem.

A więc nic z moich dobrych chęci. Przecież najwspanialszy z logików nie zdołałby wywnioskować, o jaki przeklęty tramwaj może chodzić. Wygłupiłem się? O wiele gorzej: wygłupiłem Marka. I to w oczach dziewczyny, na której mu zależało bardziej, niż chciałby mi kiedykolwiek o tym powiedzieć.

Znów dzwonek telefonu.

Nie zdążyłem odejść od aparatu. W poczuciu poniesionej już na wstępie klęski stałem nad nim zmęczony i smutny. „Nie! — pomyślałem. — Nie będę podnosił słuchawki. Trzeba jednak ukryć się przed całym światem”.

Ręka jednak zadziałała jakby nieco niezależnie od tej myśli. Już miałem słuchawkę przy uchu.

— Słucham.

— Marek? — szepnął głos dziewczyny, ten sam muzyczny alt co przed minutą. — Dziękuję ci. Bardzo dziękuję i... przepraszam.

Zanim zdołałem cokolwiek odpowiedzieć, odłożono po tamtej stronie słuchawkę.

— Bardzo proszę — westchnąłem.

Powiedziała: „bardzo dziękuję”. A brzmiało to bardzo pięknie. Dodała: „...i przepraszam”. A to „przepraszam” było powiedziane tak, jakby złożyła wargi do czułego uśmiechu. Może nawet do pocałunku.

Ciągle jeszcze nie miałem pojęcia, co się dzieje z Ambrożym, jak wygląda Zośka, ani o jaki tramwaj chodzi. Byłem jednak pewien, że za owo „dziękuję” i „przepraszam” Marek — to znaczy nie „ja Marek” — tylko on, mój syn, dałby sobie utoczyć spory garnuszek młodej krwi. A więc nie mogę zawieść ani jej, ani jego. Po prostu nie wolno mi!

Spojrzałem na zegarek. Sekundowa wskazówka pędziła sprinterskim biegiem. Za jedenaście minut miałem spotkać się z Zośką w tramwaju. Mniejsza o to, że jej nie poznam. Jeśli

trafię na właściwą linię i do właściwego wozu, ona sama mnie rozpozna.

Ale gdzie owa linia i ów tramwajowy wóz?!

Zostało wszystkiego dziesięć minut czasu, a telefon — jeden z okrutniejszych wynalazków epoki — zawarczał mi znów za plecami niczym terier szczurołap.

— Słucham! — krzyknąłem z furją.

— Leoś... — zajęczał zapity bas. — To ty, Leoś?

— Wojewódzka Komenda MO — wrzasnąłem.

— O rany — jęknął bas. — Zamknęliście Leosia?

Cisnąłem słuchawkę. Wbiłem się w mój kożuszek.

Zacząłem zbiegać ze schodów Markowym stylem: po dwa stopnie.

— Dokąd lecisz, idioto? — spytałem siebie na drugim piętrze, ale biegłem dalej.

— Hurra! — wrzasnąłem nagle na ostatnim półpiętrze. Wrzasnąłem z radości, niemal że ze szczęścia.

Jakby nagle otwarło się okienko w głowie!

Przypomniałem sobie, że któraś z odwiedzanych przez młodzież kawiarni nazwana jest „Tramwajem”. Tylko która?

Był to już jednak problem drugorzędny. Dosłyszałem jeszcze, że otworzyły się drzwi na pierwszym piętrze i ktoś coś krzyknął na temat współczesnej młodzieży, ja jednak niczego już nie widziałem, ani nie słyszałem. Biegłem w stronę Rynku jak na ostrym treningu do czterystumetrówki.

Wpadłem do znajomej malutkiej kawiarenki, do której zacząłem chodzić jeszcze jako student. Ulica Sławkowska nr 23. Dostaję tu kawę nie gorszą niż w Brazylii, nie mniej aromatyczną niż w Budapeszcie. Zasługa to pani Hani, po której nie było właściwie widać tych lat, które nam obojgu z życia uciekły.

— Dzień dobry, pani Haniu! — zawołałem starym zwyczajem. Jej zdumiony i nieprzychylny wzrok od razu mi przypomniał, że nie czas, nie miejsce na poufałości. Tym bardziej że pani Hania miała kilka nie najlepszych doświadczeń z moimi dzisiejszymi rówieśnikami.

— Ach, przepraszam, pani Haniu! — powiedziałem z wielką uprzejmością. — Pani mnie sobie nie przypomina? Jestem przecież...

Pani Hania przyjrzała mi się uważnie. Ja zaś z najwyższym trudem zdołałem opanować mięśnie twarzy. Gdzieś w gardle i w przeponie rodził się we mnie wielki śmiech. Mało brakowało, żebym powiedział: „Jestem przecież swoim własnym synem!”

Na szczęście śmiech przycichł, przycichł. Ja zaś spojrzałem w oczy pani Hani tak pokornie i elegancko, że przypomniała sobie wreszcie. Jej okrągła twarz od razu rozpromieniła się.

— Pamiętam! — klasnęła w ręce. — Pan Marek, prawda?

— Tak jest.

I od razu wyznałem, że mam wielką, ogromną wprost prośbę. Jaka? Wyjaśniłem, iż poszukuję kawiarni zwanej „Tramwajem”. Czy pani Hania przypadkiem nie wie, który to lokal? Złożyłem ręce jak do modlitwy. Pani Hania uśmiechnęła się tajemniczo.

— Wiem, ale nie powiem. Pan Marek powinien do n a s przychodzić na małą czarną. Kto widział włóczyć się po jakichś „tramwajach”? Pan Marek powinien podtrzymać tradycje rodzinne.

Czas uciekał coraz szybciej. Pani Hania jest na szczęście osobą wrażliwą i bystrą. Zajrzała mi uważniej w oczy — spoważniała natychmiast.

— Myślałam, że pan Marek żartuje...

— Przysięgam, że nie.

— Przecież wy wszyscy wiecie, gdzie to jest.

Jęknąłem tylko. Brak mi było słów.

Powiedziała. Cmoknąłem ją w rękę. Udało się wreszcie zdobyć adres „Tramwaju”. Co

więcej, było już całkiem blisko. Zostały mi do umówionej pory pełne trzy minuty. Nawet nie będę musiał biec.

Kiedy wszedłem na zaśnieżony Rynek, zaczęła właśnie bić jedenasta godzina, w której powinienem już czekać na ową zabezpieczoną Zośkę.

Przyśpieszyłem kroku. Spod stóp uciekła mi z furkotem gromadka gołębi. Zacząłem biec wydeptaną w śniegu ścieżynką. Na kilkanaście kroków przed wejściem do „Tramwaju” musiałem wyprzedzić niewysoką szczupłą dziewczynę. Zboczyłem ze ścieżki, ale trafiłem obcasem na jakąś skrytą w śniegu grudkę lodu. No i wpadłem w poślizg. Wpierw poderwało mi w górę prawą nogę, lewa nie zdołała odzyskać oparcia. Mój punkt ciężkości znalazł się jakby dobre pół metra za moimi plecami. Ręce przemieniły się w skrzydła, ale i one nie pomogły. Gorzej: całkiem mimo woli schwyciłem ramię owej dziewczyny, którą chciałem wyprzedzić. To dopełniło reszty: wpierw ja, potem ona siedliśmy dość gwałtownie na ziemi. Ona na samym środku ścieżki, ja tuż obok.

— Widzi pani? — zaskrzeczało coś za nami. — Dzisiejsza młodzież.

— No! — zaskrzypiał astmatyczny głos. — Przyszłość narodu. Romanse na samym środku Rynku! Ohyda!

Okrzyły nas dwie jejmoście. Spojrzałem bezradnie: cóż ja wam zrobiłem? Jaka ze mnie młodzież? O jakie im, do jasnej... flirty chodzi?

Już miałem na ustach: „Panie wybaczą... jestem człowiekiem poważnym...”

Na szczęście nie zdążyłem. Tuż obok siebie ujrzałem nie znaną mi, sympatyczną, zapłakaną twarz dziewczyny — i od razu zapomniałem o tamtych babsztylach. Dziewczyna spojrzała na mnie wpierw całkiem nieprzytomnie. Zrozumiałem, co się stało. Ona zaś — patrząc już całkiem trzeźwo — wybuchnęła głośnym szlochem.

— Och, Marek! — zawołała. — Och, taka ci jestem wdzięczna, że przyszedłeś!

— Mam dwie propozycje — powiedziałem. — Po pierwsze: może przestaniesz ryczeć? Po drugie: może przyjmiemy pozycję pionową?

— I to natychmiast! — rzekł za naszymi plecami bardzo urzędowy, umundurowany, że tak powiem, głos.

Wstaliśmy. Głos stanął przed nami w postaci plutonowego MO. „No tak — pomyślałem — ładnie się zaczyna”.

— W jakim celu — pytał głos — obywatele usiedli na ziemi, czyli konkretnie na śniegu? Co to za manifestacja? Obywatel — to było do mnie — chuchnie.

Chuchnąłem tak, że okragła, lecz surowa twarz funkcjonariusza służby porządkowej skryła się niby w nadwiślańskiej mgle. Nos plutonowego przez chwilę analizował zawartość tej mgły, w oczach błysnęło szczere zdziwienie.

— Czyżby? — spytał. — Nawet piwka nie było?

— Nie było — rzekłem.

— No, no... — to już brzmiało nawet dość uprzejmie, ale po chwili w metalicznym głosie znów odezwała się dusza służbisty. — W każdym razie proszę się rozejść.

— I owszem — odrzekłem z miłym uśmiechem.

Z własnej, dorosłej praktyki wiedziałem, że nic nie działa na funkcjonariuszy MO tak piorunująco, jak grzeczna odpowiedź i miły uśmiech.

Tym razem też się nie zawiodłem. Mój uprzejmy głos i miły uśmiech nadzwyczaj zakłopotaly plutonowego. Zasalutował i jakby w lekkiej panice zrobił „w tył zwrot”. Żle jednak trafił. Wydaje mi się, że jedna z jego pięt wsparła się o tęże samą grudkę lodu, która uprzednio mnie się przysłużyła. Prawa stopa plutonowego poderwała się do przodu, w chwilę później w niekontrolowany poślizg wpadła lewa. Ręce uniosły się jak do lotu. Wszystko to odbyło się przy tym w całkowitym, bohaterskim milczeniu. Jeszcze pół, jeszcze ćwierć sekundy...

Zdążyłem! Udało mi się podtrzymać władzę i pomóc służbie porządkowej w zachowa-

niu niezbędnej równowagi. Plutonowy spojrział na mnie wpierw mocno osłupiałym okiem — i oto nagle uśmiechnął się.

— Dziękuję — szepnął głosem całkiem cywilnym. — Kowalski jestem, January.

— Bardzo mi miło — odrzekłem.

— Ale ja proszę — dodał poufnym szeptem — mimo wszystko, uprzejmie proszę się rozejść.

Odszedł.

Zośka stała patrząc na tę scenę tępych okiem. Nie płakała już, ale i tak nos miała jak piwonია. Wzięłam ją pod rękę. Potrząsnąłem lekko.

— Słyszalas? — powiedziałem. — Mamy się rozejść.

— Głupi — mruknęła jędzowato. — Czyśmy się pobierali, żeby się rozchodzić? A w ogóle, dałabym dziesięciu takich jak ty za jednego Ambrożego. Rozumiesz?

Powiedziałem, że rozumiem. Ale, mówiąc prawdę, czułem się nieco urażony. Zarówno ja jako ja, jak ja jako Marek. Ostatecznie nie co dzień spotyka się wybitnego (jak mówią) naukowca, specjalistę od genetyki roślin, współpracującego z FAO, który znany jest na trzech kontynentach!

A po drugie, nie co dzień spotyka się takiego właśnie osobnika, który uległ tak niezwyklej przemianie — wbrew wszelkim prawom dnia powszedniego. Nie miałem się czego wstydić. Skóra i postać, w którą wepchnął mnie Mister Di, była dobrej jakości. Ostatecznie, jeśli spodobała się takiej na przykład Eli Jaroń, to właściwie mogłem wybaczyć Zośce.

Zośka tymczasem zebrała się w sobie. Wytarła oczy, na nosie zatrąbiła nie gorzej niż hejnał, który właśnie się toczył ku zachodniej stronie nieba. Przy okazji zabrała mi chustkę. Niewiele pomogło. I tak miała rozmazany tusz pod oczami, a zgrabny nos nadal był czerwony z płaczu jak róża. Albowiem prawdą bywa i to, że nawet prawdziwie cierpiący człowiek wygląda czasem bardzo śmiesznie.

Zośkę nie obchodził tym razem własny wygląd. Było oczywiste, że na co dzień musi mieć dużo wdzięku. Drobne rysy świadczyły o wrażliwości, o inteligencji. Teraz jednak w ogóle nic ją nie obchodziło poza jedną sprawą i jednym jedynym człowiekiem: Ambrożym.

— Muszę wypić kawę — oświadczyła ciągnąc mnie do „Tramwaju”. — A zaraz potem pójdziesz do Ambrożego. Dasz mu mój list. I porozmawiasz. Zrobisz tak?

Obiecałem.

Nasze wejście, dzięki wyglądowi Zośki, zrobiło niejaki wrażenie. Ktoś spytał mnie, czemu nie poznaję starych kumpli. Jakies dziewczę wymalowane niczym matejkowskie freski w kościele Mariackim pisnęło czule: „Mareczek”.

Zośki wszystko to nic nie obchodziło. Ja też starałem się unikać ciekawych oczu. Wypiliśmy kawę w dwie minuty. W minucie trzeciej Zośka wyjęła z torebki nieco pomiętą kopertę i zagryzając wargi wręczyła mi ją.

— Idź już, Marek.

Łatwo powiedzieć „idź”. Marek na pewno by już poszedł. Ja nie mogłem: koperta była czysta niczym sumienie niemowlęcia. Ani nazwiska, ani adresu.

— Na co czekasz? — spytała Zośka. — Ja płacę za kawę.

— Moja droga — powiedziałem bardzo serio, bo miałem tylko jedno wyjście z tej kolejnej pułapki. — Istnieje pewien procent prawdopodobieństwa, że nie zastanę Ambrożego albo że on mnie nie wpuści. Koperta musi być zalepiona i po ludzku zaadresowana.

Udało się. Zaadresowała wyraźnie. Pożegnała mnie nieco zażawionym jeszcze uśmiechem. Nos już zbladł, oczy wytarła z tuszu. „Ładna — pomyślałem. — Nieefektowna, ale ileż wdzięku!”

Zapomniałem na chwilę o swojej przemianie. Urodą i smutkiem Zosi przejąłem się po ojcowsku. A w tym dorosłym współczuciu kryła się także dorosła, pobłażliwa ironia. Oto z czym mam do czynienia: szczeniackie sprawy, zielone kłopoty, szczeniackie rozstania i po-

wroty.

Przestało mi się więc spieszyć. Szedłem w stronę zapisanego na kopercie adresu. Ręce założyłem na plecy ruchem, który widuje się u mężczyzn nie wcześniej niż po czterdziestce. Pogwizdywałem patrząc w ziemię.

Wbrew radiowym zapowiedziom świat przejaśnił się. Miasto wyszło z cienia i mgły w przeczystej bieli. Drzewa Plant obrosły szadzią piękniejszą niż wszelkie kwiaty mrozu. Prosto pod nogi padł promień słoneczny. Roześmiałem się — przeskoczyłem go. W głębi Plant zamigotał hełm wieży katedralnej.

Nagle usłyszałem swoje nazwisko wypowiedziane ostrym, złym głosem. Samo nazwisko. A ja w końcu od dobrych paru lat przywykłem do tego, że słyszałem przed nim albo „doktorze”, albo „docencie”, albo „profesorze”. Bo choć nie znoszę tytułomanii, to przecież nie mogłem żądać od studentów, by mówili do mnie po imieniu. Trzeba ponosić konsekwencje tego faktu, że już koło czterdziestki weszło się do encyklopedii.

Tym zaś razem zawołano mnie po samym gołym nazwisku i w dodatku wielce złym głosem. Jak się woła na głupiego psa.

Poczułem, że krew mi podchodzi na policzki i czoło. Odwróciłem się nagłym ruchem.

Przede mną stał starszy, rozzłoszczony facet. Był bardzo wysoki. Patrzył na mnie z góry, chwiejąc w gniewie chudą szyją, na której tkwiła na pozór dobrodusznna twarz niskiego grubasa, krągła i pulchna, z różowymi ustami cherubinka.

„Któż to może być?” — myślałem w nagłej panice. Dopiero jego widok uprzytomnił mi, w jakiej postaci on mnie dla odmiany widzi.

Był to na pewno ktoś, kto miał widocznie prawo tak krzyknąć na Marka. Najpewniej jakiś profesor. Należy zatem zachować pełną dyscyplinę i uprzejmość. Marek nie może przecież odpowiadać za moje „profesorskie” roztargnienie.

— Pięknie, ślicznie... — złościł się jegomość o różowych usteczkach barokowego aniołka i źle wygolonej twarzy.

— Przepraszam najmocniej... — bąknąłem.

Podniesiony głos i skierowana oskarżycielsko w moją stronę ręka Cherubinka zwróciły uwagę kilku osób. Jedne przystały, inne zwolniły kroku. Nie jest to porównanie zbyt zręczne, ale czułem się jak dzwonko śledzia na widelcu. A mówiąc serio — czułem się o wiele gorzej. Cała ta scena miała na celu ośmieszenie mnie. A raczej mego syna, co było jeszcze gorsze. I z jakiej właściwie racji ów człowiek atakował (wobec tłumu gapiów!) moją osobistą godność. Rozejrzałem się po tępo zaciekawionych twarzach. Dojrzałem kilka pogardliwych uśmiechów.

— Najmocniej... przepraszam... — powtórzyłem.

— Przepraszasz? Jestem zachwycony — radował się Cherubinek. — Ale pytam, gdzie tarcza? Dlaczego wbrew rozporządzeniu nie jesteś łaskaw szanować przepisów?

— Od rzemyczka do koniczka — zaskrzeczał za mymi plecami jakiś starczy tenorek.

— Otóż to! — przytaknął głupawy sopran.

— Otóż to! — powtórzyło inne echo.

No tak! Naruszyłem przepis. Biorąc kozuch zapomniałem o tarczy. Zgoda — zawiniłem. Ale czy należało z tej okazji robić przedstawienie na samym środku Plant i niemal w samo południe? Przecież — odczułem to po raz pierwszy od wielu lat — poczucie godności człowieka szesnastoletniego, jego strach przed ośmieszeniem czy upokorzeniem są (i muszą być) o wiele większe niż u ludzi dojrzałych. Więc cóż to za sposób wychowania — p r z e z u p o k o r z e n i e?

Z największym trudem nakazałem sobie spokój. Wyjaśniłem w dwóch zdaniach, że wina jest po stronie ojca. Moja kurtka poszła do pralni chemicznej, a ojciec pożyczając swój kozuch zabronił cokolwiek przyszywać i przypinać.

Ukłoniłem się grzecznie i już chciałem odejść, ale Cherubinkowi było jeszcze mało.

Uchwycił mnie za rękaw, a drugą dłonią zawinał koło mojej głowy jak szablą.

— A te loki? — zawołał — A te kędziory? W tej sprawie też szanowny tatuś jest wienien?

Otaczało nas już dość ściśle grono gapiów. Cherubinek najwyraźniej zgrywał się na ich cześć, strzygąc mi palcami nad głową. Udało mu się. Kilka głosów zarechotało całkiem tak samo, jak lizusy w niższych klasach rechoczą z okazji każdego nauczycielskiego dowcipu, niezależnie od wartości.

Tego rechotu nie byłem w stanie już dłużej znosić. Ani jako Marek, ani jako ja. Dość gwałtownie cofnąłem się, wyrwałem rękaw z uścisku.

— Panie profesorze — rzekłem głośniejszym głosem, niż należało. — Sam pan profesor kazał nam postępować na wzór wielkich Polaków.

— A cóż ma pięść do nosa? — zadziwił się Cherubinek. — Gdzie sens, gdzie logika?

Uśmiechnąłem się uprzejmie, lecz chłodno.

— Panie profesorze — mówiłem z dykcją godną Holoubka. — Czymże są moje loki wobec kędziorów Kościuszki Tadeusza, Mickiewicza Adama, Chopina Fryderyka czy też Łokietka Władysława? Nie licząc Emilii Plater — dodałem po chwili namysłu.

Świat znów się rozjaśnił i poczułem kilka kropel miodu na sercu.

Pan profesor najwyraźniej chciał mnie publicznie upokorzyć, dążył do efektów komicznych, wyraźnie czekał na ponowny rechot. No i doczekał się. Gapie łatwo zmieniają zdania. Dopiero teraz podniósł się wokół nas serdeczny śmiech. Ale nie ze mnie tu się śmiano. Ktoś poklepał mnie po plecach, ktoś krzyknął „Brawo”, ktoś oświadczył „Dobrze mu tak”. Ja skłoniłem się, cofnąłem w tłum, ruszyłem przed siebie szybkim krokiem. Nie doceniłem jednak zawziętości Cherubinka.

Dopędził mnie już po kilku metrach, dławił się gniewem.

— Jutro... jutro...

— Tak jest? — spytałem.

— Masz być jutro u mnie o jedenastej!

— U pana profesora? Bo nie znam adresu.

— W liceum — krzyknął. — W liceum, durniu jeden!

To się już gapiom najwyraźniej nie spodobało.

— Panie! — zadudnił jakiś bas. — Tak nie można!

— A co pana to obchodzi? — ryknął Cherubinek. — Co pana to obchodzi?!

— Ciszej, kochany — szepnął bas i ujrzałem jeszcze kątem oka dwie scenki.

Oto nad Cherubinkiem pochylał się dwumetrowy mniej więcej kolejarz o siwych wąsach i ramionach ciężarowca wagi najcięższej, zaś ku tej parze przepychał się przez gapiów wyraźnie ożywiony plutonowy MO, January Kowalski.

Ucieszyło mnie to szczerze. A choć byłem przekonany, że sprawa będzie miała ciąg dalszy — postanowiłem (ja jako ja) zdecydowanie stanąć po mojej stronie i bronić mnie (mnie jako Marka) przed oskarżeniami Cherubinka.

Będzie to wprawdzie wbrew moim zasadom. Bo choć sam miałem różnych nauczycieli, to jednak jestem przeciw wtrącaniu się rodziców w kompetencje szkoły. A choć istotnie nie miałem tarczy i fryzjera nie odwiedzałem od dość dawna, to jednak sposób, w jaki zostałem skarcony, był nie do przyjęcia dla nas obu — zarówno dla mnie jako Marka, jak dla mnie jako mnie.

— Nie wolno łamać ludzkiej godności — oświadczyłem w imieniu własnym.

— Niezależnie od tego — dodałem głosem Marka — czy człowiek ma lat sześćdziesiąt, sześć czy szesnaście.

Usłyszałem cichy, sympatyczny śmiech. Mijały mnie właśnie jakieś dwie ładne, szesnastoletnie dziewczyny. Krótkowłosa blondynka i długowłosa brunetka — a przy tym wszystkim dwie pary jasnozielonych oczu. Aż przystanąłem w pół kroku. A nawet cicho gwizdną-

łem z zachwytu, co w Neapolu jest wprawdzie przyjętym komplementem, co jednak w Europie środkowej jest raczej źle słyszane. A speszyło mnie jeszcze coś innego. Zorientowałem się, że te dwie zielonooczki spodobały się o wiele bardziej mnie niż Markowi.

O, niedobrze! Przypomniałem sobie Elę, jej głos, swoje słowa honoru i obietnice. Po co ja tracę czas?! Przecież Ambroży czeka na list Zośki. A może czeka też na mnie?

Mijała mnie taksówka — odruchowo machnąłem ręką. Równocześnie oblało mnie gorąco: przecież nie wziąłem portfela. Na szczęście zadzwoniło coś w kieszeni kożucha. Dojrzałem wśród drobnego bilonu dwie dziesiątki z Kopernikiem. Szkoda, zaśmiałem się, że nie wspominałem „Cherubinkowi” również o fryzurze, lokach i kędziorach doktora Mikołaja.

Wsiadając do taksówki swoim zwyczajem rzekłem bardzo uprzejmie „Dzień dobry”. Zazwyczaj odpowiadano mi z nie mniejszą uprzejmością „Moje uszanowanie” i tak dalej.

Tym razem usłyszałem tylko:

— No? Dokąd?

— Pan będzie łaskaw — rzekłem czule — Retoryczna cztery, mieszkania siedem.

Kierowca wzruszył ramionami, mruknął coś o gówniarskich dowcipach i zapuścił motor z jawną urazą, w związku z czym poprosiłem o dokładne wydanie reszty, co przeżył jeszcze boleśniej.

Była jedenasta trzydzieści jeden, kiedy zadzwoniłem do drzwi mieszkania numer siedem.

Cisza.

Zadzwoniłem po raz drugi. Znowu nic. Odniosłem jednak wrażenie, że ta cisza nie świadczy o pustce. Przytknąłem ucho do drzwi. W zasadzie można było sądzić, że mieszkanie jest puste. Byłem jednak przekonany, że nie jest. Być może posłyszałem jakieś echo kroków, szelest, rytm, ślad ruchu. W każdym razie powiedziałem sobie: trzeba próbować dalej. Tym razem zastukałem do drzwi. Zastukałem w szybkim, synkopodobnym rytmie.

Sam kiedyś w takim rytmie stukałem do drzwi kolegów. Inne to były czasy. Musiało się uważać, czy nie idzie za tobą gestapowski szpicel. A szło się po pakiet tajnej prasy albo po prostu na lekcję. Tak właśnie stukaliśmy: długi, trzy krótkie, dwa długie.

Przyznaję — rozrzewniło mnie nieco dawne wspomnienie. Był to czas okrutny, ale niezapomniany. Szczególnie my — roczniki najmłodsze — wiedzieliśmy, że żyjemy. Nie trzeba było chodzić na westerny, żeby czuć się człowiekiem. Tym bardziej że właśnie w naszych rocznikach, nawet umierając, trudno było uwierzyć w śmierć i nieistnienie.

Znów zadzwoniłem w tamtym starym rytmie. Byłem już pewien, że ktoś poruszył się w przyczajonej ciszy mieszkania. Ogarnął mnie znów nastrój dobrotliwej ironii.

„Mniejsze macie kłopoty — myślałem — niż my. Szczeniackie kłótnie, miłość, zielone cierpienia”.

Ale w sekundę później ogarnął mnie nagły strach. Strach zmieszany z poczuciem winy. Przypomniały mi się złe oczy „małego geniuszka” z lotu Warszawa — Kraków. Znów udało mu się sprowokować mnie do uproszczeń, jakich sam nie znosiłem u innych. A teraz co? Znowu zaczynam porównywać rzeczy nieporównywalne? Skąd mogę wiedzieć, czy to, co w moich oczach wygląda na szczeniackie kłopoty, nie jest w istocie dla młodego człowieka rzeczywistym nieszczęściem.

Przypomniałem sobie zdarzenie z ubiegłego roku. Nikt nie wiedział, z jakich przyczyn kolega Marka uciekł z życia przy pomocy nadmiernej ilości środków nasennych. A nie była to histeryczna demonstracja, jaką od czasu do czasu urządzają młode i nie tylko młode osoby, starannie dbając, by dawka nie okazała się groźna i by je odratowano na czas.

Tamten chłopiec nie był histerykiem, uczył się nieźle, rodzina żyła w zgodzie.

Wtedy to właśnie pokłóciłem się ostatni raz z Markiem. Dość ostro zareagowałem na całą sprawę. Myślałem przede wszystkim o nieszczęściu rodziców. Jak się ów chłopiec nazywał? — Chyba Wiktor. Tak — na pewno Wiktor. Nic dziwnego, że w pierwszej chwili pomy-

ślałem przede wszystkim o nieszczęsnych jego rodzicach. Nazwałem rzecz tragedią, ale tragedią głupoty.

Marek krzyknął wtedy: „Nieprawda!”

Znał Wiktora pobieżnie. Nie przyjaźnili się. Ale nie pozwolił nazwać go głupcem. Dopiero po pewnym czasie doszliśmy do porozumienia. Marek wyjaśnił mi, że Wiktor był inteligentnym i wrażliwym chłopcem.

— Dlaczego to zrobił? — pytałem.

— Nie wiem.

Tyle usłyszałem: „Nie wiem”. Ale potem Marek wspomniał coś o przerażeniu światem. Spytał, czy nie sądzę, że dla ludzi zbyt wrażliwych dzień powszedni może być aż nadto okrutny. Przeprosiłem wtedy za słowo głupota.

Nie wróciliśmy już nigdy do tego tematu. Ale pozostał we mnie ślad lęku, cień prawdziwego strachu.

Niech się więc nikt nie dziwi, że w czwartej czy piątej minucie wystawania pod drzwiami mieszkania numer siedem wrócił do mnie ów zadawniony strach. Przecież Ela powiedziała: „z Ambrozym jest bardzo źle”. Co to może w ich ustach znaczyć: b a r d z o ź l e?

Znów przytknąłem ucho do drzwi. Odniosłem wrażenie, jakby tuż za nimi ktoś cicho oddychał. Dlaczego nie otwiera?

— Ambroży! — krzyknąłem bijąc w drzwi pięściami. — To ja! Marek!

Drzwi otworzyły się tak nagle, że o mało nie upadłem.

W progu stał niski, krępy blondyn z nieco komiczną twarzą i bardzo bystrymi oczami. Podtrzymał mnie jak chorego, wciągnął do przedpokoju, starannie zamknął drzwi.

— Tobie gorzej, Marczyku? — spytał uprzejmie.

Ściągnąłem kozuch, poszedłem za nim do pokoju. Odczułem ogromną ulgę. Chciało mi się śmiać z siebie samego. Pokazałem jednak Ambrozemu chłodny uśmiech i obrażoną twarz.

— Nie mogłeś wcześniej otworzyć?

— A ty nie mogłeś, jak człowiek, naprzód zagwizdać z podwórza?

— Zagwizdać? — powtórzyłem głupio.

— No! Jak zawsze.

„Rzeczywiście — pomyślałem. — J a k z a w s z e”. A skądże ja mogłem wiedzieć, jak jest „Jak zawsze”? Musiałem mieć niezbyt inteligentny wyraz twarzy, bo Ambroży ze współczuciem pokiwał głową.

— Co tobie? — spytał. — Skleroza czy przewlekły alkoholizm?

— Mam chuchnąć, co?!

— Nie — zaprzeczył spiesznie. — Uprzejmie dziękuję.

Rozejrzałem się nieco przytomniej po pokoju. Przysiadłem na krześle. W kącie, za drzwiami, jakby specjalnie ukryty, stał wielki plecak — nie dopakowany jeszcze do pełna, ale już gotów do jakiejś podróży.

Ambroży poszedł za moim spojrzeniem. Zaciął wargi, był zły. Jego komiczna na pozór twarz zmieniła się.

— A więc — spytał — o co chodzi?

— Wyjeżdżasz?

— Pytam, o co chodzi?

Sięgnąłem do kieszeni, podałem mu list. Spojrzał na kopertę, potem na mnie i znów na kopertę. Jego rysy rozluźniły się, na ustach pojawił się ślad uśmiechu. A nawet zarumienił się jakby.

Spodobał mi się w tym wszystkim. Właściwie przyjął mnie bez żadnej gościnności — dał nawet do zrozumienia, że nie w porę przychodzę. Mimo to od pierwszych słów zacząłem go lubić. Nie wiem, czy podpowiedział mi to mój tajny sufler, będący jakby echem myśli Marka, czy to ja sam od razu stanąłem po stronie Ambrożego. Jedno było pewne: ten facet

jest uszyty z dobrej materii i ma posprzątane w głowie. A także — widziałem to teraz — stać go na wrażliwość uczuć. Podobało mi się, że czytał list z ostrożną, czułą uwagą.

W końcu przestał. Odłożył list na stół. Wlepił we mnie bystre oczy.

— Mówiłeś z nią?

Potrząsnąłem głową: nie.

— Marek — powiedział nieoczekiwanie zrozpaczonym głosem. — Co ja mam zrobić?

Milczałem. Najgorsze w tym wszystkim było przecież, że z nas dwóch to głównie ja nie wiedziałem, jak postąpić, co radzić.

Ambroży zacisnął pięści, aż zbieleły mu knykcie.

— Płakała?

— Tak.

— Mówiła ci, co jest w liście?

— Nie.

Znów chwila głębokiego zastanowienia. A ja odczułem nieodparte wrażenie, że przede mną siedzi i czeka na przyjacielską radę mój rówieśnik, dojrzały i dość zmęczony mężczyzna, zapędzony w ciężką sytuację.

W końcu Ambroży przesunął w moją stronę list, czyli cztery wydarte z zeszytu kartki papieru.

— Przeczytaj — powiedział.

— Chyba...

— Przeczytaj!

— Ale...

Ambroży poczerwieniał z nagłego gniewu.

— Listonosz jesteś czy kumpel? Co to za dziewicze podrygi? Święta makrela! Dupek żołądny!

— Ty! — powiedziałem. — Ciszej! Wystraszysz wawelskie smoczki tym wrzaskiem.

— Och, skończ z głupotami, Marek — westchnął. — Czytaj.

Zrozumiałem: wpieryw musimy pomówić o tym liście. Wziąłem więc w rękę owe kartki, w kilku miejscach poplamione łzami, które wysychając rozlały się w niewielkie wysepki. Wziąłem tak, jak on to zrobił — z szacunkiem i uwagą.

Zacząłem czytać. Nie było daty, miejsca — nawet nagłówek. Pismo wyrobione, czytelne, ale widać, że list pisany w niepokoju i pośpiechu.

Wiem, że nie potrafię cię przekonać i że możesz mieć do mnie żal za moją ostatnią głupią histerię. Ale musisz, musisz (!!!) zrozumieć i zapamiętać, że ja bardzo...

Nie! Nie będę powtarzał dosłownej treści dziewczęcego listu. Przeznaczony był wyłącznie dla Ambrożego. Ja dostałem go w ręce tylko z tej przyczyny, że Ambroży (pogodziwszy się z moją obecnością) czekał teraz na przyjacielskie słowo i radę. Nie chcę zatem i nie mogę powtarzać wszystkich napisanych przez Zośkę słów i zdań, które w druku mogą zabrzmieć naiwnie lub niezdarnie. Ale spisane na dwóch kartkach zeszytowego papieru mają swój własny ton i wielu poetów mogłoby się na takich tekstach uczyć prawdziwych wrzaseń.

Chcę także powiedzieć, że przy tej lekturze całkiem na nowo wspomniałem śmieszna na pozór twarz Zośki. Czerwony nos, zapuchłe powieki. Rozmazany tusz na policzkach.

Rozmazany tusz na policzkach!

Na chwilę wstrzymam opowieść o Ambrożym i Zośce. Chcę bowiem wspomnieć jedno z najcenniejszych moich przeżyć teatralnych. Była to premiera sztuki któregoś ze zręcznych francuskich dramaturgów, napisana na dwoje tylko aktorów. Rolę kobiecą grała Halina Mikołajska — już wtedy uznana za talent niezwykły, choć bardzo jeszcze młody.

I oto w jednej z najbardziej dramatycznych scen aktorka — która wedle tekstu sztuki przyszła prosić o łaskę dla swego skazanego na śmierć chłopca — zaczyna rozmawiać z

nieobecnym jego cieniem. Właściwie wie, że przyszła za późno. Ów monolog, owa pozorna rozmowa była całkiem ładnie napisana — a mówiona i grana wspaniale.

Kiedy zaś Halina zwróciła się ku nam, ku widowni, twarzą, po jej policzkach spływały dwie czarne smugi. Prawdziwe kobiece łzy zmywały aktorski tusz.

I oto nikt się nie zaśmiał.

Na widowni nastąpiła chwila ciszy doskonałej — takiej, która jest o wiele więcej warta niż wszystkie oklaski. Zrozumieliśmy, że artystka nie przewidziała własnego wzruszenia.

W owej chwili c a ł a była kobiecym bólem i cierpieniem. A smugi tuszu na jej policzkach były tej prawdy dowodem najlepszym.

Tak — czerwony nos i rozmazany tusz na drobnej twarzy Zośki wcale nie były śmieszne. Dopiero teraz to zrozumiałem do końca, podczas lektury jej listu.

Kiedy skończyłem czytać, położyłem owe zeszytowane kartki na stole z ostrożnością i szacunkiem. Ambroży zaś, który z przymkniętymi powiekami czekał, aż skończę, wparł teraz we mnie oczy niespokojne, lecz uparte.

— Bo, widzisz — powiedział przyciszonym głosem. — Ja sam wywołałem tę kłótnię. A ona mnie przeprasza. To nie jest w porządku. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Więc co?! — krzyknął zrywając się z krzesła. — Co mam robić?

Wyciągnął z szuflady stołu pomiętoszoną paczkę sportów.

— Ja nie — powiedziałem szybko.

— Racja! Trzeci miesiąc... zapomniałem — i cisnął paczkę na ziemię.

Ale zaraz potem podniósł ją, zapalił. Dopiero trzecią zapałką.

— Pamiętasz naszą rozmowę sprzed miesiąca?

Skinąłem głową, choć niczego przecież nie mogłem pamiętać. Ale to też wcale nie było zabawne. Tym razem poczułem prawdziwy ciężar swej niewiedzy — co mówić? Co radzić? Jasnym było dla mnie, że nie chodziło tu o żadne szczeniackie nieporozumienia z dziewczyną. Zośka prosiła w liście: *musisz zostać... musisz wytrzymać... spróbuj jeszcze go przekonać... a w każdym razie nie rób żadnych głupstw...*

Kogo przekonać? I o czym?

Pozostało tylko jedno wyjście z sytuacji. Milczałem jeszcze chwilę. Kiedy ujrzałem, że Ambroży aż blednie z gniewu czy urazy wobec tego milczenia — starając się, by to brzmiało naprawdę przekonująco — powiedziałem, co następuje:

— Słuchaj, stary. Chcesz, żebym powiedział, co masz robić. A ja myślę, że chcesz, żebym tylko pomógł osądzić ci... i rozstrzygnąć... kilka ważnych spraw.

— Ważnych? — zaśmiał się gorzko.

— Zgoda: najważniejszych. Tak czy nie?

— Tak.

— Powiadasz — ciągnąłem — że raz już o tym gadaliśmy.

Po chwili z wielką ulgą usłyszałem przyciszoną nieco odpowiedź, na którą czekałem:

— Nie o wszystkim.

— Właśnie — mówiłem dalej. — Teraz więc musimy rozpatrzeć sprawę całkiem na nowo. Jak w wyższej instancji sądowej. Jeszcze raz od początku... i jeszcze raz do końca. Czekaj — nie dałem sobie przerwać. — Tu nie chodzi o mnie. Bo jeśli nawet zechcesz powiedzieć mi wszystko, to i tak nie będzie to wszystko. Najważniejsze, żebyś ty sam... przede wszystkim ty sam... raz jeszcze całą rzecz sprawdził. I osądził.

Dość długo czekałem na odpowiedź.

Doczekałem się jednak.

— Chyba masz rację.

Ambroży zgasił papierosa w połowie, wyszedł do drugiego pokoju. Wrócił z niewielkim drewnianym pudłem. Otworzył je tuż przede mną i wysypał na stół, a także na list Zośki

— kilkanaście orderów.

— Masz — powiedział — to jest młodość mojego starego. Nie pokazywałem ci tego jeszcze nigdy. Teraz się przyjrzyj. To za kampanię wrzesniową! To za konspirację! To za partyzantkę! To za Wał Pomorski! A to za Berlin.

Dopiero teraz, na widok owych orderów, uprzytomniłem sobie, że dobrze pamiętam nazwisko jego ojca. Powtarzano je nie tylko w kręgach wojennych kombatantów. Zaczął wojnę jako starszy strzelec, skończył jako kapitan. Nie zawędrował jednak zbyt wysoko. Czas na studia zabrała wojna, potem pierwsze lata powojenne, w końcu złe zdrowie zamknęło przed nim drogę do wielkich awansów czy zaszczytów. Obecnie działał, zdaje się, wśród inwalidów.

Spotkałem go raz czy dwa na wywiadówce w liceum. Był to człowiek przedwcześnie postarzały, surowy, zamknięty w sobie.

Ambroży na swój sposób był do niego podobny — przedwcześnie dojrzały, zamknięty w sobie. Pokazując mi owe ordery przejął się naprawdę. Na krągłych policzkach wystąpiły rumieńce.

— Jego młodość! Z matką spotkali się i pobrali na froncie. Zanim umiałem czytać, dawano mi te ordery do ręki. Matka nauczyła, że jej mąż, a mój ojciec to żywy pomnik. Matka, ciotki, wujowie. Jak tylko zacząłem czytać, pokazywali książki, w których mówiono o ojcowskich kampaniach i bitwach. Słuchałem, czytałem, rosłem. Rosłem, ale byłem coraz mniejszy. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Mówiłem ci, że jak miałem osiem lat, uciekłem z domu, żeby pojechać na wojnę w Wietnamie?

Zaryzykowałem:

— Mówiłeś.

Skinął głową, roześmiał się gorzko.

— Dostałem za ten Wietnam pasem. To było najgorsze. Chciałem być taki jak on, a on niczego nie rozumiał. Wlał mi niewąsko.

— Miał swoje prawo.

— Powiadasz? Dziś to po trochu rozumiem. Ale wtedy? Ośmioletni szczeniak? Nawet nie zdążyłem wytłumaczyć, dlaczego ani dokąd uciekałem. Tylko pas gadał.

Odrzucił się do mnie, podszedł do okna, głos mu się załamał. Patrzyłem pod światło na jego chłopięcą sylwetkę: krótko ostrzyżone włosy, nieco odstające uszy, chłopięcy rysunek ramion i karku.

— Powiedziałem sobie — ciągnął dalej — że już na żadną wojenkę, mój Ambroży, uciekać nie będziesz. Na zdrowy rozum żadne wojenne nieszczęście już się do nas nie przylpące. Ale nie zapomniałem nauk. Sam wiesz: u nas się nie przelewa. Poza tym matka stara się łagodzić, co tylko można. Ale mój stary nigdy mnie nie rozpieszczał. Najlepsza dyscyplina to dyscyplina wojskowa. Mniej myśleć, więcej słuchać. I tak dalej. Ale ja go słuchałem nie ze strachu, tylko dlatego, że on to jest O n. Rozumiesz? Więc powiedziałem sobie, że ja tak jak on, też nie będę szukał łatwego życia. Że chcę, że muszę... powiadam ci: m u s z ę... doskoczyć do jego życiorysu. Żeby wiedzieć, że żyję. Rozumiesz.

— Rozumiem — powiedziałem cicho.

Ambroży krzywił się boleśnie, zagryzał wargi. Ciężko mu było. W końcu zaczął:

— Zapomniałem mu ten pas po mojej podróży do Wietnamu. Ale... ale teraz...

Urwał. Czekałem dość długo.

— Mów — szepnąłem.

— Wytłumacz mi, Marek! — wybuchnął. — Jak to jest, jak to może być, że taki facet, jak mój stary, nagle zdradza siebie... że chce i żąda, żebym wybrał łatwy chleb i wygodny stół? „Ja miałem — mówi — i mam ciężkie życie. Więc teraz chcę i żądam, żeby mój syn jadł

ciastka i popijał śmietanką”. Wiesz, co wymyślił? Już teraz, na dwa lata przed maturą? „Pójdiesz, synku, na ginekologa albo na dentystę. Licznik będzie bił. Kupisz se autko, pojedziesz nad Balaton” i tak dalej.

— Nie wierzę! — krzyknąłem.

Ambroży zaśmiał się bardzo gorzko.

— Ja też początkowo... Ale w końcu uwierzyłem. On naprawdę tego chce.

— Zresztą — mruknąłem po chwili — Balaton i autko to nie grzech. A po drugie, niech twój ojciec lepiej się rozejrzy po świecie. Młodzi lekarze wcale nie mają lekkiego życia. Nawet cwaniacy po dyplomie ciastek nie jedzą. Szczególnie na wsi. Chociaż... bywa i tak, że kto da, ten jedzie...

— A wiesz, gdzie ja mam tę jazdę? — krzyknął.

I dość dokładnie wyjaśnił, gdzie ją ma. Razem z dawaniem, autkiem i Balatonem.

Pokiwałem głową. Zgoda — ale co dalej?

Ambroży uspokoił się, przysiadł za stołem, zapalił.

— Przecież mówiłem ci, co dalej.

Rzeczywiście m n i e to mówił. A więc znowu musiałem bluffować:

— Mówiłeś, nie mówiłeś — podniosłem głos. — Powtórz! Taka była umowa. Gadasz czy nie?

Ambroży nawet się nie stawiał.

Zaciągnął się, zakaszał, wyciągnął ze sporta kawałek jakiegoś kołka czy korzenia.

— Przecież sam przyznałeś: „Masz rację, Ambrożeńku”.

— Ambroży... — rzekłem groźnie.

Wyciągnął ze sporta jeszcze kawałek sznurka. W ten sposób papieros się skończył.

Pokiwał głową.

— Dobra, dobra. Nie podskakuj, tylko radź, co dalej. Wiadomo: orzeł nie jestem. Stary o tym wie i nawet nie ma specjalnych pretensji, że w budzie jestem taki więcej średniak. Gdybym miał na przykład twoją smykałkę do ścisłych, mógłbym zaszachować mojego kapitana rezerwy. „Tata — powiedziałbym — skończmy tę mowę o medycynie, bo choć... słowo honoru, medycynę bardzo szanuję, to przede mną elektronika, informatyka, fizyka jądrowa, neutrony, protony, kwanty i tepe”. Ale przy moich możliwościach? Nikt w taką bujdzę nie uwierzy.

— Słuchaj, Ambroży — rzekłem. — Wygląda na to, że logikę wsadziłeś tam, gdzie autko i Balaton. Przecież medycyna, jak ją uczciwie traktować, może ci dać tyle roboty i krwawego potu co prawdziwy front.

Ambroży spojrział na mnie takimi oczami, że przypomniała mi się bajka o psie, który miał oczy jak kamienie młyńskie.

— Mareczku — rzekł. — Skleroza ciebie żywcem zjada. Czy ty nie pamiętasz, że...

— Nie pamiętam? — huknąłem. — Niczego nie pamiętam, idioto! Jaka była umowa?

Ambroży spokorniał.

— Niech ci będzie.

I po chwili:

— Mówiłem, że jak człowiek zechce i potrafi pracować, to wszędzie może być silny. Zośka na przykład chce iść właśnie na medycynę i ja sam ją popieram. To nawet byłoby dobrze: ona jako lekarz, a ja...

Zamyślił się, uśmiechnął.

— Trzeba będzie trochę poczekać — mruknął — ale poczekamy.

A ja (właśnie jako ja) trochę się wzruszyłem. Mam wśród przyjaciół dwa małżeństwa, które powoli zbliżają się do srebrnego wesela, a które zaczęły „chodzić ze sobą” jeszcze w liceum.

— Zeznawaj dalej, synu — rzekłem przyjaźnie.

Nie spodobał mu się ten „syn”, a mnie także zrobiło się dość głupio. Jako że cały czas mówiliśmy o sprawach ojca i syna właśnie.

— Taaak! — westchnął Ambroży. — Żebym miał choć cień zainteresowania do tych wszystkich medycznych tajemnic, położyłbym uszy po sobie. Rozkaz, tato! Niech będzie medycyna. Ale przecież nie mogę. Nie mogę i nie chcę kłamać staremu. Chcę, żeby przywykł do mojej idei.

W pierwszej chwili chciałem mu powiedzieć, że nadmierna prawdomówność bywa sto razy głupsza i gorsza od mądrego kłamstwa, ale powstrzymałem się. W tym, co mówił, brzmiał czysty ton. Nie należało go — przynajmniej w owej chwili — mącić.

Ambroży wstał.

— Sam wiesz — mówił — że jest coś, co umiem i co lubię.

— Jasne — bąknąłem.

Ambroży nagle wesoło się zaśmiał.

— Umie. Może nie? Z matmy ledwo czwórka, ale jak przyszło do podciągania bęcwałów, to byłem lepszy od was, piątkowiczów — śmiał się z poczuciem własnej wartości. — No więc powiedziałem w końcu staremu: „Kapitanie, ja chcę iść na wyższą szkołę nauczycielską, na pedagogikę”. Za pierwszym razem tylko zmrużył oczy. Udał, że nie słyszy. Więc nie powiedziałem mu reszty.

— Jakiej?

— A takiej, sklerozo, że właśnie chcę uczyć. Powędrujemy z Zośką na wieś, w najgorsze strony, tam gdzie łamią się ciecie, a skąd uciekają cwaniaki. Po pierwsze, bo chcę... a po drugie, może gadam głupio, ale dopiero tam czuję, że żyję. Wtedy nikt nie będzie miał prawa powiedzieć: twój ojciec był taki a taki... a ty co? Szukasz, gdzie najłatwiej.

— Powiedziałeś ojcu? — spytałem.

W moim wzroku musiało przebić się coś z moich myśli, bo Ambroży zarumienił się, spieszył jakby. Albowiem patrzyłem na tego chłopca z uczciwym szacunkiem — i to głównie ja jako ja. Mam wielce wrażliwe ucho na drętwą mowę i wszelką bigoterię. Nauczyłem się rozpoznawać świętoszków wszelkiego typu, którzy głośno krzyczą o wszelkiego typu moralności, żeby nie było słychać, jak trzaska ona pod ich racicami.

Dlatego Ambroży naprawdę mnie zdumiał. Nie byłem pewien, czy wytrzyma i czy potrafi postępować tak, jak tu obiecywał. Ale w tym, co mówił, brzmiał czysty ton.

— Powiedziałeś mu o wszystkim? — spytałem raz jeszcze.

Potrząsnął głową na „nie”. Rozłożył ręce.

— Tłumaczyłem tylko, że wolę pedagogikę od medycyny. Przecież całej reszty nie będę śpiewał. Albo nie uwierzy, albo wyśmiej... że lipa. Dopiero wczoraj... — urwał, zaciął zęby.

Czekałem w milczeniu

— Taaak. Dopiero wczoraj próbowałem trochę szerzej wytłumaczyć te wszystkie hece. No i... tym razem nie udawał, że nie słyszy. Co gorsze, nie zauważyłem, że on...

— Że on „co”?

— A, nic. Zaczął się wyśmiewać, krzyczeć. Zrobił ze mnie półgłówka, bęcwała. Matka próbowała łagodzić. Nic z tego. U nas jest tylko jeden wódz naczelny, a inni w domu nie mają głosu. Ja nie mam nawet do niego specjalnie żalu. Ale postanowiłem... i dlatego także pokłóciłem się z Zośką... żeby było lżej zwiać!

Nie zrozumiałem.

— Co ty gadasz?

— To, co słyszysz: chcę zwiać.

— Powtórz!

Poczerwieniał jak ćwikła, niemal na sino.

— Chcę wiać z domu! — wrzasnął.

Zatkało mnie na dłuższą chwilę. On zaś roześmiał się pogardliwie.

— Co tak podskakujesz? Sameś mi to doradził.

— Jaaa?!

— A kto? Święta Cecylia?

Przez dobrą chwilę czułem się tak, jakbym dostał pałą w ciemność. Świat szerniał. W gardle mi zaschło, jak po trzech tysiącach z przeszkodami. A więc to mój Marek — chłopak, w którego inteligencję i rozum szczerze wierzyłem — podsunął Ambrożemu tak kretyński pomysł? I w ogóle skąd w całej tej trudnej sprawie taka mieszanina dojrzałości ze szczeniactwem?

Na szczęście Ambroży okazał lojalność. Napuszył się, nadał, ale powiedział coś, co mnie otrzeźwiło:

— Sam powiedziałeś: „Jakoś taki idiota, to wiej”.

Odetchnąłem.

— Ambrożeniu — rzekłem z jawnym cynizmem. — Idea jest przednia. Wszyscy będą mieli szczerą uławę, jak cię plutonowy MO, Kowalski January, doprowadzi do domu po trzech dniach emigracji. Ojca to natychmiast przekona, a my nie pozobieramy się z radości.

Ambroży spojrział na mnie z niedobrym uśmiechem.

— Ja, Mareczku — powiedział — jak zechcę, potrafię uzyskać swoistą niezależność. A w każdym razie mogę się wymknąć spod kontroli obywatela Kapitana.

— Jak?

— Wystarczy zrobić jakiś kiosk. Wejść w spółkę z byle żulią. Jeśli ściągnę towary za pięć kawalków, poprawczak murowany. A tam będę mógł wybierać, co zechcę. No nie?

Zerwałem się z krzesła, jakby mi ktoś wbił szpilę w kręgosłup. Chwyciłem się za sporta, zapaliłem zapałkę, zgasiłem zapałkę, wsadziłem sporta z powrotem do paczki.

— Zwariowałeś?!

— Nie.

Opanowałem się nieco.

— Nadzwyczaj interesujące — mówiłem chodząc po pokoju, gdzie i tak miejsca było na cztery kroki — jest to, że zwierzę na pozór myślące, nie pozbawione resztek świadomości, imieniem Ambroży, mogło w ogóle wymyślić podobny idiotyzm.

On najwidoczniej był przygotowany na podobne określenie. Pokiwał głową.

— Mów dalej, kochanieńki.

Jego spokój nieco mnie speszył, ale musiałem przecież powiedzieć to, co miałem do powiedzenia.

— Po pierwsze — zacząłem wyliczać — sprawisz rzeczywiście duży prezent rodzicom: Ambroży złodziej, Ambroży siedzi. Po drugie, Zośka też nie powstrzyma się od śmiechu z radości. Po trzecie, widzę już oczami wyobraźni, z jakim entuzjazmem egzaminatorzy Wyższej Szkoły Pedagogicznej przyjmą kandydata z wyrokiem za złodziejstwo. Tak, Ambroży — mówiłem — możesz złamać mi nos i powybić zęby. Nie będę się bronił, a zdania nie zmienię.

— Nic więcej? — spytał Ambroży. — Niczego poza idiotyzmem w tym nie widzisz?

— Niczego!

Zamyślił się bez gniewu, bez żalu. Zasłonił twarz rękami o krótkich, mocnych palcach.

— Ambroży — powiedziałem. — To wszystko?

Wzruszył ramionami, milczał. A mnie w końcu poniosło:

— Myślisz, że ci wierzę? — zacząłem krzyczeć. — Bądź raz wreszcie szczerą do końca! A mnie się zdaje, że jeszcze nie wszystko mi powiedziałeś. Co, Ambroży?

Milczał. Zacząłem się śmiać. To go wreszcie zbudziło. Przez chwilę myślałem, że rzeczywiście dostanę w szczękę.

— Pewnie, że nie wszystko! — huknął pięścią w stół. — Po pierwsze, ze mnie żaden bohater. Po prostu mam zwykłego stracha, że za rok, za półtora, za dwa dam się złamać. Kto

nie lubi łatwej forsy? Tobie dobrze. Tatuś profesor jeździ po świecie: magnetofon japoński, adapter Philipsa, kamera, ciuchy... Dobra. Zgadza się: nie bawisz się w hrabiego z komisju. Nie udajesz Rockefellera z Kozich Dupek. Ale co fakt, to fakt... źle ci się nie wiedzie. A jak o mnie mówi nasza szkolna „elitka” kochana? „Dziad”. I ja, i Zośka, i jeszcze dwudziestka tych, co noszą polskie dżinsy, a na telewizor chodzą do sąsiadów. Ja się nawet nie dziwię staremu, że dla swego syna chce innego życia... bez tych rachunków, że trzeba jechać tramwajem, bo tańszy od autobusu. A w ogóle, co ty możesz o tym wiedzieć? Ja... ja dla niego ciągle jeszcze nie jestem partner do rozmowy. Nie mam prawa do własnego sądu. Nie mam prawa do siebie. Tylko niech ci się nie zdaje, że nie wiem, co to jest. Ja wiem, a ty słuchaj uważnie: To jest też, że tak powiem, ojcowska miłość, tylko... tylko że bardzo trudno ją udźwignąć. Wczoraj... wczoraj... — jego głos na chwilę załamał się — wczoraj próbowałem mu to powiedzieć. I...

— I co?

— Uderzył mnie — powiedział odwracając głowę. — Rozumiesz? Zabierał się do bicia całkiem, jak po mojej „wietnamskiej” ucieczce... pierwszy raz od tamtych czasów.

— Ale... za co?

— Po trochu za prawdę. Za prawdę zawsze biją. Nie tylko rodzice. A poza tym...

— Co „poza tym”?

Znowu długa chwila ciszy. Ambroży tarł czoło, wahał się.

Podniósł na mnie umęczony wzrok. Wstał.

— Chodź.

Zaprowadził do małej, ciemnej kuchni. Wskazał kąt za zlewem. Pochyliłem się, zobaczyłem: stało tam kilkanaście pustych butelek po wódce.

— Nie poznać po nim — mówił cicho Ambroży. — Ale już raz musiał się leczyć. Mama mówi, że bolą go stare i nowe blizny, że trzeba rozumieć i wybaczyć. Ale dla mnie to wcale nie jest takie proste. Więc... — mówił coraz ciszej — więc pomyślałem, że może jak zwieję... przynajmniej na kilka dni... to jakoś nim potrząśnie, otrzeźwi...

Milczałem.

— Rozumiesz?! — krzyknął. — Taki miałem wczoraj dzień. Dwoje najbliższych ludzi: ojciec i... Zośka. Ojciec mnie uderzył, a Zośka powiedziała, że nie chce mnie znać. Dziwisz się, że zacząłem pakować swój plecak?

— Nie. Ale... rozpakuj go — powiedziałem.

Oto sprawa Ambrożego. Przyszedłem tu radzić i pomagać w „szczeniackich kłopotach i zielonych zmartwieniach”. Teraz męczył mnie wstyd. Za mało wiedziałem o szesnastoletnich. Źle obliczałem wymiar ich „kłopotów”. Tu, w tym domu, koło tego chłopca o śmiesznej twarzy i umęczonych oczach...

Nie chciałem, nie mogłem nawet pytać o więcej. W każdym razie tego dnia. Ale co dalej? Trzeba pomóc. Pomóc — łatwe słowo.

Milczeliśmy teraz obaj. W kamienicy za trzecią ścianą ktoś zabrał się do wygrywania fortepianowych gam, sprawnie i szybko.

Ambroży bez słowa zaczął zbierać ze stołu ordery. Układał je w pudełku, wyniósł do drugiego pokoju. Potem zatrzymał się jeszcze przez chwilę nad listem od Zośki. Zajrzał na początek, na koniec. Wreszcie — po raz pierwszy od godziny — uśmiechnął się.

A potem? Potem zabrał się do plecaka. Za trzecią ścianą gamy ustąpiły Sonacie Beethovena. W pewnej chwili Ambroży podszedł do mnie.

— Wiesz, dlaczego cię w końcu wpuściłem?

— No?

— Żebyś — uśmiechnął się wstydliwie i zniżył głos do szeptu — żebyś właśnie to powiedział.

— Co?

— Rozpakuj plecak.

Tu odezwała się we mnie sentymentalna dusza czterdziestolatka. Odwróciłem twarz do okna, by ukryć zaszkłone oczy — co było tym śmieszniejsze, że obaj się tak wzruszyliśmy — zarówno ja jako Marek, jak ja jako ja.

Ambroży nadal krzątał się przy plecaku, a ja spojrzałem w dół na ulicę i wzruszyłem się jeszcze bardziej. Tym razem już przede wszystkim jako ja. Oto po przeciwległej stronie ulicy spacerowała — coraz to spoglądając w górę — osoba rodzaju żeńskiego, niezbyt wysokiego wzrostu, o nieefektywnej, ale delikatnej urodzie.

Czyli Zośka.

Odczekałem dłuższą chwilę, kilka razy głęboko odetchnąłem.

— Ambroży! — rzekłem. — Kończ te swoje zabawy. Trzeba się zbierać. Szybciej trochę, z łaski swojej. Idziemy.

Ambroży wzruszył ramionami.

— Dokąd? Nigdzie nie idę.

— Jesteś pewien?

Spojrzał na mnie podejrzliwie, podszedł do okna, wyjrzał wreszcie na ulicę. Zośka właśnie podniosła głowę. Uśmiechnęła się, podniosła rękę.

Po minucie byliśmy już na schodach. Ambroży pędził pierwszy — ale na pierwszym piętrze zatrzymał się.

— Marek! Tej rozmowy n i e b y ł o! Jasne?

— Właśnie zapomniałem o niej.

— Słowo?

— Słowo.

W chwilę później znaleźliśmy się już na ulicy. Tamci dwoje powiedzieli sobie tylko tyle: „Cześć — cześć” Ale dużo ładnej muzyki było w tych dwóch słowach, więc od razu się z nimi rozstałem.

Zośka na pożegnanie ucałowała mnie w policzek. No i rozeszliśmy się. Oni poszli ku śródmieściu, ja skierowałem się w stronę parku. Chciałem być sam. Bo to nawet zrzęcznie i wygodnie się ułożyło — że owej trudnej rozmowy w ogóle nie było i że obaj mamy o niej zapomnieć. Ambroży i Zośka odeszli uśmiechając się do siebie jak w poczuciu nowej szansy i nowej nadziei. Ale przecież nic jeszcze w tej trudnej sprawie nie zostało załatwione ani rozstrzygnięte.

Czy jednak na pewno „nic”? A może się mylę? Uśmiechnąłem się, bo przecież zaufanie do mnie było w istocie zaufaniem do Marka. Sam Ambroży przyznał, że już wcześniej o tych sprawach rozmawiali. A to, że Zośka nie zwróciła się do nikogo innego jak do Marka — to znaczy do mnie jako Marka — też miało swoją wymowę.

Słońce znów wychyliło się zza przejrzystej, szarpanej wiatrem chmury. Park błysnął bielą łabędzią i bajeczną. Przyśpieszyłem kroku, żeby uciec od samochodowych spalin i decybeli. Już miałem przekroczyć bramę parku, gdy zatrzymano mnie.

Wpierw usłyszałem radosny okrzyk, a raczej — radosny pisk dziewczyny:

— Och, Mareczek!

Równocześnie ktoś przesłonił mi oczy, a piskliwy sopranik zawołał teraz z głupawym chichotem:

— Zgadnij! A kto to?

3

Od wczesnego dzieciństwa ogromnie lubiłem, kiedy ktoś nagle przysłaniał mi oczy pytając „a kto to?” Reagowałem żywiłowo — co oznacza, że starałem się możliwie dokładnie i mocno kopnąć pytającą osobę w goleń.

Chybiałem rzadko.

Kolejna ciotka czy kuzynka podnosiła wrzask. Ja skromnie spuszczałem oczy. Kończyło się na krzyku i pogróżkach, bo ojciec oświadczał, że dziecko jest dzieckiem i w poczuciu nagłego zaskoczenia zachowuje się rozsądnie. Mrugał przy tym do mnie lewym okiem, ja do niego prawym (lewym jeszcze nie umiałem) i na tym się kończyło.

Odruch pozostał. Jako kilkunastolatek posiniaczyłem dwie czy trzy osoby rodzaju żeńskiego. W dwudziestym pierwszym zasłoniła mi oczy dziewczyna imieniem Krystyna. Obcas podskoczył automatycznie, Krystyna krzyknęła tylko raz, potem dała mi w ucho (dzwoniło w nim całą dobę). Potem zaczęliśmy się nawzajem przeproszać, a ślub odbył się mniej więcej w dwa miesiące po przeprosinach.

Marek miał nie więcej niż pięć lat, kiedy jedna z kuzynek po raz pierwszy zasłoniła mu oczy, pytając „a ktio tio”?

Obaj — Marek i ja — na moment znieruchomieliśmy. Następnie syn mój wierzgnął nogą niczym ja za najlepszych swych czasów. Kuzynka wrzasnęła pawim głosem: „Moja noga! moja pończocha!”, ja zaś oświadczyłem, że chłopiec jest nerwicowy i w poczuciu nagłego zagrożenia reaguje całkiem prawidłowo.

Kuzynka, ciężko obrażona, wyszła bez słowa. Ja mrugnąłem do Marka lewym okiem, a on do mnie prawym. Lewym jeszcze nie umiał. Kuzynka natomiast wykazała niejakię poczucie humoru, bo nie uprzedzonym ciotkom, kuzynkom i znajomym odpowiedziała, że nasz Mareczek wprost uwielbia, kiedy ktoś zasłania mu oczy i pyta: „a kto to?”

Krystyna obliczyła, że w przeciągu następnego roku poszło na tę zabawę szesnaście pończoch i tyleż siniaków. Przy okazji odkryliśmy, że Marek wykazuje zmysł wynalazczy. Jak tylko usłyszał, że zapowiada się jakaś cioteczna czy kuzynkowa wizyta — niezależnie od tego, czy był to kwiecisty maj, ozy złocisty wrzesień — natychmiast zdejmował sandały, pantofle czy półbuty i wdziewał ciężkie zimowe traktorki. Uśmiechał się przy tym skrycie oraz bezlitośnie.

Dopiero po fakcie zaczynał przeproszać, tłumacząc, że jest dzieckiem nerwicowym i w poczuciu nagłego zagrożenia reaguje prawidłowo.

Tyle historycznego wstępu do sytuacji, w jakiej się znalazłem.

Przypominam: chciałem uciec od samochodowych spalin i decybeli do parku, który błysnął w słońcu bajeczną i łabędią bielą. Już miałem przekroczyć jego bramę, kiedy usłyszałem radosny pisk dziewczyny. A zaraz potem ktoś przesłonił mi oczy pytając czule: „a kto to?”

Prawa pięta już poderwała się do działania. Zdołałem się jednak w ostatniej chwili opanować. Miałem na nogach ciężkie traktory. Przy swej obecnej kondycji mogłem bez trudu nadłamać jakiś damski goleń. Co gorsza — skutki musiałby ponieść Marek.

Na moment ogarnęło mnie poczucie całkowitego bezsensu istnienia. Tym bardziej że głosik powtórzył swoje pytanie w sposób całkowicie upupiający, kretyńsko zmiękczając spółgłoski:

— Mareczku! A ktio tio?

Co sobie w owej chwili pomyślałem? Niech to pozostanie przy mnie. Faktem jest, że ciągle jeszcze milczałem. Bałem się poruszyć. Wiedziałem, że za sekundę albo wierzgnę obcasem, albo prostym przerzutem przez głowę cisnę toto w najbliższą kupę śniegu.

Wytrzymałem. Udało mi się nawet odpowiedzieć stosunkowo spokojnym głosem:

— Kto to? Sądząc po głosie: patriarcha konstantynopoliński albo Kaczor Donald.

— Och, *you bad boy* * — usłyszałem. — Że ty zawsze musisz się tak przy mnie wygłupiać.

Szarpięto mnie za łokieć, odwróciłem się wreszcie.

Przedemną stała całkiem ładna dziewczyna o reklamowej urodzie i trochę zanadto eleganckiej elegancji. Na pierwszy rzut oka można było policzyć ilość zużytych kosmetyków oraz ilość obnoszonych na całkiem zgrabnej figurze pekaowsko-komisowych ciuchów. „Efektowny wystrój — pomyślałem. — Ale...”

Otóż to! Ani ja, ani (o ile wiem) Marek nie mamy nic przeciwko kosmetyce czy ciuchom. Ale wszystko zależy, jak to jest noszone i jak to jest użyte. Bo jeśli naprzód człowiek zauważa malunek brwi, powiek i rzęs, a dopiero potem kolor oczu, to nie jest dobrze. A jeśli naprzód ogląda się kozuch, boty, szal, kołnierz golfa itp. I dopiero potem samą dziewczynę, to już jest całkiem źle.

Poznałem ją zresztą.

Jeszcze pół roku temu telefonowała ze dwa razy dziennie, a zjawiała się nie rzadziej niż raz w tygodniu. Marek znosił to z anielską cierpliwością. Początkowo był nawet dumny. — Jak ci się podoba? — pytał mnie głosem Casanovy.

— Nie to jest ładne, co ładne — powiedziałem — ale co się komu podoba.

— Mnie się podoba — warknął. Ja tylko rozłożyłem ręce.

Skończyło się po trzech miesiącach. Nie zorientowałem się, kto kogo rzucił. W każdym razie Marek przez dobry tydzień chodził wściekły, pozorując sprawę pałą z chemii — osoba zaś znikła z horyzontu.

Jak się właściwie nazywa? Jakoś na „B”. Nie mogłem sobie uprzytomnić: Bibi, Buba czy Bepa? Coś w tym rodzaju. W każdym razie brzmiało to nad wyraz idiotycznie. Krystyna na pewno by pamiętała, bo ona z inteligentnym, ale swoiście damskim upodobaniem wielce się interesowała tego typu przyjaźniami Marka. Ja natomiast, choćby ze względu na to, że zbyt często bywałem tylko gościem w domu, byłem wyraźnie w tych sprawach niedoinformowany. Krótkie sprawozdania, jakie składała mi Krystyna, nie trzymały się mojej pamięci.

W gruncie rzeczy zainteresował mnie dopiero głos i wygląd Eli Jaroń. A z czasów dawniejszych? Spamiętałem jako tako tylko dwie: milczącą, surową sportsmenkę, która (wedle własnych słów) postanowiła z Marka zrobić prawdziwego koszykarza, oraz ową Bubę (Bibi? Bepę?), stworzenie o zgrymaszonym głosiku i reklamowej urodzie.

I oto teraz stworzenie stało przede mną, przybierając obrażoną minę i żurnalową pozę. „Co dalej — myślałem — wiać czy zostać?”

Pierwsze było wygodniejsze. Drugie ciekawsze. Wybrałem więc to drugie. Jak się powiedziało A, trzeba brnąć dalej.

Sprawa Ambrożego stale jeszcze ciążyła sumieniu, niepokoiła pamięć.

Może zatem — dla higieny umysłu i sumienia — warto teraz poświęcić nieco czasu reklamowej urodzie, jak również umysłowi jej właścicielki? Nie będzie to chyba zajęcie zbyt męczące. Ktoś, kto nosi imię Bibi (Bepa? Buba?), na pewno nie zażąda ode mnie, bym określił swój pogląd na filozofię Kierkegaarda, względnie na problemy strukturalizmu.

— Cześć! — rzekłem starając się o miły wyraz twarzy. — *Hi, my honey* **! Wyglądasz, *mon trèsor*, jak zjawisko!

Zastosowałem metodę wtrącania słów w językach pięknego Zachodu, bo wydawało mi się, że Bibi (Bubie?) będzie to odpowiadać.

Nie omyliłem się.

— Mareczku — zaświergotała od razu porzucając obrażoną minę — co znaczy: „*mon*

* *Och, you bad boy* (ang.) — och, ty niedobry chłopcze!

** *Hi, my honey* (ang.) — hej, moja słodka, „mój miódku”.

trèsor”?

— Mój skarbie.

— Mareczku, *mon trèsor!* Tak strasznie dawno się nie widzieliśmy. Nie pocałujesz mnie na powitanie?

Jak się powiedziało A, trzeba mówić B, C itd. Pytanie zresztą było czystą formalnością, jako że natychmiast znalazł się przed moimi oczami różowobiały policzek. Poczulem zapach dobrego pudru, potem perfum. Muszę w zgodzie ze swym sumieniem oświadczyć, że choć oferta była skierowana do mnie jako do Marka, skorzystałem z niej jako ja! I to ze szczerą przyjemnością.

W rewanżu otrzymałem monetę podobną, co mówiąc między nami, było również bardzo sympatyczne.

— Och — szepnęła czule. — *Sweet cute boy.*

„Hm — pomyślałem. — Akcent nieco grójecko-nowotarski. Ale fakt faktem: nazwała mnie słodkim i miłym chłopcem”.

— Kiciu — rzekłem. — Nie mam dziś nastroju na język Szekspira i Harrisona.

Ona jednak nagle się rozłościła.

— Nie nazywaj mnie „Kicią”! Słyszysz?

— Słyszę — zdumiałem się. — Ale dlaczego?

Rozłościła się jeszcze bardziej.

— Udajesz naiwniaczka? Sam najlepiej wiesz, dlaczego!

Położyłem uszy po sobie. Lepiej omijać temat. Bo skądże ja mogę wiedzieć, dlaczego nie wolno mi nazywać jej „Kicią”? Ona zaś naprawdę była zła. W jej głosiku zabrzmiała słodycz — tego typu słodycz, jakiej dodaje się do trucizny.

— Zapomniałam spytać — spytała — co słyhać u pięknej Eli?

Spojrzałem na Bibi (Bubę?) wzrokiem stumaniałego niewiniątka.

— Słyszałem, że Ela wyjechała na ferie do Cortina d'Ampezzo.

Bubi (Buba?) zaniósła się perlistym śmiechem.

— A nie do Saint-Tropez?

Zastanowiłem się.

— Chyba nie.

— Bo ja słyszałam — sopranik znowu był słodziutki, jak przyprawiony sacharyną cyjanek potasu — że Elunia ma anginę, leży w łóżku i pije rumianek.

— Chyba masz rację — rzekłem bardzo chłodnym głosem. — Ładną mamy dziś pogodę.

Tym razem nie obraziła się. Wzięła mnie pod ramię. Nie było to pytanie, lecz rozkaz:

— Zapraszasz mnie na kawę.

Rzeczywiście! W kieszeni kożucha zostało mi siedem pięćdziesiąt. A musiałem przed powrotem do domu kupić pieczywo, bo w moim portfelu zostały same pięćsetki — wiadomo zaś, jak sprzedawczynie lubią w godzinie szczytu wydawać resztę z pięćsetki. Co gorsza, kupując pieczywo będę klientem nastoletnim. A kilka dzisiejszych doświadczeń uprzytomniło mi, że taki klient zaliczany jest do kategorii, której nie odpowiada się na pytania, a towar (zamiast podać) rzuca się na ladę. Słyszałem o tym już od Marka. Dziś sprawdzę na własnej skórze.

Ta osoba każe się jeszcze zapraszać na kawę!

— Przepraszam, *mon trèsor* — rzekłem. — Bank zawiesił wypłaty. Jestem pod planem. Kawy nie będzie.

Złapała mnie palcami za ucho. Roześmiała się przy tym z niewątpliwym wdziękiem.

— You silly * ... — zaczęła, ale od razu się poprawiła. — Głupi chłopcze! Ty zapra-

* *You silly* (ang.) — ty głuptasku.

szasz, ja p ł a c ę.

Nadałem się po męsku.

— Honor mi nie pozwala — oświadczyłem. — Chyba nie zechcesz brukać mego hono-
ru.

— I owszem, chcę.

Jej śmiech mimo wszystko miły był i zaraźliwy.

— Trudno — rzekłem. — W takim razie brukaj.

Należy tu przypomnieć, że niezależnie od wieku i doświadczenia każdy mężczyzna pomiędzy piętnastym a dziewięćdziesiątym piątym rokiem życia lubi pokazać się na ulicy, na koncercie, w teatrze, na meczu, na balu (itd., itp.), a szczególnie w kawiarni z ładną i dobrze ubraną dziewczyną.

Dałem się więc wziąć pod rękę i ruszyliśmy w stronę jednej z najlepszych i najbardziej nowoczesnych kawiarni kategorii „S”. Niepokoilo mnie tylko, że choć rzeczywiście miałem ochotę na dobrą kawę w głupiutkim towarzystwie Bibi (Buby? Bepy?), mój sufler wewnętrzny zaczął się temu coraz ostrzej sprzeciwiać, a nawet pieklić.

Z jakiego właściwie powodu? Początkowo zlekceważyłem to. Kiedy zaś zrozumiałem, było już za późno.

Oddaliśmy kozuchy do szatni, stanęliśmy na progu kawiarni. Dziewczyna wzięła mnie pod rękę takim gestem, jakim bierze się psa na smycz. Dopiero wtedy zrozumiałem!

Trzy czwarte sali było wypełnione klientami w naszym wieku. Na nasz widok przy co najmniej połowie stolików głowy pochyliły się ku sobie, przez kawiarnię przeszła wysoka fala ożywienia.

Mieliśmy więc, jak mówią aktorzy, „wejście z brawkiem”. A ja, tępak, zrozumiałem wreszcie, że rozkoszna Bibi postanowiła wywołać sensację, z myślą, by owa sensacja (Bibi + Marek) doszła do pewnej osoby, która ma anginę i popija ją rumiankiem. Nie doceniłem chy-
trości skrytej pod najmodniejszą fryzurką Bibi.

„Poczekaj no, *mon trésor* — pomyślałem sobie. — Nie ujdzie ci to na sucho”.

Od kilku stolików podniosły się zapraszającym gestem ręce. Na wszelki wypadek uśmiechałem się na prawo i lewo, a uśmiech ten (wiedziałem dobrze) nosił wszelkie cechy przewlekłego kretynizmu. Moja natomiast partnerka witała znajomych miną świadczącą o znakomitym samopoczuciu i z premedytacją wybrała stolik na samym końcu sali. Tak, abyśmy musieli przedefilować przed całą liczną zebraną publicznością.

Od jednego z mijanych stolików poderwał się chłopca w różowym golfie, niebieskiej zamkowej kurtce z perłowymi guzikami, z tombakową bransoletką na przegubie lewej dłoni i fajką w wystających zębach. Co gorsza — gdyby nie głupia gęba — wyglądałoby to całkiem nieźle.

— Hellou, Dolly... — zawołał — Marczyk? *Again* *?

A więc nie Bibi, Buba, Beba... tylko Dolly! Też pięknie. Ale chłopaczek bardzo mi się nie spodobał.

— Kiciu — rzekłem do Dolly. — Powiedz mu, że perłowe guziki do niebieskiego zam-
mszu nosi się tylko w Hondurasie... i to tylko na Boże Narodzenie pod choinką.

Oboje zatkało ze złości. Dolly za „Kicię”, chłopysia za Honduras. Dolly miała jednak mocniejsze niż tamten nerwy. Roześmiała się, zagarnęła mnie ramieniem — poprowadziła w stronę upatrzonego stolika. Zerknąłem za siebie: chłopys w perłowych guzikach stał jeszcze przez dłuższą chwilę, szczęka mu opadła, w oczach miał nienawiść.

Ja też byłem mocno zły. Dolly zrobiła ze mnie (ze mnie jako Marka) naiwniaka pierwszej klasy. Przemknęło mi przez myśl, że ktoś z obecnych na sali „życzliwych” poleciał już do telefonu, by powiadomić Elę o moim (to znaczy — Marka) występie.

* *Again* (ang.) — znowu.

Życzliwi są wszędzie.

Dolly doprowadziła mnie do stolika, przy którym siedziały dwie dziewczyny i jeden chłopiec, odziany, jakby był moim starszym bliźniakiem: w jeszcze bardziej połatane dzinsy i jeszcze bardziej wytarty golf niż ja. Całą trójkę znałem (ja jako ja) z widzenia. Mogłem być więc pewien, że ja, jako Marek, powinienem znać ich wyśmienicie.

Dziewczęta zresztą były dobrej klasy. Chłopiec również miał bystre oczy. Cała trójka przyglądała się nam z nieco zbrzydzonej minami.

„Dobrze — pomyślałem. — Świadkowie bardzo się przydadzą. A Dolly pożałuje swego zagrania”.

Kelnerka — osoba schludna i miła — znalazła się koło nas, jak tylko usiedliśmy. Dolly poprosiła o kawę, ja zaś — po krótkim namyśle — zamówiłem kakao z pianką, tort mokka, dwie napoleonki, puszkę soku grejpfrutowego i wodę mineralną.

— To wszystko? — uśmiechnęła się kelnerka z błyskiem zainteresowania w ładnych oczach.

— A jest może mazagran? — spytałem.

— Nie ma. Wyszedł.

— Dokąd? — zdziwiłem się odruchowo.

Kelnerka wzruszyła ramionami i wybyła. Dolly, mimo że moje zamówienie wprawiło ją w rodzaj osłupienia, wybuchnęła śmiechem. Tamta trójka spojrzała po sobie z powagą.

— Pamiętacie starego Mazagrana? — spytał chłopiec.

Dziewczęta popatrzyły sobie w oczy, z powagą skinęły głowami.

— Miał takie siwe bokobrody.

— Biedny był to staruszek, lecz uczciwy.

— Tylko że strasznie schudł przed śmiercią.

— Ale pogrzeb miał wesoły jak rzadko.

— Wiadomo: sami przyjaciele.

Dolly wytrzeszczyła oczy.

— O kim wy mówicie?

— O starym Mazagraniu — wyjaśnił chłopiec.

Wkroczyłem w rozmowę:

— Nie dawaj się nabierać, Dolly — rzekłem surowo. — Mazagran jest po prostu napojem złożonym z zimnej kawy, kieliszka rumu i wody sodowej. Poza tym pożycz mi dwieście złotych.

— Po co?

Odczekałem chwilę. Potem powiedziałem niezbyt głośno, ale z najlepszą dykcją, na jaką było mnie stać.

— Chcę posłać kwiaty Eli. Jest chora na anginę.

— Jeden... zero — oświadczył chłopiec.

Trzeba przyznać: Dolly nawet nie mrugnęła powieką. Zbladła z przyczajonej furii, ale potrafiła się nawet uśmiechnąć.

Sięgnęła po torebkę.

— Może trzysta?

— Na anginę wystarczy dwieście — stwierdziłem.

Wyższa z tamtych dziewcząt wróciła do uprzedniego tematu.

— Napój nie napój... rum nie rum... — westchnęła. — A mimo wszystko szkoda starego Mazagrana.

— Iza! Daj spokój — rzekła groźnym głosem Dolly. — Ty też, Ewa — zwróciła się do drugiej. — Nie znoszę tych waszych durnowatych rozmówek.

Ewa z Izą spojrzały po sobie.

— Mimo wszystko... — westchnęła pierwsza — żal.

— Mimo wszystko... — westchnęła druga — bardzo żal.

— Ja w sprawie formalnej — odezwał się chłopiec. — Tyle już lat minęło od pogrzebu staruszka, a myśmy jeszcze nie odbyli stypy na cześć starego Mazagrana.

— Co prawda, to prawda — przyznałem.

Dolly natychmiast rozbliły oczy. Muszę przyznać, że znów wyglądała bardzo ładnie.

— Stypa? Może z tańcami? — spytała szybko.

— W tej idei jest racjonalne jądro — oświadczył chłopiec. — Kto ma wolny parkiet?

Po tym pytaniu zaczęło się coś w rodzaju małokalibrowego tajfunu: wszystkie trzy dziewczyny zaczęły mówić równocześnie, zachowując przy tym zadziwiająco zdolność wzajemnego słyszenia i rozumienia się nawzajem. Nie mogłem zresztą w pełni kontrolować ich potrójnego monologu, bo kelnerka przyniosła, co zamówiłem. Przy sąsiednich stolikach podniosły się ciche okrzyki podziwu, ale nie zwracałem na nie uwagi. Byłem n a p r a w d ę głodny i m i a ł e m ochotę na kakao z pianką, tort mokka, dwie napoleonki, nie mówiąc o soku.

Od kilku dobrych lat oboje z Krystyną musieliśmy unikać obżarstwa. Co pewien czas, niezależnie od gimnastyki i sportów, stosowaliśmy dietę. Krystyna bezmączną, ja serową.

Ale oto dzięki uprzejmości Mister Di mogłem dać upust łakomstwu — jako że Marek (Marek jako ja) nie miał najmniejszych skłonności do tycia. A nawet, bezczelny, pokpiwał z naszych dietetycznych wyrzeczeń.

„Poczekaj — mówiłem mu nieraz — zobaczymy, co będzie z tobą po czterdziestce”. On, biedactwo, wzruszał tylko ramionami. Nie był chłopcem pozbawionym wyobraźni. Ale czy mając lat szesnaście można siebie wyobrazić jako czterdziestolatka? Z pełnym poczuciem odpowiedzialności stwierdzam: nie jest to możliwe!

Swoją drogą kakao było świetne, tort mokka jeszcze lepszy, a napoleonki rzeczywiście kategorii „S”. Mimo najlepszych chęci, sokiem i wodą musiałem już podzielić się z Ewą i Waldemarem, albowiem takie imię nosił drugi przy tym stoliku mężczyzna.

Nim dałem radę drugiej napoleonce — Dolly, Ewa i Iza ustaliły, że taneczna stypa na cześć starego Mazagrana odbędzie się na parkiecie, czyli w chacie Dolly — ojciec w Zakopanem, matka w delegacji. Doprosi się jeszcze dwie dziewczyny oraz sześciu chłopców z Waldkiem i Markiem (czyli mną) na czele. Płyty przyniesie Iza. Marek (czyli ja) magnetofon i taśmy. Stroje? Ze względów formalnych (stypa) obowiązują stroje wieczorowe. Zaproszeni panowie mają wybrać rodzaj napoi wysokokowych przydatnych na stypę (z tańcami!). Zaproszone panie zmontują bufet.

Godzina osiemnasta zero zero, punktualnie. Adres — wiadomy.

Dolly zaczęła się nagle bardzo spieszyć.

Przytrzymałem ją jednak bez żadnej litości.

— Co ustaliliśmy? Ja zaprosiłem, ale ty płacisz.

Rachunek był całkiem niezły. Dolly płacąc chichotała nieco nerwowo, ale dodała nawet dziesięciozłotowy napiwek kelnerce. Ewa, która w tym czasie spędziła kilkanaście minut przy telefonie — zwołując spisane na liście osoby — oświadczyła, że brakuje co najmniej jednego osobnika płci męskiej jako tanecznej rezerwy.

Przez moment zapadło przy stoliku głębokie milczenie. Ja ze zrozumiałych względów nie odzywałem się w ogóle. W końcu głosem głębokiej rezygnacji przemówił Waldemar:

— Ostatecznie... można by...

— Co? — spytały jednocześnie trzy damy.

— Ptifurka... można by zaprosić — wystękał dość niepewnie.

Iza uderzyła pięścią w stół:

— Obywatelki i obywatele! Jak wiadomo, jestem osobą wyrozumiałą. Jestem też przeciwniczką dyskryminacji z powodów umysłowych. Ale przecież Ptifurek zionie głupotą tego rzędu...

— Oho! — przerwała Dolly. — Kiedy kręcił się koło ciebie, wcale tak nie zionął.

Iza bardzo ostro:

— Ale teraz zionie!

Ewa trąciła Izę łokciem.

— Jakoś to zniesiemy.

— Właśnie! — krzyknęła Dolly.

W ciągu kilku sekund znalazła się przy zamszowej marynarce z perłowymi guzikami. Marynarka potakiwała uprzejmym ruchem ptasiej głowy.

— Ptifurek — powiedziała Iza twardym głosem — ma nos żurawia, oczy gazeli, ale mózg rozwielitki.

Ewa:

— Ale umie tańczyć.

Waldek:

— W najgorszym razie będzie się nad kim powyzwierzęcać.

Dolly była już z powrotem.

— Załatwione. A więc do szóstej, czyli osiemnastej — i czule: — Odprowadzisz mnie, Marczku?

Zdażyłem kopnąć pod stołem Waldka. Wyglądał na człowieka o sprawnym umyśle. Musiałem kopnąć trochę za mocno, bo skrzywił się jak paralityk. Mimo to przyszedł z pomocą.

— Marek ciebie nie odprowadzi — oświadczył twardo. — Mam do niego sprawę. Poza tym ty go demoralizujesz.

Rozłożyłem bezsilnie ręce. Dolly wzruszyła ramionami.

— Och, jak smutno! A Ptifurek — rzekła — właśnie pytał, czy może mnie odprowadzić. Do widzenia, arivederci, adieu, bye, bye! Aha — zatrzymała się. — Ptifurek proponuje do zimnego bufetu żubrówkę i piwo.

Mój sufler wewnętrzny milczał. Ja jednak jako ja musiałem wystąpić.

— Powiedz temu idiotcie, że jest kretynem. Z żubrówką może sobie jechać do Hondurasu. Czerwone, wytrawne wino... oto napój Europejczyków.

Dolly spieszyła się najwyraźniej.

— Na pewno?

— Na pewno — rzekły jednym głosem Ewa z Izą. — Powtórz mu to.

— Ale o Hondurasie nie powtórzę.

— Nie musisz — zgodziłem się.

W końcu odeszła. Przy stoliku nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia. Byłem pod ostrzałem trzech par oczu i trzech pogardliwych uśmiechów.

— Szkoda mi ciebie, chłopczyno — rzekła w końcu Iza.

Ewa:

— Jedni mają ataki astmy, inni ataki idiotyzmu. *O, you sweet boy!* — zaświergotała bezbłędnie naśladując czuły sopranik i grójecko-nowotarski akcent Dolly.

Chciałem jakoś się odezwać, zaprotestować, sprostować. Daremnie. Obie dziewczyny wypowiedziały jeszcze kilka podobnych zdań na temat mojej umysłowej niemocy i parszywieńkiego charakteru.

Na szczęście wkroczył Waldek.

— Nie przesadzajcie! Zastrzelił ją tą forsą na kwiaty czy nie?

Przyznały, że strzeliłem w dziesiątkę. Ich wzrok złagodniał. Mimo to pożegnały się ze mną nie najprzyjaźniej. Chciałem również odejść, ale Waldek przytrzymał mnie przy sobie.

— Ja naprawdę, Marczku, mam z tobą do pomówienia. Idziemy razem.

Z pogodą znów było niedobrze. Zaczął prosić śnieg.

Co gorsza poderwał się wiatr, który — jak to w kotlinie Wisły bywa — wiał stale w twarz, niezależnie, w którą stronę się szło. Waldek nadal milczał. Mnie zaś ogarnęła nagle

ogromna ochota, by wrócić w swoją skórę, zajrzeć do instytutu, sprawdzić rezultaty zaplanowanych na czas mojej nieobecności doświadczeń, pogadać z najlepszym i najzdolniejszym z moich asystentów o jego pracy doktorskiej, która zapowiadała się na wydarzenie większe niż wiele znanych mi prac habilitacyjnych.

Tymczasem wędrowałem Alejami w połatanych dżinsach i wytartym golfie, z gębą pod wiatr, czując jak twarz zaczyna piec i pierzchnąć. Z nawyku wygoliłem ją do trzeciej skóry, zapominając, że na mój aktualny zarost wystarczyłoby jedno golenie. W dodatku obok mnie szedł dość nawet miły facet, który jednak najwyraźniej miał zamiar objechać Marka, nie wiedząc, że ten Marek wcale nie jest Markiem.

Zacząłem być zły. Tym bardziej że sufler wewnętrzny znów przypomniał mi scenę, w której piękna Dolly wprowadza mnie na salę kawiarni.

— Trzeba było wcześniej mnie ostrzec! — mruknąłem do suflera.

— Że co? — spytał Waldek.

— Nic.

— Coraz lepiej — pokiwał głową. — Zaczynasz mówić do siebie na głos?

— Chwilowa depresja.

— Wszyscy mamy depresję — mruknął Waldek i skrzywił w stronę śródmieścia.

Zbuntowałem się:

— Dokąd? Ja chcę do domu!

— Ech, ty! — powiedział złym głosem. — Jazda!

— Dokąd?

— Do kwaciarni. Po kwiaty dla Eli. Marsz!

Rozbroił mnie tym rozkazem! Uśmiechnąłem się. Waldemar jest istotą myślącą. Ma rację. Wybiorę jakieś ładne goździki. Albo storczyki. Następnie...

Właśnie — i co dalej? Przecież nie znam a d r e s u Eli. A wiatr znów zaczął sypać śniegiem w oczy.

Jak ja z tego wybrnę? Po reakcjach Ewy, Izy i Waldka zorientowałem się, że wejście z Dolly do kawiarni było (cytuję) jawnym atakiem idiotyzmu. Pomysł z kwiatami natomiast świadczył o niejkiej przytomności umysłu. Należało działać jak najszybciej. Zanim ktoś życzliwy doniesie Eli, że itd.

Właściwie miałem tylko jedno wyjście z sytuacji.

— Waldek!

— Czego?

— Możesz mi zrobić p r z y s ł u g ę?

— Jaka?

— Żebyś to ty odniósł kwiaty.

Potknął się tak nagle, jakbym dał mu po karku podstawiając równocześnie nogę. Gdybym go nie podtrzymał, leżałby już w kupie brudnego solonego śniegu. Równocześnie dostał takiego wytrzeszczu oczu jak dławiąca się makolągwa.

— Ja? — wykrztusił w końcu. — Jaaa?

I oto znów nie miałem pojęcia, o co właściwie chodzi ani jak się zachować. Tym jednak razem nie czekałem długo. Waldek wciągnął mnie do najbliższej bramy, złapał za kołnierz kozucha i potrząsnął jak kukłą.

— Czy ty — pytał — masz taką grubą skórę, czy jesteś aż t a k i e chamidło?

Po moim wyrazie twarzy musiał jednak zorientować się, że naprawdę nie rozumiem przyczyn tego gniewu.

Puścił kołnierz, zajrzał mi w oczy.

— Zgrywasz się na debila? — spytał spokojniej.

— Słowo honoru, że...

— Że co?

Zatkało mnie: bo na co mam mu dawać słowo honoru? W naszym domu traktowaliśmy „słowo” poważnie.

A ja w tej chwili mogłem dać słowo na to tylko, że cierpię na całkowity zanik pamięci. Kto w to uwierzy?

Waldek głęboko odetchnął.

— Słuchaj no, królewiczu — zaczął. — Może rzeczywiście masz nieludzko grubą skórę. Nie wykluczam też rozwodnienia mózgu. Ale teraz dowiesz się rzeczywiście czegoś nowego: kiedy odbiłeś mi Elę...

„No tak — przemknęło mi przez głowę. — Tylko tego brakowało!”.

— ...miałem już — ciągnął Waldek — gotowy wyrok na ciebie. Trzech ludzi z mojej ulicy zgłosiło się na ochotnika, żeby policzyć ci zębra i zęby. A ja, Mareczku, miałem ogromną chęć skorzystać z ich oferty. Nie skorzystałem. Po pierwsze, ze względu na Elę; po drugie, ze względu na Elę; po trzecie, ze względu na Elę. W końcu jakoś mi przeszło. Ale ja cię ostrzegam, kotusiu. Zaczynasz mi się narażać. Po pierwsze, pokazujesz się znowu z tym żurnalowym i głupowatym snobiszczem... i to wtedy, kiedy Ela jest chora. Niech będzie: przypadek. Zagranie z pożyczką było nawet niezłe. Ale teraz szanowny obywatel żąda, żebym to ja... właśnie ja!... nosił twoje kwiatki na Gołębią trzydzieści mieszkanie siedem?!

Myślałem, że go ucałuję. Sytuacja wyjaśniła się po ludzku, a przy okazji m i a ł e m a d r e s!

Chwyciłem Waldka za rękę, zacząłem przeproszać, gadać, deklarować, i to całkiem szczerze, przyjaźń, wycofywać swoją prośbę, tłumaczyć, że mam grubszą skórę i gorszą pamięć, niż na to wyglądam. Dałem nawet słowo honoru, że nie chciałem go urazić, co było prawdą oczywistą.

W końcu udobruchał się. Nie na sto procent, nie do końca. Raczej chyba wybaczył, niż uwierzył.

Ruszyliśmy w dalszą drogę.

— Dobra — zgodził się w końcu. — Załatwię ci to, jako *homo sapiens* * o sercu gołębia.

Zacząłem tłumaczyć, że nie, że teraz już sam dam sobie radę. Błysnął mądrymi oczami. Na jego brzydkiej twarzy ukazał się ładny, trochę złośliwy uśmiech.

— Powiedziałem, że załatwię.

Roześmiał się na głos.

— I tak będziesz się musiał tłumaczyć z tej stypy u miss Dolly. Wiesz, co ci powiem, Mareczku? Rozwija się w tobie dusza pantoflarza, aż miło spojrzeć.

— Rzecz jest — stwierdziłem sucho — naturalna. A zjawisko dziedziczne. W naszej rodzinie reguła potwierdza się już w trzecim pokoleniu. Dziadek, ojciec i ja. Dziadek ze strony ojca.

— A ze strony matki?

— Jeszcze bardziej.

Waldek szczerzył zęby w szczerym rozradowaniu.

— Ciekawi mnie — rzekł — czy to u was skaza charakterologiczna, czy jedynie przejaw umysłowego niedołęstwa.

— Jesteś zero — oświadczyłem pogodnie. — Podwójne.

Oczywiście z miejsca zażądał wyjaśnień „dlaczego?” Tu jednak musieliśmy zrobić pauzę na kwaciarnię. Forsy od Dolly wystarczyło akurat na trzy bardzo zgrabne storczyki. Potem ruszyliśmy równym krokiem w stronę Gołębiej, bo Waldek postawił warunek, że mam mu towarzyszyć i nieść kwiaty aż pod samą bramę, ponieważ on nie znosi włóczenia się po mieście z głupawymi badylami pod pachą. Zgodziłem się z miejsca. Następnie wygłosiłem mały wykład na temat tzw. „pantoflarstwa”, a w istocie na temat psychologicznego i intele-

* *Homo sapiens* (łac.) — dosł.: człowiek mądry, rozumny.

ktualnego równouprawnienia kobiet. A dalej — myśląc już futurologicznie, czyli przyszłościowo — stwierdziłem, że psychika kobiet wykazuje wyraźną przewagę nad umysłowością mężczyzny.

Mówiąc prawdę przejąłem powyższy pogląd od mego wieloletniego przyjaciela Jurka B., męża przemiłej pani docent. Przejąłem go jednak na stałe i na własność.

— Otóż — tłumaczyłem pokrótce — w ciągu kilkuset tysięcy lat istnienia gatunku ludzkiego samiec, czyli mężczyzna, wykształcał w sobie cechy wojownika. Wojownika, który wychodzi po łup i przynosi zdobyte mięso. Kobiety natomiast pełniąc obowiązki macierzyńskie utrwały i rozwinęły w sobie cechy opiekuńczej wrażliwości oraz mądrości.

Sam przyznasz — ciągnąłem — że wiek dwudziesty po raz pierwszy stwarza warunki do wykluczenia z historii człowieka wojen, wojowniczości i wojownictwa. A zatem psychologia mężczyzny, czyli wojownika, będzie musiała coraz wyraźniej ustępować i przekształcać się na wzór opiekuńczej mądrości kobiet. Taka oto przed nami przyszłość. To znaczy, przed tobą, przede mną oraz przed całą ludzkością.

Waldek aż przystanął.

Patrzył na mnie bardzo nieufnie, lecz nie bez zainteresowania.

— Ty jednak trochę chyba zwariowałaś — powiedział cichym głosem.

Ale po chwili zastanowienia dodał również:

— Chociaż, muszę przyznać, jest coś do rzeczy z tą psychologią.

Pozegnaliśmy się pod właściwą bramą.

Poprosiłem go, żeby wspomniał Eli, od kogo te kwiaty, i żeby pamiętał, jak b a r d o zaraźliwą chorobą jest angina. W ostatniej chwili znów wpadłem w popłoch: przypomniałem sobie, że dla odmiany nie znam adresu Dolly. Udało mi się jednak namówić Waldka, żeby wpadł po mnie. Zgodził się bez trudu. Ze swej strony obiecałem, że w rewanżu oddam na ten wieczór do jego dyspozycji wszystkie krawaty Starego (to znaczy moje) i wszystkie moje (to znaczy Marka).

Umówiliśmy się na siedemnastą trzydzieści.

Po drodze do domu kupiłem dwie francuskie bułki oraz chleb zakopiański, jako że wydano mi ze storczyków całe dwadzieścia złotych reszty. W lodówce coś tam jeszcze było, w spiżarni odnalazłem kilka konserwowych puszek: gołąbki, flaczki, szproty.

Nie umrę zatem z głodu.

Na obiad przyrządziłem sobie grzanki z serem i porcję gołąbków.

Przy drugim gołąbku zadzwonił telefon. „Niech dzwoni — pomyślałem — przetrzymam”. Nie przetrzymałem jednak.

— To ty, Leoś? — spytał zryty już doszczętnie bas.

— Tak, to ja — powiedziałem.

— Dziwny masz głos, Leoś.

— Bo w ogóle dziwny jest ten świat.

Bas jakby zaszlochał.

— A ja myślałem, że cię zamkli. Boże, Boże! Leoś, szwagier... ratuj!

— Bo co?

— Bo jak pomyślałem, że cię zamkli, z tego żalu znowu popłynąłem, Leoś. Teraz jestem w „Złotej Rybce” i nie ma mnie kto wykupić.

Przełknąłem spokojnie resztę gołąbka.

— Będę u ciebie, szwagier.

— Kiedy, Leoś?

— Jak tylko odnajdę personalnego. Przyjdziemy razem.

— Leoś! — zaryczał bas. — Rany boskie! Nie!

— Nie to nie. Módl się i pracuj! — powiedziałem odkładając słuchawkę.

Dokończyłem obiadu. Ogarnęła mnie lekka senność. Dzień był wyczerpujący.

Wyciągnąłem się na ławie przy książkach. „Idiota” gdzieś się schował. Teraz natomiast spojrzał na mnie z półki tytuł „Muchy na mózgu”. Nie przejąłem się tym zbyt.

Z drzemki wyrwał mnie telefon. Dobrze się stało — bo ni z tego, ni z owego wskazówki zegara przeskoczyły na godzinę szesnastą. Podeszedłem do aparatu. Czyżby znów szwagier Leosia?

Tym razem był to jednak ktoś inny. Całkiem inny.

— Marek? Poznajesz? Tu Ela.

— Tak — szepnąłem nieco schrypłym głosem. — Poznają. Jak się czujesz?

— Średnio. A ty?

— Tak sobie.

— Marek...

— Słucham.

— Czy ty lubisz kakao z pianką?

Chciałem odpowiedzieć w sposób możliwie sensowny. Wyszło mi jednak coś w rodzaju „ebebebe”.

— Ciekawe — postyszałem cichy śmiech. — Dykcja ci się popsuka?

— Ja...

— Bo chciałam ci powiedzieć, że... — i tu groźna, lodowata chwila pauzy.

Mój sufler wewnętrzny wprawił moje serce w rytm dziki a nierówny.

— Co ch-chciałaś powiedzieć?

— Że bardzo lubię storczyki — jej głos nagle ocieplił się i rozłocił. — A za Ambrozego i Zośkę podziękuję osobno. Wstaję już pojutrze. Zadzwoń?

Zacząłem znów coś bąkać, nie wiedząc, czy płaczę się w zeznaniach jako Marek, czy jako ja. Mówiąc ściślej, jako ja byłem na pograniczu nerwicy, jako Marek — na progu szczęścia.

— Zadzwoń — powiedziałem z pokorą.

— Albo lepiej — znów śmiech w głosie — zadzwoń już jutro. Opowiesz mi, jak wyszła stypa ku czci starego Mazagrana. Cześć, Marek, i — (bardzo cicho) całuję...

Zaraz potem łagodnie odłożyła słuchawkę.

Przesłyszałem się czy usłyszałem dobrze? Nie wiem. Nie bardzo pamiętam. Milczałem. Mój sufler wewnętrzny również cofnął się w wielką ciszę. Dopiero po dłuższej chwili jeden z nas dwóch — a być może obaj równocześnie — przypomnieliśmy sobie pierwsze sześć linijek norwidowskiego wiersza:

*Nad Capulettich i Montecchich domem,
Splukane deszczem, poruszone gromem,
Łagodne oko błękitu
Patrzy na gruzy nieprzyjaznych grodów,
Na rozwalone bramy do ogrodów,
I gwiazdkę zrzuca ze szczytu.*

Powtórzyłem te dwie zwrotki na głos. Odpowiedziało mi milczenie. Poczułem się w owej chwili bardzo samotnie. Ale przecież nie byłem sam. Podeszedłem więc do lustra, spojrzałem na Marka.

Uśmiechnąłem się do niego, on do mnie.

— Marek — spytałem — czy opowiadałem ci już o tym, jak poszliśmy z Krystyną na film „Romeo i Julia”? To było bodaj że na twoje ostatnie urodziny. Urządzałaś party, a rodzicom kupiłaś bilety do kina.

Przypomniałem sobie, jak to wyszliśmy z Krystyną wcześniej, żeby przed wieczornym seansem zjeść kolację. Poszliśmy do „Wierzynka”. Tam przysiadł się do nas Janek K., architekt, z którym przyjaźniliśmy się jeszcze w okresie narzeczeństwa i w pierwszych latach po

ślubie. To był kiedyś ładny, bystry chłopak. Teraz nadal wygląda dość interesująco. Ale... Kiedy dowiedział się, że Marek urządza prywatkę, a my idziemy na „Romeo i Julię”, od razu rozpoczął obszerny wykład na temat uczuciowej obojętności, cynizmu i zepsucia współczesnej młodzieży. Plótł mniej więcej w tym stylu, jak najgłupsze ciotki-dewotki z czasów naszej własnej młodości. Właściwie tak nas tym gadulstwem zaskoczył, że nawet nie chciało się podejmować dyskusji. Krystyna coś bąknęła, że już w starożytnym Egipcie narzekano na zepsucie i cynizm młodzieży, ja jednak nie miałem ochoty na ciąg dalszy. Zostawiliśmy go więc z jego własnym rozumem i nie dokończoną butelką wina. Przyszliśmy pod kino za wcześnie. Wreszcie publiczność z poprzedniego seansu zaczęła wychodzić... z owego filmu o miłości dwojga młodziutkich mieszkańców Werony. Krystyna chwyciła mnie za rękę. Powiedziała: „patrz!” Naliczyliśmy wśród owego tłumu siedemnaście par owej „uczuciowo obojętnej, cynicznej i zepsutej młodzieży”. Kilku chłopców ocierało własnymi chusteczkami łzy swoich Julii. Dwóch te łzy po prostu scałowało. Inne parki patrzyły sobie w oczy, trzymając się za ręce, jakby byli sami na świecie.

Przyznam się, że i my wyszliśmy z kina trzymając się za ręce. A jeszcze przedtem musiałem pożyczyć Krystynie swoją chustkę.

— Biedny, głupi Janek... — powiedziała na koniec Krystyna.

Uśmiechaliśmy się teraz do siebie z Markiem dość skąpo, nawet z niejakim zawstydzeniem.

Nastał już wczesny zimowy zmrok. Podeszedłem bliżej do lustra. Chciałem zajrzeć chłopcu w oczy.

— To nie szkodzi, Marek — powiedziałem — że nic nam o tych sprawach nie mówisz. Każdy ma prawo do wstydlivosti uczuć... tym większej, im są prawdziwsze. Rozumiesz?

Nie odpowiedział. Nie zdziwiło mnie to. Wyszedłem do kuchni. Nastawiłem sobie kawę. Małą, czarną, mocną.

Telefon zadzwonił dwa razy. Za pierwszym razem miły kobiecy głos spytał, czy to parafia Św. Salwatora. Za drugim poproszono mnie o „wewnętrzny 252”. Przeprosiłem obu rozmówców. Oni też mnie przeprosili. Natomiast szwagier Leosia milczał. Trochę było mi go brak. Mówiąc szczerze zacząłem interesować się losem człowieka.

Do kawy nastawiłem sobie płytę z Partitą c-moll Bacha w krystalicznie pięknym wykonaniu Adama Szepinioka. Potem udało mi się znów obronić przed okrutną ochotą na papierosa. Na koniec popadłem w popłoch. Była już za pięć piąta, a ja jeszcze nie pomyślałem nawet, jak i w co się przebrać na stypę ku czci starego Mazagrana.

Zacząłem od tego, że zrzuciłem džinsy wraz z golfem i zabrałem się do solidnego mycia, za czym Marek w zasadzie nie przepadał, co ja jednak uznałem za konieczne.

Jest rzeczą stosunkowo naturalną, że właśnie w chwili, w której miałem zamydloną twarz, uszy oraz kark, ktoś zadzwonił do drzwi. Pierwszy raz dość jeszcze spokojnie. Zdążyłem splukać kark i uszy, ale oczywiście mydło wlaźło mi do oczu. Drugi dzwonek był już ostrzejszy. Ja ciągle jeszcze miałem mydło w oczach, a na sobie podkoszulek, slipki i nic więcej.

Trzeci dzwonek zajazgotał, niczym obłąkany jamnik. Zdołałem narzucić na siebie letni szlafrok Krystyny i jakoś na oślep dotarłem do drzwi frontowych.

— Kto tam?

— Człowiek — odpowiedział zza drzwi głos Waldka.

— Bydłę nie człowiek — warknąłem otwierając.

Musiałem wyglądać dość efektownie, bo Waldek dostał czkawki ze śmiechu. Poradziłem mu, żeby wstrzymał oddech na dziesięć do dwudziestu minut, to już nigdy nie dostanie czkawki. Zlekceważył moją radę. Czkawka przeszła sama.

Była godzina siedemnasta zero zero — kiedy wylazłem z łazienki. Zapomniałem, że

Marek nie znosi wód kolońskich, i skropiłem włosy lawendą, całkiem dobrą lawendą.

— Czym ty tak śmierdzisz? — spytał surowo Waldek.

— Lizolem — wyjaśniłem. — Musiałem zdezynfekować łazienkę. Znowu się pokazały.

— Kto?

— Krasnoludki.

— A nie były to przypadkiem wnuczęta starego Mazagrana?

— Nie przyglądałem się zbyt dokładnie. A ty — spytałem — czemu przyszedłeś tak wcześniej?

Waldek zdumiał się.

— Co z tobą, Marek? Przecież ja zawsze przychodzę za wcześniej.

Udałem, że rozumiem. Przyjrzałem się Waldkowi. A więc to jest s t r ó j w i e c z o r o w y: granatowe ubranie, czarne buty, biała koszula, krawat w pasy. Spodobało mi się: skromnie, elegancko, w sam raz na stypę.

Zacząłem się ubierać, ale trochę to trwało, nim rozejrzałem się w żywiolowym bałaganie Markowej szafy. Po kwadransie i ja byłem gotów. Wprawdzie marynarka miała na plecach zaprasowanie w jakiś niepojęty, podwójny kant, ale za to spodnie były w ogóle pozbawione kantów. Waldek tylko westchnął. Potem zajrzeliśmy do krawatów. Waldek pożyczył mi swoje skośne pasy, sam zaś wybrał złote orchidee na zielonych smokach, które Krystyna kupiła mi niedługo z a k a r ę.

Waldek starannie związał gruby węzeł. Staął przed lustrem.

— Co za wyjątkowa ohyda! — rzekł radośnie. — Ale warto! Ptifurek padnie z zazdrości. Idziemy?

Mieliśmy jeszcze wstąpić po wino. W ostatniej chwili uprzytomniłem sobie, że muszę wziąć pieniądze. Waldek zaś przypomniał już na schodach, że mamy zabrać taśmy i magnetofon. Tak więc wyszliśmy w końcu z domu o siedemnastej dwadzieścia.

Napoje wysokowe w postaci łagodnego węgierskiego burgunda zakupiliśmy na Sławkowskiej, w sklepie obok „Baryłeczki”. Przy okazji zmieniłem pięćsetkę, na który to widok Waldek dość nieprzytomnie wytrzeszczył oczy: „skąd to do ciebie?” Wyjaśniłem, że oszczędzam od dzieciństwa. On zaś zaproponował mi, żebym wyłożył za niego, odda zaraz po pierwszym. Ja zaproponowałem mu całkiem coś innego, ale wyłożyłem.

Czasu mieliśmy jeszcze dość. Postanowiliśmy zatem pójść drogą dookolną, przez Planty.

Pocieplało wyraźnie, wiatr ustał. Przysiedliśmy na chwilę koło Uniwersytetu.

Waldek zamyślił się, chciał coś powiedzieć, ale znów cofnął się w milczenie.

Trąciłem go łokciem.

— No co, stary? — spytałem.

Wskazał ruchem głowy ciemny masyw uniwersyteckich kolegów. Westchnął.

— Kilku niezłych młodzików zdawało tu egzaminy. A czy ty wiesz — ożywił się — ile lat mieli dwaj faceci, którzy przeprowadzili reformę tej budy i pierwsi w Europie stworzyli program ministerstwa oświaty?

Wiedziałem.

— Facet nazwiskiem Kołłątaj miał wtedy dwadzieścia siedem, a facet nazwiskiem Śniadecki dwadzieścia pięć.

— Cholera — powiedział Waldek. — Jak do takich podskoczyć? Bo ja bardzo bym lubił, żeby za jakie dwieście lat usiadło na tej ławce dwóch takich jak my i mówili o nas tak jak my o tamtych.

— Mowa! Ja też bym to lubił — powiedzieliśmy obaj jednym głosem — jako Marek i ja jako ja. Z tym że Marek powiedział owe słowa przede wszystkim z nadzieją, ja zaś już z pewną rezygnacją.

— Pamiętasz, o czym gadaliśmy tuż przed feriami? — spytał Waldek.

Milczałem — cóż mogłem pamiętać?

Waldek zniecierpliwiał się.

— No, Marek... po „Krajobrazie po bitwie”.

Zdobyłem się na możliwie bezpieczną odpowiedź.

— Yhym!

Waldek spojrzał na mnie z ukosa. Odpowiedziałem wzrokiem niewinnym i czystym jak lozańskie liryki.

— Myślałem o tym co nieco — mówił już całkiem serio. — I powiem ci: nie miałeś racji.

— Dlaczego? W czym? — spytałem ze szczerym zaciekawieniem.

— W tym narzekaniu na swoich rodziców.

Umilkł na chwilę. Ja zaś zamarłem z napięcia: jak go pociągnąć za język? Niby to nie-
lojalnie. Rodzaj szpiclowania. Ale przecież warto wiedzieć, jakie nasz przyjaciel Marek ma
pretensje do Krystyny i do mnie. Jak sprowokować Waldka, żeby zaczął sypać?

Odczekałem chwilę.

— Nie wystarczy powiedzieć „nie masz racji” — rzekłem. — Trzeba udowodnić.

Waldek pokiwał głową.

— Marek... człowieku! Narzekasz niby na to, że twoi starzy zrobili w swoich specjalno-
ściach tak dużo, że tobie ciężko będzie ich przeskoczyć. Że ich sukcesy niby cieszą, ale
równocześnie przygnębiają. A nawet zniechęcają. Wiesz co? Tuman jesteś!

A więc to tak? Usłyszałem już coś w tym stylu od swego syna raz czy drugi. Okazuje
się jednak, że miałem zbyt grubą skórę. Sądziłem, że to tylko rodzaj dowcipów. Tymczasem
był to p r o b l e m. Czyżbym rzeczywiście zasłużył na imię „tumana”?

Waldek ciągnął dalej:

— Takie rzeczy gada się pod wrażeniem chwili. Więcej, takie gadanie już samo przez
się jest dowodem, że oni na swój sposób cię dopingują. Niby narzekasz, a w istocie myślisz:
„zobaczymy, kto będzie lepszy na finiszu”. Rozwijasz się w takiej za przeproszeniem podsta-
wowej komórce społecznej, czyli rodzinie, która z góry podnosi twoje szanse. Określony
poziom materialny, niezły poziom intelektualny. Mnie cholera bierze, kiedy skarżysz się na
brak zrozumienia i tepe. Powiedzmy sobie otwarcie, że w ogóle dorośli nie za dużo o nas wie-
dzą. Ale jak na przykład zaczynam porównywać to, co tobie dał dom, z tym, co na przykład
jest u mnie... albo u Ambrożego.

Bąknąłem coś pod nosem.

— Nie rób kretyńskich min — zezłościł się. — Każdy z nas chce być dobry na finiszu.
Myślisz, że ja nie? Ja chcę i muszę przeskoczyć już na uniwerku wysoką poprzeczkę. Forsa?
Zaszczyt? Mareczku! Kto tego nie lubi? Ale my obaj staniemy już jedną nogą w dwudziestym
pierwszym wieku. My go mamy przygotować. Właśnie nasze roczniki... i to będzie d u ż a
r o b o t a. Sam tak mówiłeś.

Po tych słowach spojrzałem na Waldka z wielką wdzięcznością. Wyznaję, że od dawna
niepokoiło mnie milczenie Marka na temat jego planów i ambicji. Wiedzieliśmy, że koncen-
trował się głównie na matematyce i chemii. Ale nie wiedzieliśmy, w jakich wymiarach sam
siebie widzi. I oto usłyszałem: „mamy przygotować dwudziesty pierwszy wiek... i to będzie
duża robota”. Ja jako ja uśmiechnąłem się do siebie jako do Marka. I to z satysfakcją.

— Pamiętasz? — ciągnął nieświadomy niczego Waldek. — Nie mogłem się jeszcze
wtedy zdecydować, co wybrać: psychologię czy socjologię?

— No i co?

— Zdecydowałem się — mówił Waldek z pewnym siebie uśmiechem. — Wybieram
jedno i drugie. Bo jeśli chcę pracować nad nowoczesną techniką organizacji pracy, muszę
wsiąść na oba te konie.

Pokiwałem głową.

— A nie rozerwą cię?
— Może nie... A... a czy szanowny kolega wie — pytał Waldek — kto mnie namówił do tej idei?

— Kto?

— Koleżanka E l a J a r o ń. Ona też chce osiodłać oba te koniki. No i co pan na to? Będziemy z koleżanką Elą razem studiowali, razem chodzili na wykłady, na seminaria... i w ogóle.

Zezłościłem się, raczej zezłościł się mój sufler wewnętrzny.

— Ja ci dam „i w ogóle”! Co z was tacy kowboje? Żeby studiować, trzeba zdać. Najpierw cholerną maturę, potem cholerny wstępny.

— Spokojna głowa — zaśmiał się Waldek. — Do matury t y mnie podciągniesz z matmy i chemii, Ela z fizyki. Co do reszty, dam sobie radę sam. Wstępnego się nie boję.

— Szczęść Boże — mruknąłem.

Od strony Rynku zaczął dzwonić głęboki bas zegara.

— Osiemnasta zero zero... — rzekłem wstając. — *Miss Dolly is waiting* *.

— *Niczewo* — zaśmiał się Waldek. — Jak znam kobietę, robi dopiero lewe oko.

— Są rzeczy — rzekłem — na niebie i ziemi, o których nie śniło się filozofom.

— Ciekaw jestem, co by się stało — spytał Waldek — gdyby Ptifurek przyśnił się Sokratesowi?

— Hm — zastanowiłem się. — Zapewne Sokrates zażyłby cykutekę po raz drugi.

— Myślisz?

— Ręczyć nie mogę.

Wbrew przypuszczeniom Waldka okazało się, że Dolly ma już zrobione oczy i w ogóle jest gotowa do stypy: koronkowa bluzka dziewięćdziesięcioprocentowej przezroczystości, mieniąca się taftowa spódnica maxi z rozcięciem w stylu wietnamskim, do połowy uda, złoty skarabeusz na ładnym, nieco piegowatym dekolcie.

Ewa i Iza ukończyły już swoje prace nad zimnym bufetem. Bardzo mi się obie te sarenki spodobały. Przy ich strojach Dolly wyglądała po trosze na refrenistkę z nie najlepszego dansingu. Był też Ptifurek w towarzystwie dziewczyny pozostającej pod wyraźnym wpływem gustu i elegancji Dolly. On sam pozostał przy swoich perłowych guzikach, zmienił jednak różowy golf na koszulę z całkiem ładnym kwiecistym krawatem. Waldek zaś nie omylił się — na widok złotych orchidei na zielonych smokach — Ptifurek dostał ostrego wytrzeszczu oczu i od razu odwołał Waldka na bok.

Waldek po minucie odwołał dla odmiany mnie.

— On chce zamienić krawaty.

— Na stałe czy chwilowo?

— Na stałe.

— Drogi Walterze — rzekłem ze wzruszeniem. — Jesteś wielki człowiek i psycholog. Zamieniaj natychmiast. Ale weź zobowiązanie na piśmie, że wymiana nie ulega odwołaniu.

Po dwóch minutach Ptifurek pojawił się pośród nas z błyszczącym okiem oraz złotymi orchideami i zielonymi smokami na wypiętej piersi, co Dolly i jej naśladowczym powitały okrzykami zachwyty. Natomiast Iza, Ewa, Waldek i ja zaczęliśmy z powagą bić brawa.

Oczywiście okazało się, że Ptifurek pozostał przy swoim zdaniu: przyniósł połówkę żubrówki i pięć flaszek piwa. Po maślanych oczkach Ptifurka i jego partnerki można było rozpoznać, że dokonali już wstępnej zaprawy. Dzieweczka — imieniem Pola — chichotała co chwila i bez sensu, Ptifurek zaś zdawał spótgłoski i lekko zezował.

— Przyjmuję każdy zakład — szepnął Waldek — że kolega Ptifurek zahaftuje się, czyli rzuci pawiem, jeszcze przed dwudziestą drugą.

* *Miss Dolly is waiting* (ang.) — panna Dolly czeka.

Od pierwszej chwili osobowość Ptifurka budziła we mnie wyraźny sprzeciw. Fakt, że przyniósł zubrówkę, dopełnił reszty.

Obaj — ja jako ja, z wyraźnym poparciem wewnętrznego suflera, czyli mnie jako Marka — myśleliśmy o Ptifurku z bardzo złą wolą.

Ja zaś osobiście postanowiłem przyspieszyć wspomniane przez Waldka haftowanie pawia.

— Ja mu dam dodatkowe przyspieszenie, Waldemarze — mruknąłem. — Dwudziesta pierwsza trzydzieści... to góra.

O godzinie pół do siódmej znaleźliśmy się w komplecie. Zorientowałem się, że zasada organizacyjna stypy ku czci starego Mazagrana polegała na układzie parami. A więc: Ptifurek z Polą, Iza z Waldkiem, do Ewy podszedł Paweł, wysoki, milczący chłopiec o miłym uśmiechu. Pojawiła się jeszcze jedna para, roześmiany blondas imieniem Fryderyk — uczesany na Chopina — wraz z Janką, bardzo miłą, ale jakby nieco wystraszoną dziewczyną. Waldek, Iza i Ewa powitali dziewczynę z jawną przyjaźnią, natomiast Dolly wymieniła z Ptifurkiem i Polą spojrzenia wyraźnie niechętne. Owa trójka przyjęła Jankę z nazbyt wyraźną rezerwą.

W tym stanie rzeczy na widok Janki rozpromieniłem się jak najserdeczniej, w czym zresztą od razu poparł mnie mój wewnętrzny sufler. Zaraz potem jednak uległem atakowi ciężkiej, że tak powiem, febry. Oto okazało się, że Dolly znów zrobiła mnie w konia. Z ogólnego układu par wynikł fakt, który Dolly ogłosiła tonem równie donośnym, jak triumfalnym:

— *Ladies and gentlemen* *! Dziś opiekuje się mną słodka, miłutki pan... imieniem Marek.

— Dobrze ci tak — rzekł Ptifurek do Dolly.

— Dobrze ci tak — rzekł Waldek do mnie.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnąłem. Musiał być to jednak uśmiech nieco złowrogi, bo w oczach Dolly mignął jakby cień popłochu. Przy okazji Waldek oświadczył, że Eli bardzo podobały się kwiaty ode mnie. Ja zaś zwróciłem Dolly pożyczkę z kawiarnianym rachunkiem włącznie, Dolly nie broniła się zbyt gwałtownie.

Magnetofon pracował już od dawna — prywatka jednak szła jeszcze na całkiem niskich obrotach. „Nic nowego pod słońcem” — rzekł niegdyś Ben Akiba, w oczywisty sposób mijając się z rzeczywistością. Muszę jednak stwierdzić, że stypa ku czci starego Mazagrana zaczęła się w bardzo podobnym stylu, jak to bywało za moich nastoletnich lat. Co oznacza, że na początek utworzyły się dwie odrębne grupy: osobno panie, osobno panowie.

W grupie damskiej od razu zaczęła się wielce ożywiona rozmowa. Toczyła się wielogłosowo, wedle wzorów najbardziej skomplikowanych fug Jana Sebastiana Bacha. Dziewczęta ponownie ujawniły ową zadziwiającą technikę, którą zaobserwowałem w kawiarni: umiejętność równoczesnego mówienia, słyszenia i rozumienia się nawzajem.

Tematem wiodącym — o ile mogłem z owego jazgotu wyłonić poszczególne zdania — były kiecki. Kiecki obecnych tu pań, kiecki zaobserwowane przy innych okazjach, jak również kiecki przyszłości, czyli wiosenne kolekcje Diora, Juniora, Weila, Telimeny, Saint-Laurenta, Mody Polskiej itp., itd., prezentowane ostatnio w PKF, TV oraz szeregu ilustrowanych magazynów, od „Przekroju” po obie „Panoramy”.

Bawiłem się ową dyskusją coraz lepiej, a najzabawniejsze było to, że z identycznego typu świergotem można było się zetknąć na każdym najbardziej nawet uroczystym przyjęciu roczników starszych — poczynając od wszelkich ambasad, a na Radzie Państwa kończąc.

Nie będę jednak protokołował szczegółów ani szczegółików. Wspomnę tylko, że w grupie męskiej rozmowę zaczął Ptifurek. Oświadczył, że jego stary kupuje forda-taunusa. Mruknąłem, że to tandeta. Inni przemilczeli temat z niesmakiem. Fryderyk natomiast wsadził głowę niemal pod brodę Ptifurka i zaczął pisać niby z zachwytu na temat krawatu w złociste

* Ladies and gentlemen (ang.) — panie i panowie.

orchidee na zielonych smokach oraz perłowych guzików.

Ptifurek nadął się.

— Jest klasa, no nie?

— Marek twierdzi — wtrącił Waldek — że takie guziki nosi się głównie w Hondurasie, pod choinką.

Fryderyk pokiwał głową z głębokim zastanowieniem.

— Mareczek przesadza — rzekł. — Podobne guziki i podobny krawat widziałem ostatnio na weselu w miejscowości Bębło.

Sens jego wypowiedzi dotarł do Ptifurka nie od razu.

— Co zrobiło? — spytał.

— Bębło — wyjaśniłem. — Bębło w Hondurasie.

Ptifurek poczerwieniał. Szarpnął się w stronę Fryderyka, ale Paweł przytrzymał go jedną ręką — i wystarczyło. Wtedy Ptifurek spojrzał na Fryderyka z pogardą istic bezbrzeżną.

— G-gratuluje — rzekł — nowej narzeczonej.

Fryderyk zmrużył oczy.

— Nie podoba się?

— A nie.

— Czemu?

— Bo nie lubię.

— Czego?

— Dziadowskiego towarzystwa — sapnął Ptifurek.

Tym razem i ja, i Waldek musieliśmy przytrzymać Fryderyka, choć przyznaję, iż sam bym chętnie wyłożył dobry cios na cofniętą szczękę Ptifurka. Iza, która zauważyła, że dzieje się coś niedobrego, natychmiast znalazła się przy nas.

— Spokój, chłopcy. I to już!

Dziewczyna miała autorytet — nastąpił natychmiastowy spokój. Fryderyk uśmiechnął się promiennie.

— Ptifurku — szepnął czule. — Jeszcze sobie porozmawiamy.

Tamten udał, że nie słyszy, zaś bystra Iza postanowiła rozbić wreszcie grupę, by zapobiec wszelkim dalszym komplikacjom.

Waldka i mnie odkomenderowała do podawania napojów — Ptifurka wraz z Polą zapędziła do tańca. Pawłowi kazała poprosić Dolly, Fryderyk sam podbiegł do Janki, Ewę wywołała do zimnego bufetu.

Zaczął się zatem akt drugi: konsumpcja oraz tańce.

A raczej tańce z przerwami na konsumpcję. Kanapki i butelki czekały na swój los jeszcze w kuchni. Tak więc stanęliśmy z Waldkiem przed zastawionym butelkami kuchennym stołem. Wygląd miały jeszcze dość niewinny. Mimo to spojrzałem na ich rząd (ja jako ja) z głęboką odrazą — natomiast zaniepokoił mnie fakt, że suflerowi wewnętrznemu tym razem nawet nie śniło się protestować.

Moja odraza była zresztą całkowicie uzasadniona. Nie dlatego, żebym był zwapniałym świętoszkiem i jak dziecko wierzył w prohibicję. Ale stały oto przede mną dwa Burgundi, jeden słodki tokaj, pięć „żywców” i żubrówka. Widok był barbarzyński — mieszanina nie do przyjęcia. Mimo to uśmiechnąłem się, bo nie wygasła jeszcze we mnie zła krew obudzona słowem „dziadostwo”. Drugi już raz usłyszałem tego dnia ową formułkę. Raz użył jej Ambroży i wydało mi się, że w swym rozżaleniu przesadza. Ale tym razem powiedziano to słowo wprost! Usłyszałem je z ust miejscowego „arystokraty” — osobnika o charakterze glisty i umysłowości rozwiłitki!

Nie warto było dyskutować, bo jak dyskutować z tak „tęgim” mózgiem? Na stosowanie kar cielesnych nie miałem jeszcze ochoty. Natomiast barbarzyński zestaw przyniesionych na stypę butelek poddał mi pewien pomysł. Waldemar był zajęty otwieraniem butelek, mnie

kazano ustawić na tacy kieliszki i szklanki.

— Waldemarze — spytałem — lubisz hrabiego Ptifurka?

Waldek bystro na mnie zerknął.

— Masz jakiś pomysł?

— Mam.

— Jaki?

— Ja mu przyrządzę koktajl. Najmodniejszy koktajl, którego przepis przywiózł właśnie mój stary z Rio.

— „Specjalnie” dla grafa Ptifurka?

— Specjalnie dlań!

— Rozumiem — Waldek strzelił korkiem burgunda, jakby to był szampan. — Jak rzecz organizujemy?

— Szepnij hrabiemu P. — powiedziałem — że mam jakiś całkiem ekstra przepis, ale że nie chcę go zdradzić.

— Powinno chwycić — zaśmiał się Waldek.

— Daj Boże — westchnąłem.

Iza z Ewą wyruszyły już na pokoje z tacami kanapek — ja z Waldkiem podążaliśmy ich śladem z kieliszkami, szklankami i częścią butelek. Magnetofon pracował na pełnym głosie, na nasz jednak widok tańce przerwano. Magnetofon również został zmuszony do minuty żałobnego milczenia.

Jak stypa, to stypa!

Krótki, wzruszający toast ku czci starego Mazagrana wygłosiła Iza. Stwierdziła, że nieboszczyk kochał dzieci, logikę formalną, zajaczki, motylki i obrazy Jana Styki i że na zawsze pozostanie w naszej pamięci — jako świetlany wzór dla tak obiecujących intelektów, jak na przykład kolega Ptifurek.

Toast spełniliśmy winem. Ptifurek posłyszawszy swe imię zakrzusił się i kilka kropel Burgundi cofnęło mu się przez nos — co przywitaliśmy okrzykami „bis”. Wprawilo go to w kolejny napad złości. Nim jednak zdążył wybrać przedmiot ataku, Iza ponownie włączyła magnetofon na pełny gaz.

Wyznaję, że od początku stypy przeżywałem chwile niepokoju: co będzie z moim tańcem? Wiedziałem, że Marek uchodzi za dobrego tancerza. O mnie w swoim czasie też tak mówiono. Należałem jednak do pokolenia, które wprowadziło boogi-woogi. Zahaczyłem też o rocka i twista. Dla Marka jednak była to już prehistoria — coś między epoką kamienia łupanego a gładzonego.

Kiedy więc Dolly pociągnęła mnie do tańca, straciłem na moment oddech — czy aby nie popsuję opinii Markowi — magnetofon jednak nastawiony na pełną siłę dźwięku zagłuszał nie tylko moją treść, ale wszelkie w ogóle myśli.

Słyszałem rytm — muzykę i rytm. To był ostry rytm i dobra muzyka. Taniec narzucał się sam. Przemieniał się w swobodną improwizację. W radość rytmu i ruchu — rytmu muzyki i własnego pulsu, rytmu perkusji i ruchu młodych mięśni.

Na kilka dobrych minut — zanim nie skończyła się taśma — zapomniałem, że mimo wszystko nie jestem Markiem, tylko sobą. Zapomniałem, że drażni mnie Dolly, że nie znoszę Ptifurka. Że znajduję się w sytuacji nie tyle dwuznacznej, ile dwoistej — co nie jest wygodne dla człowieka dojrzałego, od lat przyzwyczajonego do pojedynczej jaźni.

Więcej! Owe kilka minut tańca sprawiło, iż po raz pierwszy pomyślałem o panu Di z niejaką sympatią. A kiedy skończyła się taśma, zrozumiałem, iż owe subiektywne „kilka minut” trwało blisko dwa obiektywne kwadransy. W dodatku Dolly nie tylko przestała mnie drażnić, lecz zaczęła się podobać — tańczyła z lekkością i wdziękiem. Ja zaś musiałem przybrać całkowicie niekontrolowany wyraz twarzy, bo kiedy skończyła się taśma, Waldek natychmiast odciągnął mnie do kuchni, kopnął w kostkę i oświadczył, że jeśli nie przestanę w

barani sposób wdzięczyc się do Dolly, spuści mnie ze schodów oraz natychmiast powiadomi o wszystkim Elę.

Przyjąłem opeer z miną pełną pokory. Waldek od razu złagodniał. Spytał, jak się czuję. Wyjaśniłem nie bez racji, że czuję się dość nieswojo. Ale obiecuję poprawę.

— Co jednak robić? — spytałem ze skruchą.

Waldek z namysłem potarł brodę.

— Mam ideę.

— Jaką?

— Zarwij Ptifurkowi Połę.

— Uda się? — spytałem.

Waldek spojrział na mnie, jakbym nagle przemienił się w pterodaktyla lub zgoła w starego Mazagrana.

— Coś ty? Dziecko? — stęknął. — Nie znasz Poli?

Nie zdążyłem odpowiedzieć. W tejże chwili do kuchni wkroczyła Dolly, Pola oraz złote orchidee na zielonych smokach w towarzystwie Ptifurka.

— Ch-chlejecie bez nas? — spytał tenże.

Obaj wraz z Waldkiem wzruszyliśmy tylko ramionami, ja zaś bardzo czule uśmiechnąłem się do Poli. Waldek chrząknął z uznaniem, a w oczach Poli wpierw rozbłysło zdumienie, potem radość.

— Och, Mareczku — szepnęła Pola. — Poprosisz mnie do tańca?

— Że co? — spytali jednym głosem Dolly wraz z Ptifurkiem.

— Mareczek zaprosił mnie do tańca — stwierdziła Pola, kładąc mi na ramieniu dłoń smukłą, dziewczęcą i nie do końca domytą.

— Gdzie zubrówka? — spytał Ptifurek.

Żubrówka czekała na swój los w lodówce. Ptifurek odnalazł ją bez trudu, następnie zaczął odkręcać. Przy okazji zarzuciło nim o zlewozmywak.

— Ładnie się zaczyna — jęknął Waldek.

Ja tylko się roześmiałem.

Ptifurek spojrział na mnie krwawym okiem, ale zmilczał, Dolly natomiast bardzo nie podobał się gest wspartej o moje ramię Poli.

— Dziwnego lakieru do paznokci używasz, *darling* — uśmiechnęła się jadownicie. — Trochę czarniawy. Nieprawdaż, Mareczku?

— Mareczkowi się podoba — zaświergotała Pola. — Prawda, Mareczku?

W oczach Dolly błysnęły rude płomyki. Mimo wszystko była lepsza od Poli co najmniej o klasę. Pojąłem jednak rzecz oczywistą, że pewnej chorej na anginę osobie spodoba się fakt porzucenia Dolly dla Poli.

Westchnąłem więc — ja jako ja — z lekkim smutkiem, wyszczerzyłem czule zęby w stronę Poli.

— Prawda, *my heart* * — rzekłem. — Śliczny lakier.

— A gdzie szkło? — spytał Ptifurek.

— Już przynoszę, kochanie — zawołała Dolly.

— Ja j-jestem kochanie? — zdziwił się Ptifurek.

Dolly pogłaskała go po krawacie, ucałowała policzek.

— Ty i tylko ty... *only you!*

— A gdzie szkło? — zdenerwowały się złote orchidee na zielonych smokach.

Dolly pobiegła po kieliszki. Jej śladem zjawily się Iza oraz Ewa z Pawłem. Kieliszków było sześć. Dolly czuliła się już do Ptifurka w sposób ostentacyjny, a mnie zrobiło się nawet trochę żal biedactwa.

* *My heart* (ang.) — moje serce.

Natomiast Ewa szepnęła do Izy:

— Polly czy Dolly? *That is the question!* Oto jest pytanie!

— Nie bądź taki Szekspir — mruknęła Ewa. — I tak źle, i tak niedobrze.

— Komu szkło? — pytał Ptifurek. — Komu żubróweczkę?

Rączka już mu nieco skakała. Przelewał, nie dolewał. Na skroniach pokazały się pierwsze kropelki potu. Czółko — niewysokie, cofnięte — nieco pobiełało.

— Dziękuję — rzekłem. — Nie znoszę podłych alkoholi.

Dolly była już przeciw mnie. Złapała za kieliszek właśnie dlatego, że ja odmówiłem. Waldek mruknął, że i tak ciąży na nim grzech pierworodny, ale pod wzrokiem Izy cofnął łapę od kieliszka jak od ognia. Pola spytała czułym szeptem, czy pozwolę.

— Kochanie — zaświergotałem w jej stylu. — Pozwalam ci na wszystko.

Zamrugęła powiekami, jak przed sceną miłosną w trzeciorzędnym filmie.

— Ja ci też pozwolę na wszystko — szepnęła takim seks-basem, że z najwyższym trudem obroniłem się przed atakiem śmiechu, choć równocześnie wpadłem w popłoch.

Odniosłem też wrażenie, iż mój sufler wewnętrzny tym razem tylko splunął.

— *Silence!* Cisza! — krzyknął Ptifurek i wznosił kieliszek. — Za tych, co na morzu...

— Hi, hi — parsknęła Dolly — ...i nie płacą alimentów.

Ludzi poznaje się również po sposobie picia.

Przyjrzałem się więc uważnie: Ptifurek chlusnął w gardło w stylu knajpy III kategorii, Dolly i Pola odgięły wytwornie paluszki, Paweł i Ewa upili swe porcje z dyskrecją, Waldek przełknął tylko ślinę.

— A co z tym twoim przepisem — spytał głosem nieco jeszcze żalonym. — Jak się nazywa ten nowy koktajl?

— Ringo Murderer — zaimprovizowałem — czyli Ringo Morderca.

— Ooo! — zawołały Dolly i Pola.

— Murderer? — zaśmiał się Ptifurek. — Skąd to nazwanie?

Waldek szybko wyjaśnił, że mój stary przywiózł taką receptę wprost z Rio i twierdzi, że bez pozwolenia na broń nikogo nie wolno częstować Mordercą.

— Wiecie, gdzie mam Mordercę? — zaśmiał się Ptifurek.

— Nie kończ, kochanie — rzekła Iza takim głosem, że wszystkim zrobiło się trochę zimno.

— Nie mogę ryzykować — oświadczyłem. — Stary poczęstował mnie tylko małym łyczkiem, a straciłem głos na pół godziny.

— Daj spokój, Ptifurek. To nie dla ciebie! — odezwał się Waldek tak pogardliwie, że strzał trafił w dziesiątkę.

— Nie dla mnie?! — krzyknęły orchidee z towarzyszeniem perłowych guzików i tom-bakowej bransolety. — Nie dla mnie?!

Ptifurek miał minę Kordiana na szczycie Mont Blanc w wykonaniu amatorskiego zespołu ze szkoły podstawowej.

— Stawiam! — zawołał. — Stawiam dwa koła przeciw dziurawej skarpetce, że twój Ringo nic mi nie zrobi.

— Dwa koła od czego? — spytałem.

— Dwa koła z NBP!

— A kto ma dziurawą skarpetkę? — odezwała się czułym głosem Pola.

— Może znajdę coś w domu — mruknąłem.

Zdecydowałem ostatecznie, że potworkowi imieniem Ptifurek należy się doraźny i dosadny wymiar kary. Byłem już ostatecznie przekonany, że obaj — i ja jako ja, i ja jako Marek — nie znosimy tego typka w sposób żywiołowy. W szczególności zaś ja jako ja!

Do mnie zatem należało wykonanie wyroku.

Chcę tu na marginesie wspomnieć, że Ptifurek nie budził we mnie złych instynktów,

jako jaskrawe uosobienie tzw. bananowca, snobiszczka czy tym podobnie. Przyznałem już, że nawet ów niebieski zamsz, różowy golf i perłowe guziki wyglądały ostatecznie całkiem nieźle. Zauważyłem również, że naprawdę dobrze tańczy. Nie mógłbym też stwierdzić z całą pewnością, że utracił resztki człowieczeństwa.

A mówiąc ogólnie nie należę do ludzi, którzy na sam widok „bananowca”, kwiecistej koszuli i przydługich włosów dostają nerwowej pokrzywki. Zbyt często zresztą — jak twierdzi na przykład Krystyna — „bananowiec” powstaje w określonej atmosferze rodzinnej. Staje się mniej lub bardziej karykaturalnym odbiciem snobizmu mamusi, pychy i forsy tatuścia, głupoty dorosłych oraz niedostatków własnego umysłu.

Znam też kilkoro młodych ludzi, którzy w miarę dojrzewania ulegli pięknej przemianie: z drugorzędnych bananowców w pierwszorzędnych fizyków, biologów itp. Wydawało mi się, że na przykład Dolly należy zaliczyć właśnie do kategorii osób o podobnych możliwościach, co sufler wewnętrzny potwierdził, ale bardzo cichym szeptem.

Ptifurek natomiast budził we mnie od pierwszej chwili najgorsze instynkty. Albowiem — niezależnie od niebieskiego zamszu, zielonych orchidei i tombakowej bransoletki — ziało od niego forsiastym chamstwem i zapatrzoną w siebie głupotą. Tatusz zrobił forszę na wyrobie biurowych spinaczy. A ten kretynek udaje księcia Walii i „nie lubi dziadostwa”! Czy był już stracony? Nie wiem. Nawet w poprawczakach nie ma straconych. Ale faktem jest, że Ptifurek sięgając swych szczytów sięgał dna. A zatem należy zastosować kurację wstrząsową.

Zacznijmy więc od Ringomurderera.

Ringomurderer? Nawet niezła nazwa. Coś z beatlesów, coś z westernów. W sam raz na Ptifurkowy rozumek. No tak, ale po wymyśleniu nazwy trzeba sporządzić równoważną do nazwy receptę koktajlu.

Do dyspozycji miałem już Burgundi, tokaj, żubrówkę i piwo. Zestaw — sam w sobie — obiecujący. Warto go jednak wzmocnić.

Z możliwie rzeczowym i surowym wyrazem twarzy spytałem Dolly, czy jej rodzice mają jakiś własny barek — bo potrzeba mi jeszcze... i tu zawiesiłem głos.

Dolly zarumieniła się, przytaknęła i poprosiła szeptem o wielką ostrożność, bo ojciec zaznacza poziom płynu na butelkach.

Barek zamknięty na trzy spusty znajdował się nad lodówką. Dolly otworzyła go jakimś dobranym kluczem. Zajrzałem do wnętrza. Nieźle, benedyktyńska, Martini, armeński koniak, gin i angostura.

— Wystarczy mi po naparstku — uspokoiłem dziewczynę i (w ramach zachowania recepturowej tajemnicy) wyprosiłem wszystkich z kuchni. Musiałem mieć chwilę czasu na zastanowienie.

Spojrzałem w przestrzeń — a na drodze mego wzroku znalazły się drzwi do łazienki. Mój wewnętrzny sufler zarechotał wraz ze mną.

Łazienka była pusta — na półeczce nad umywalką dojrzałem rumiankowy szampon, eliksir do zębów oraz buteleczkę spirytusu salicylowego. Przepis na Ringomurderera rysował się w mojej wyobraźni z coraz większą precyzją.

Przyrządziłem dwie porcje — jedną na użytek własny, drugą dla Ptifurka. Ta pierwsza miała stanowić dowód, że nie jestem trucicielem. Starłem się więc zachować podobieństwo koloru. Oparłem swoją porcję na burgundzie, dodałem po łyżeczce angostury i ginu oraz kilka kropel eliksiru do zębów.

Skosztowałem. „Rany Boskie! — pomyślałem z zachwytem — co za wspaniałe świństwo! A co dalej? Jak uda się rzeczywiście Ringo, dedykowany Ptifurkowi?”

Nie będę wdawał się w szczegóły kompozycji Murderera. Wystarczy, że wyliczę po kolei składniki „koktajlu”: burgund, piwo, spirytus salicylowy, likier benedyktyński, eliksir do zębów, gin, żubrówka oraz na okrasę łyżeczka szamponu rumiankowego firmy „Uroda”. Udało mi się zachować niemal identyczny kolor i zapach jak w mojej porcji, byle tylko nie

pomylić szklanek! Dodałem jeszcze po kostce lodu. Już po chwili wysokie szklanki lekko się oszroniły. Spojrzałem na swe dzieło nie bez pychy. A także z d u ż y m zaciekawieniem!

Wkroczyłem na salę taneczną, czyli do największego pokoju, ze szklankami w rękach, ze skromnym uśmiechem i czystym spojrzeniem.

Sprawa najwidoczniej została już rozreklamowana. Na mój widok ustały tańce. Ściszo-
no muzykę, a mnie i Ptifurka otoczył krąg widzów.

Wręczyłem Ptifurkowi jego porcję, z powagą rozejrzałem się dokoła. Była godzina
dwudziesta pierwsza dwanaście.

— Biorę wszystkich obecnych na świadków — rzekłem wśród przejmującej ciszy — że
kolega Ptifurek sam zażądał tej próby, mimo licznych ostrzeżeń z mej strony.

— Zgadza się — zabrzmiały głosy Izy, Waldka i Poli.

— Aby jednak kolega Ptifurek nie czuł się w owej próbie zbyt wyobcowany — ciągną-
łem dalej — postanowiłem sobie również narazić na działanie Ringomurderera. A teraz przy-
pominam — oświadczyłem — że Ptifurkowi przysługuje prawo do ostatniego słowa i osta-
tniego życzenia.

Ptifurek miał w oczach lekki niepokój.

— Lekceważę! — rzekł mimo to. — Nie stój jak na... cokole. Nie gadaj tyle, *take it
easy* * i dawaj tego głupiego drinka.

— Sam tego chciałeś... *tu l'avolu*, George Dandin! — szepnąłem.

— Że co? — spytał.

— To z Moliera — wyjaśniła łagodnie Iza.

Wzruszył ramionami.

— Nie znam człowieka.

— Uwaga! — wkroczył Waldek. — Zaczynam odliczanie: dziesięć, dziewięć, osiem,
siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... z e r o!

Starając się zahamować oddech i wyłączyć smak, pociągnąłem spory łyk.

Mimo że mój Murderer był stosunkowo łagodną ohydą, ja zaś przygotowałem się na to
niebezpieczeństwo, musiałem mimo wszystko lekko zblednąć. Odniosłem wrażenie, że mój
żołądek nabrał ptasich ambicji i zamyśla poderwać się do lotu.

Ptifurek, jak zauważyłem, wykazał coś w rodzaju sprytu. Za mało tego jednak było. Bo
choć odczekał, aż ja łyknę pierwszy, to w końcu łyknął. I to potężnie! W stylu, o którym już
wspomniałem: chlust w gardło, niczym setą w III kategorii.

— Do dna, dżentelmeni! — krzyknął przytomnie Waldek. — Do dna.

Starczyło mi odwagi. Pociągnąłem do dna. Żołądek przycichł, oczy jednak wyszły mi
na wierzch, a po kręgosłupie spłynęła kropla zimnego potu.

— Ptifurku! — stęknąłem. — *Take it easy!*

W moim głosie zabrzmiało przy tym wyraźnie współczucie. Mój sufler wewnętrzny za-
czął wprawdzie rechotać z okrucieństwem właściwym młodości — ja jednak byłem człowie-
kiem dostatecznie dojrzałym, by współczuć nawet takim osobnikom jak biedny Ptifurek.

On bowiem też łyknął do dna.

W pierwszej chwili nawet nie drgnął. Tyle że odstawił szklankę na bok — w powietrze.
Szczęściem Waldek wykazał piękny refleks i pochwyił ją tuż nad podłogą. Ptifurek jeszcze
przez całe pięć sekund trwał w milczeniu i bezruchu. Przypominał boksera, który choć został
już znokautowany, najpierw zamiera jak rzeźba, by dopiero po chwili runąć na ring i w cie-
mność.

Ptifurek nie runął. Jedynie lekko drgnął. Odbiło mu się. Na jego wargach rozkwitła
piękna mydlana bańka. „Aha — pomyślałem — szampon rumiankowy firmy «Uroda». Co
dalej?».

* *Take it easy* (ang.) — spokojnie!

Wśród obecnych podniósł się cichy szmer zachwytu.

— Dobry jest ten Ringo — mruknął Paweł.

— Estetyczny — rzekła Ewa.

— Ja też chcę — szepnęła Pola.

— To... — przemówił wreszcie Ptifurek.

Drgnął tym razem silniej. Na jego bielejącym czole wystąpiły krople potu, jak perły.

— Jakie „to”, Ptifurku? — spytała Dolly.

— To piękne? — podsunął Waldek.

Ptifurek nagle zatrzepotał rękami, jakby chciał zerwać się do lotu. Dostał brawo. Dostał również lewoskrętnego zeza. „Hm — zawahałem się — eliksir to czy salicyl?”

Uśmiechnąłem się łagodnie.

— Może jeszcze żubrówki, kochany? — spytałem.

Ptifurek dla odmiany począł czerwienieć. Jego dość wydatna grdyka zaczęła wesolutko podskakiwać nad węzłem znanego nam już krawata.

— Toa... — krzyknął Ptifurek sopranem wyraźnie dramatycznym.

— Toa? — zdziwiła się Dolly.

— On pewnie — rzekła Ewa do Pawła — chce wznieść jakiś toast.

— Prawdopodobnie — szepnęła Iza.

— No, stary! — zachęcał Waldek. — Wal ten toast!

Ręce Ptifurka znów uniosły się do lotu. Z jego twarzą zaś stało się coś zgoła zadziwiającego! jakby brodą kopnął się w nos. Lewoskrętny zez przeszedł w rozbieżny. Z okolic Ptifurkowego dołka, czyli splotu słonecznego, doszedł nas wyraźny bulgot.

Ów bulgot podnosił się coraz wyżej, coraz szybciej. Spojrzeliśmy z Waldkiem po sobie — była godzina dwudziesta pierwsza osiemnaście.

— Och! — krzyknęła Dolly.

Ptifurek ślepym gestem rozgarnął obecnych na boki. Postąpił krok naprzód. I oto nagle kolana ugięły się pod nim. Ja z Waldkiem przytomnie chwyciliśmy go pod ręce. Wtedy wspomniany przed chwilą bulgot rozładował się w głośnym, niezbyt wyraźnym, lecz jednoznacznym w swej treści jęku:

— To... a... Ile... ta! — jęknął Ptifurek.

Jakoś zdążyliśmy donieść go na miejsce, nim doszło do katastrofy.

Od strony magnetofonu doleciał nas głos Mahalii Jeckson śpiewającej kołysankę z „Porgy and Bess”. Było to nawet na czasie. Nie ukrywam — uległem na dłuższą chwilę wyrzutom sumienia. Waldek wrócił do ludzi turlając się ze śmiechu. Ja jednak pozostałem przy ofierze Ringa Mordercy, póki nie oprzytomniał i nie stanął jako tako na nogi.

— Żyjesz? — spytałem.

Kiwnął głową, ale bez większego przekonania. Zawlokłem go więc do łazienki, wsadziłem głowę pod tusz. Po pięciu minutach utracił zeza, odzyskał kolory, przestał się nawet jękać. W jego oczach zalśniło coś w rodzaju łez wdzięczności.

— To sardynki — wyszeptał z trudem. — Na kanapce była sardynka. Jestem uczulony na sardynki.

Zaproponowałem mu lekarstwo: setę żubrówki i butelkę piwa. W jego oczach zapłonął dzikim ogniem obłęd. Wyrwał mi się z rąk, wpadł do kuchni, zamknął się w spiżarni.

— Nie! — krzyczał. — Mamo! — wołał. — Już nie będę!

A chociaż mój sufler wewnętrzny ciągle jeszcze dygotał ze śmiechu, ja jako ja nadal odczuwałem pewien niesmak. Mimo wszystko przesadziłem. Należało chyba zrezygnować z eliksiru do zębów i salicylowego spirytusu. Szampon by wystarczył.

Zapukałem do drzwi spiżarni.

— Ptifurku!

— Co? Nie chcę!

— Czego nie chcesz?

— Żubrówki.

— Nie będę cię zmuszał.

— Słowo?

— Słowo.

Wyszedł w końcu.

Przyjrzałem mu się dokładnie, pokiwałem głową: co znaczy młodość! Chłoptaş był jeszcze bardzo wystraszony, ale siły fizyczne wróciły mu już niemal całkowicie. Kazałem przeczesać włosy, dokładnie wypłukać usta. Usłuchał z pokorą, ale obok resztek wdzięczności i strachu zacząłem dostrzegać w jego oczkach pierwsze iskry nienawiści.

— *Take it easy*, hrabio od spinaczy — rzekłem — i bądź odtąd bardzo grzeczny. Będiesz teraz tańczył z Dolly aż do końca stypy. Nie będziesz natomiast odzywać się bez pytania ani używać napojów alkoholowych. Są jeszcze jakieś wątpliwości?

— Nie ma — szepnął.

Muszę przyznać, że wszyscy uczestnicy s. n. cz. s. M. (czytaj: stypy na cześć starego Mazagrana) okazali dość ludzki stosunek do ofiary Ringomurderera. Nie pytano, ani gdzie bywał, ani jak się czuje. Nie wygłaszano żadnych komentarzy na powyższe tematy. Ptifurek natomiast okazał pełne posłuszeństwo: ominął szerokim łukiem stół z kieliszkami i poprosił Dolly do tańca. Dolly wprawdzie wyraźnie czekała na moje — czyli Markowe — zaproszenie, ja jednak udałem, że nie widzę. Mój żołądek po doświadczeniu z eliksirem do zębów uspokoił się już całkowicie. Musiałem jednak jakoś przegryźć i splukać niesmak w ustach. Po piątej kanapce poczułem się nieco lepiej, a po drugim kieliszku wina świat mi nieco pojaśniał, choć część górnych światel wygaszono, a Pola zaczęła się kleić do mego ramienia w sposób raczej przesadny. W zasadzie dziewczę było całkiem ładne i bardzo zgrabne. Ale po pierwsze, ja jako Marek postanowiłem do końca zachować wierność osobie z angina. A po drugie, biedną Polę cechowało coś, czego obaj — ja jako ja i ja jako Marek — nie znosiliśmy od wczesnego dzieciństwa.

Jak to określić? Można na przykład powiedzieć, że

Pola należała do tej kulturowej formacji, która nie doceniała i nie docenia roli łożenki w dziejach rozwoju ludzkiego gatunku. A więc: dużo lakieru na paznokciach, a brak śladów działania szczoteczki do paznokci, mocny zapach złej wody kolońskiej i całkowity brak zapachu dobrego mydła.

Kiedy zatem objęła mnie ramieniem, popadłem w lekką panikę, rozejrzałem się w poszukiwaniu pomocy.

Niestety! Dolly i Ptifurek zapamiętali się tańcu — podobnie jak Iza z Waldkiem. W sąsiednim nie oświetlonym pokoju ujrzałem na tle okna sylwetki Ewy i Pawła. Ich profile nachyliły się ku sobie, odwróciłem oczy.

Janka i Fryderyk siedzieli na ławie w przyciemnionym świetle hallu, Fryderyk obejmował jej wąskie ramiona czułym gestem. Mówił coś z powagą i namysłem. Na ustach Janki pojawiał się i znikał piękny błędny ognik dziewczęcego uśmiechu. Przyznam, że na ów widok — mnie jako mnie — aż coś złapało za gardło. Tak samo... niemal dokładnie tak samo uśmiechała się Krystyna, kiedy po raz pierwszy powiedziałem, co i jak o niej myślę. W pewnym momencie Janka położyła dłoń chłopca ruchem czułym niby wiersz. Pola coś szeptała nad moim uchem — nie słyszałem. Patrzyłem na owe splecione dłonie. Przypomniały mi się imięninny Marka, film „Romeo i Julia” i „biedny, głupi Janek”.

Nie miałem innego sposobu obrony przed Polą jak taniec.

Szła teraz najlepsza taśma: ostatnie (wspólne jeszcze) nagrania Beatlesów, najnowsze Zeppeliny i C. C. R-y. A już po kilku taktach okazało się, że Pola tańczy bez porównania lepiej niż Dolly. Od razu zapomniała o idiotycznych czułościach i głupawych podrywkach. Patrzyłem w zadziwieniu — oto niedomyta i śmieszna dziewczuszka stała się uosobieniem tane-

cznego żywiołu. Już po dwu, trzech minutach zrozumiałem, że jestem całkowicie zbyteczny, że Poli niepotrzebny jest partner.

Nawet nie zauważyła, kiedy przestałem tańczyć i z partnera przemieniłem się w widza. „Słowo honoru — pomyślałem ja jako ja — to jest chyba prawdziwy, rzeczywisty talent”.

Pola miała to poczucie rytmu i kroku, jaki potrafią w sobie odnaleźć tylko Murzyni. Więcej: miała niezwykłą, cygańską jakby, lekkość gestu. Wierzcie mi, patrzyłem na nią z coraz szerszym zachwytem. A ważne było i to, że ona naprawdę zapomniała o partnerze, że nie tańczyła dla popisu. Oczywiście nie miała pojęcia o żadnej klasycznej, baletowej technice. Tańczyła sobą i dla siebie. A właściwie tańczył jej talent.

I stało się tak, że w pewnej chwili została na parkiecie sama. Iza, Dolly, Waldek, ja, Ewa z Pawłem przemieniliśmy się w widownię. Nawet w oczach Ptifurka ukazało się coś w rodzaju oczarowania. Nie próbowaliśmy nawet klaskać do rytmu, żeby nie zmać tej czystości, by nie obudzić dziewczyny z tanecznego zapamiętania.

Wreszcie taśma skończyła swój bieg. Nastąpiła cisza zmacona suchym szelestem wirującego krążka. Pola oprzytomniała, my zaczęliśmy krzyczeć i bić wielkie brawo.

I wtedy stało się coś, czego absolutnie nie przewidziałem — Pola zasłoniła twarz rękami i wybuchnęła płaczem! Takim właśnie płaczem budzą się czasami z trudnej roli wielkie aktorki, tancerki, wielkie talenty. Wtedy podszedłem do dziewczyny, objąłem ją ramieniem, wyprowadziłem do ciemnego pokoju, podprowadziłem do okna, za którym tańczył śnieg. Ona zaś nadal nie dbała o mnie. Tak — to była całkiem nowa Pola. Oparła czoło o zimną szybę. Przestała płakać, ale jej oddech co chwila załamywał się w głębokim westchnieniu, jak bywa u splakanych, choć pocieszonych już dzieciaków.

— Słuchaj, dziewczyno — powiedziałem ja jako ja — czy ty wiesz, że siedzi w tobie prawdziwy talent?

Wzruszyła ramionami.

— E — szepnęła. — Jaki talent? Lubię i już.

— A ile masz lat?

Milczenie.

— No?

— Nie wygłupiaj się, Marek. Niby nie wiesz?

Ja właściwie zapomniałem, że dla niej, jak dla wszystkich, nadal jestem Markiem. „Nie można zmarnować dziewczyny — myślałem. — Nie jest to problem błahy. Oczywiście sprawa o wiele prostsza niż ciężkie życie Ambrozego. Ale przecież i o niej, o Poli, nie wolno mi będzie zapomnieć, kiedy wrócę wreszcie w swą starą skórę”. Waldek mruknął coś na początku s. n. cz. s. M., że podrywanie i sprowadzanie takich dzieci jak Pola jest ze strony Ptifurka kolejną obciążającą okolicznością. Chciałem więc rozwikłać sprawę — temat jej wieku. Wiadomo bowiem, że szesnasty rok życia to na szkołę baletową, na początek studiów, jest już właściwie późno. Ale w tym, co powiedział Waldek, kryła się jakaś szansa. Powtórzyłem pytanie, dość ostro i własnym głosem:

— Wiem, nie wiem, nieważne. Pytam: ile masz lat?

— Ja...

— Jazda! Mów prawdę.

— Czternaście.

— Czternaście czy czternasty? — spytałem jeszcze ostrzej.

— Czternasty — szepnęła.

— To znaczy?

— Trzy... trzynaście... i...

— I?

— I dwa miesiące.

Po tej odpowiedzi aż roześmiałem się z radości. To już jest szansa! Przy t a k i m

talencie. A przecież nie mylę się. Nie mogę się mylić! — dziewczyna może wejść na początek wielkiej drogi. Wprawdzie jestem specjalistą od genetyki roślin, ale lubię taniec i jako sztukę tane-czną. A nawet trochę się na tym znam.

— Słuchaj, mała... — powiedziałem. — Ja... to znaczy mój stary... zna kogoś, kto powinien zobaczyć, jak tańczysz.

— Kogo?

Nie wymieniłem nazwiska. Myślałem o pierwszorzędnym pedagogu i choreografie, do którego miałem dojście przez brata Krystyny. Ale albo dziewczuszka nie zna nazwiska i nic jej ono nie powie, jeśli zaś zna, tym bardziej nie należy jej straszyć.

— Nieważne — mruknąłem. — Powiedz, chciałabyś spróbować nauczyć się p r a w d z i w e g o tańca?

— Bo ja wiem? — i po chwili, z westchnieniem: — Ale i tak...

— Co „i tak”...

— Mama nie pozwoli.

— Zobaczymy — mruknąłem bardziej do siebie niż do niej.

— Hej! — odezwał się za nami głos Izy. — O czym to państwo dyskutują?

Iza była wyraźnie zła. Zaświeciła światło. A ja znowu wzruszyłem się jak sentymentalny staruszek: Izy zmyły z twarzy Poli puder i szminkę. Została dziecinną twarzą ze śmieszonym, spuchniętym z płaczu nosem. Teraz wyglądała właśnie na swoje prawdziwe trzynaście lat i dwa miesiące.

Zaliczyłem hrabiczowi od spinaczy kolejny minus za ściąganie w prywatkowe zasadzki zbyt młodych, w porównaniu z resztą, roczników.

— No? — spytała Iza już całkiem groźnie.

— Tak sobie gadaliśmy — powiedziałem z pokorą. — Trochę o fetyszach i wzorach kultury, trochę o wpływie Niżyńskiego na Strawińskiego, trochę o kwartetach Webera... z opusu piątego.

— Marek — powiedziała Iza. — Nie bądź bezczelny.

— Nie będę.

— Młodzież poniżej lat osiemnastu — ciągnęła Iza — nie powinna znikać w ciemnych pokojach. Nie powinna również przebywać na ulicach po godzinie dwudziestej pierwszej. A jest obecnie dwudziesta druga czterdzieści. Jasne?

Większość była już w płaszczach. Ptfurek próbował zostać jeszcze na chwilę u Dolly „w jakiejś ważnej sprawie”, ale sama Dolly jego pierwszego wypchnęła za drzwi. Ze mną pożegnała się raczej lodowato.

Na dworze wiatr ustał. Śnieg padał z ciemnej głębi nocy wielkimi, bezszelestnymi płatami. Wokół latarni migotały tężowe otoczki.

Rozeszliśmy się w różne strony już na pierwszym skrzyżowaniu. Paweł odprowadzał Ewę, Waldek Izę, Ptfurek samotnie potoczył się w śnieżną ciszę, Pola mieszkała niemal naprzeciw Dolly.

Tak to zostaliśmy we trójkę — Fryderyk, Janka i ja. Nie chciałem im przeszkadzać. Okazało się jednak, że i tak wypada nam wspólna droga, Janka zaś mieszka tuż za drugą przecznicą. Mieli sobie jeszcze coś do powiedzenia.

Trwało to tyle, ile trzy pocałunki.

Potem weszliśmy z Fryderykiem w białą perspektywę Alej. Spytał, czy może mnie kawałek podprowadzić.

— Oczywiście, stary. O co chodzi?

Trwało to jednak dłuższą chwilę, nim się odezwał. Przeszliśmy jeszcze kilkadziesiąt kroków w milczeniu. Czekałem cierpliwie.

— Poradź mi... — zaczął.

— Tak?

— Słyszałeś, co ten kretyn powiedział o Jance?

— Słyszałem — i z pełną odpowiedzialnością czterdziestokilkuletniego mężczyzny rzekłem: — Za następnym razem należy załadować mu głupi pysk na taczki i spuścić całość ze schodów.

— W budzie więcej jest takich „arystokratów”. Sam wiesz.

— Nie wiedziałem.

Postanowiłem jednak, że do tej sprawy muszę ustawić Marka. Cóż to za ćwierćinteligentki snobizm u tych „księżniczek” i „milionerków” naszych czasów! Miało to szczęście — jedno z drugim — urodzić się w co zamożniejszych domach, pod opieką lepiej zarabiających rodziców. Nic z własnej zasługi — nic z własnej ręki. Mniejsza o takiego króla spinaczy jak ojciec Ptifurka. Bywa gorzej. Bo głupota jest zaraźliwa. Przecież Dolly jest córką mądrego człowieka i uroczej, kulturalnej kobiety. A mimo to ona też przybiera pozę księżniczek z powieści Heleny Mniszek. Czy to tylko głupota wieku pokwitania, czy też gorszy rodzaj zarazy? Ostatecznie hasło „śmierć frajerom” krąży jeszcze dość szeroko także wśród nas.

Fryderyk szarpnął mnie nagle za rękę.

— Marek! Ty w ogóle nie słuchasz, co gadam.

Nie wiedziałem, jak przeproszać. Bąknąłem coś, próbowałem pokrótce wytłumaczyć, o czym myślałem. Ale po kilku zdaniach urwałem, a Frycek spojrzął na mnie z niejakim zdziwieniem. W czym rzecz? Po prostu zacząłem mówić własnym dorosłym wielce stylem i głosem, powtarzać argumenty dostępne raczej dzieciom niż nastolatkom. Omal że nie zgubiłem w sobie siebie jako Marka.

— Nie gniewaj się, stary! — powtórzyłem raz jeszcze. — Snuj dalej. Ja słucham.

Chwila milczenia.

— Słuchasz — westchnął Fryderyk — to radź. Ojciec dla świętego spokoju mówi, że nic go to wszystko nie obchodzi. Ale mama już dawno zapomniała, że jej własny tatuś był zwykłym zdunem z Myczkowiec. Mama jest panią doktorową. Codziennie przesiaduje w „Literackiej” z hrabiną Plater i profesorową Wojtakajtis. W związku z tym nie życzy sobie, żeby jej ukochany jednak chodził na randki i przyjaźnił się z córką małego rolnego sołtysa z Czarnej Białki. A ja z Janką będę chodził, choćby mi nawet nogi obcięto. Sam wiesz, jak to jest. Więc radź, człowieku, co robić? Iść na udry czy kłamać?

Poczułem w sobie błysk natchnienia.

— Drogi Fryderyku — rzekłem. — Powiedz przy okazji mamusi, że którejś niedzieli wpadniesz do „Literackiej”, przysiądziesz się do jej stolika i zaczniesz rodową opowieść o dziadziu i o innych myczkowieckich zdunach. Oczywiście, w obecności hrabiny Plater i profesorowej Wojtakajtis. Zaczniesz na przykład tak: mój dziadziu, wspaniały facet, słynny zdun z Myczkowiec...

— Cha, cha, cha, cha — rozrechotał się na całego. — Mój... cha, cha... dziadziu... hi, hi... słynny... ho, ho, ho... zdun z My-my-czkowiec...

— A wiesz — dodał po chwili — dziadek jest rzeczywiście pierwszorzędnym facetem! Duża klasa!

Pożegnaliśmy się na rogu Alej i Łobzowskiej i długo jeszcze słyszałem goniące mnie echo Fryderykowego śmiechu. „A moja już sprawa — powtarzałem sobie — napuścić Marka na ową »arystokrację i śmietankę« od siedmiu boleści. Jeśli chłopak przyjaźni się z Ambrożyem i Waldkiem, a nie z koszmarkiem-Ptifurkiem, pójdzie na tę imprezę. Trzeba tylko opracować podstawowy plan strategiczny, obmyślić środki propagandowe”.

— Mareczku — rzekłem zacierając ręce. — Popędzimy im kota od Tatr do Bałtyku.

Dobrnąłem wreszcie do domu i stanąłem przed bramą niczym Dante przed wrotami piekła. Wystarczyło mi inteligencji, żeby nie zapomnieć kluczy od mieszkania. Na to jednak, by wziąć też klucz od bramy wejściowej, rozumu już zabrakło.

— Ty żałosny idioto! — rzekłem do siebie jako do siebie.

Sytuacja rzeczywiście była żałosna oraz idiotyczna.

Pani Antonina, gospodyni naszej kamienicy, słynęła na całą dzielnicę z mocy i głębi snu. Kto wracając późną porą stwierdzał brak klucza do bramy, mógł dzwonić a dzwonić. Przeciętnie trwał taki koncert od osiemdziesięciu do stu minut. A ja byłem zmęczony i senny, bardzo senny i zmęczony.

Cóż jednak robić?

Zadzwońłem po raz pierwszy, jeszcze delikatnie. Potem grzecznie odczekałem trzy minuty.

Zadzwońłem po raz drugi — już ostrzej. I oto naciskając przycisk dzwonka nie zdążyłem jeszcze doliczyć do dwudziestu, kiedy w głębi klatki schodowej pojawiło się jakieś światło. Zadrżałem z radości. Obiecałem sobie, że nie pożałuję pani Antoninie grosza za wieczorną fatygę. Wprawdzie trochę dziwne było owo światło — ni to czerwień łuczywa, ni to złoty poblask oliwnego kaganka; widocznie jednak znowu nawaliło światło na klatce schodowej, co nie należało do zdarzeń wyjątkowych.

Światło zbliżyło się do grubych, zamrożonych szyb wejściowej bramy. Dźwięk kluczy obracanych w zamku zabrzmiał w mych uszach radośniej niż „Gloria” Monteverdiego.

Już chciałem zawołać: „Stokrotne dzięki, złociutka pani Antonino!”, ale nie zawołałem.

Oto skrzydło bramy uchyliło się i w blasku średniowiecznej smolnej pochodni, zamiast wysokiej i wychudłej postaci pani Antoniny, ujrzałem niskiego garbatego karła w czarnym aksamitnym stroju hiszpańskim, z białą kryzą pod szyją i rubinową Wielką Gwiazdą na przednim garbie. Zajrzeliśmy sobie w oczy.

Tak — nie omyliłem się. Jedno z nich, „ze złotą iskrą na dnie, prześwidrowywało mnie na wylot, drugie było czarne i puste jak ucho igielne, jak bezdenna studnia pełna ciemności i cieni”.

— *Buenas noches, senhor professore* — usłyszałem jego głos. — Dobry wieczór, panie profesorze

Udało mi się uśmiechnąć. Wcisnąłem w szponiastą łapę dziesiątkę z Kopernikiem.

— Serdecznie dziękuję, p a n i A n t o n i n o! — zawołałem wesoło i nie oglądając się ruszyłem po schodach, sposobem Marka, co drugi stopień.

Usłyszałem jeszcze:

— Przyjemnych snów.

Najzabawniejsze jest to, że nic — absolutnie nic — mi się tej nocy nie śniło.

4

Spałem rzeczywiście bez snów, obudziłem się wcześnie. Za oknem dopiero szarzało, ale była to szarość srebrzysta i czysta. Dolne kwatery szyb zarosły paprotkami szronu. Dzień zapowiadał się mroźny. Kiedy do porannej rozgrzewki otwarłem okna, wionęło ze świata powietrzem ostrym jak lodowe igły.

Popracowałem nad zrzućeniem wagi mocniej niż kiedykolwiek. Zaciekawiał mnie przy tym mały problem fizjologiczny: czyje mięśnie poczują jutro dzisiejszą zaprawę — moje czy Marka? Miałem cichą nadzieję, że jednak jego.

Po gimnastyce pięć minut kąpieli: tusz ciepły i letni, gorący i zimny, w końcu wrzący i lodowaty. Zacząłem aż śpiewać — jakże piękne jest życie! Potem nagle urwałem wesołą melodię w pół taktu. Nic dziwnego: przecież za kilka czy kilkanaście godzin znów wrócę w swoją starą skórę. I chyba nigdy już nie zaznam tej młodzieńczej radości, jaką człowiekowi

daje poczucie biologicznej sprawności ciała i wczesnej pory życia.

W sekundę później nim zdążyłem wytrzeć skórę do sucha — moja wapniacka melancholia zmieniła się w najzwyklejszą złość. Otóż przy drzwiach zajazgotał dzwonek. Raz, drugi. Ledwo zdążyłem coś narzucić, gdy zaczął świdrować uszy po raz trzeci.

Kiedy otworzyłem drzwi, ujrzałem przed progiem roznosiciela telegramów. A dużo mnie kosztowało, by nie huknąć faceta hakiem prosto w zarośniętą szczękę.

Roznosiciel telegramów! Poznałem owo piekielskie indywiduum od razu. Odziany był niby zwyczajnie. Jak wyglądał? Starszy, chudy, nie dogolony facet z czerwonym nochalem. Ale i pod tym przebraniem nie udało mu się ukryć ani łajdackiego uśmiechu, ani owych oczu, które rozpoznałbym na samym dnie Wielkiego Atlantyckiego Rowu, a które z tak poetycką pięknością opisał Bułhakow w swojej opowieści o „Mistrzu i Małgorzacie”.

— Telegram do pana profesora — usłyszałem ochrypły sznapsbaryton. — Moje uszanowanko! Proszę uprzejmie podpisać, *Herr Professor*. O tutaj! Służę ołoweczkiem. Jak zdrowie pana profesora?

— Dziękuję, w porządku — rzekłem podpisując receptis i z jawnym obrzydzeniem odsunąłem się nieco wstecz. — Ale co z panem, ekscelencjo? — pytałem. — Cóż to tak od pana jedzie z samego ranka? Czyżby ekscelencja przerzucił się na denaturat? Jagodówkę popija się do śniadania, Mister Di?

Zarosłe policzki ekscelencji zalał nagły rumieniec koloru ognia piekielnego. Nos sfiolotował, wysunął się ku brodzie, w grdyce zagrało jak w felearnym hydroforze.

— Gratuluję — oświadczyłem z uprzejmym uśmiechem. — A czy nie ma tam u was izby... a raczej kotła wytrzeźwień?

Z nagłej furii brwi ekscelencji zaczęły żarzyć się żywym ogniem, z kłapciatych uszu buchnęły dwa siwe kłębki dymu. Na mnie jednak te sztuczki przestały już działać.

— Wybacz pan — rzekłem. — Nie mam czasu na rozmowy z pijakami. Radzę pomyśleć o kuracji odwykowej. Żegnam.

Zatrzasnąłem mu drzwi przed nosem, aż wokół framugi zaszeleściła strużka tynku. Rozerwałem blankiet telegraficzny. Zacząłem czytać i miód spłynął mi na serce:

Wracamy siódmego ostatnim pośpiesznym stop całujemy cieszymy się i radujemy stop Krystyna i Marek.

Mieszkanie nagle pojaśniało złotoróżowym blaskiem — słońce weszło w okno mego pokoju.

— A więc nareszcie w r a c a j ą! Tak dawno się nie widzieliśmy — szepnąłem.

Nagle na klatce schodowej rozległ się wrzask zarznanego pawia. W tym wrzasku brzmiał strach nieludzki, ale nie był to strach ptasi. Rozpoznałem głos. Musiała tak chyba rozedrzeć się pani Antonina. Cóż jednak mogło doprowadzić ową raczej zimnokrwistą i milczącą osobę do przeraźliwego wrzasku? Czyżby zapijaczone diablisko pozwoliło sobie na jakiś publiczny skandal w naszej kamienicy?

Rzuciłem się ku drzwiom, wybiegłem na schody.

Tak — była to pani Antonina. Swoim codziennym porannym zwyczajem zamiatała stopnie i podesty klatki schodowej. Siedziała właśnie na podeście niższego półpiętra cisnąc miotłę do chudej, staropanieńskiej piersi. Oczy wylazły jej z orbit, gardło obrzmiało, wargi zbiełały.

— Och! — wrzeszczała. — O n e g o widziałam! Jezusiemaryjozmiłujsię nad nami! Diabeł! Ludzie, diabeł! Ludzieeee!

Ludzie nadbiegali już ze wszystkich stron. Na wszelki wypadek cofnąłem się za plecy kobiet w szlafrokach, mężczyzn w byle czym. Poniektórzy mieli mydło na brodach i żyletki w rękach. Lokatorka z trzeciego niosła się z czajnikiem, jej sąsiadka wlokła za sobą odkurzacz. A pani Antonina nadal wrzeszczała głosem coraz bardziej zamierającym — że z góry zszedł

diabeł, diabeł o ślipiach jak studnia i mrok, z dymiącymi uszami, z czarnymi guzami w czarnych kudłach i białym kopytem w czarnych lakierkach.

— Ludzie — chrypiała pani Antonina. — Widziałam! Widziałam Onego, jak was widzę! Miał czerwony frak, brylantowy order na garbie, glansowane rękawice, srebrne sztylpy... Jezusiemaria... do lakierków! I śmiał się, i szedł w dół, i śmierzdział siarką! Siarką i lawendą, ludzie!

Ktoś wołał o lekarza, niektóre kobiety żegnały się krzyżem, dziennikarka z piątego przytuptała z magnetofonem i już zaczęła nagrywać. Lokatorka od czajnika pobiegła dzwonić po pogotowie.

Biedna pani Antonina! W pierwszej chwili chciałem wejść w akcję, tłumaczyć: „Pani Antonino, diabła nie ma, do diabła z takim diabłem itd, itd.” Ale od razu przypomniałem sobie, że ciągle jestem tylko Markiem, młodym człowiekiem, dość nawet uprzejmie traktowanym w kamienicy, bez żadnego jednak autorytetu. Co gorsza wiadomo, że nasza rodzina to dla niektórych tylko „ateiści i poganie”. Moja próba uspokojenia pani Antoniny i przekonywania, że diabła nie ma, mogłaby się skończyć nie najlepiej. Niektórzy uznaliby ją, być może, za szczególnie chytne diabelskie poduszczenie.

Tak więc Mister Di raz jeszcze okazał miłe cechy swego charakteru. Zorientował się, że mnie dokuczyć już nie potrafi, co wyczułem wyraźnie podczas naszej pogawędki nad telegramem. Przyszedł, żeby raz jeszcze dać znać o sobie. Błysnąc studziennym okiem i trochę przynajmniej postraszyć. Nie udało się — ani wczoraj w nocy, ani dziś rano.

Zrozumiał najwidoczniej, że źle trafił. Że zamiast ujrzeć ofiarę cyrkowych sztuczek, spotkał uczestnika całkiem ciekawego doświadczenia pod tytułem „Jak czuje się dziesięć lat w nastoletniej skórze”. Co gorsza, dodałem mu jeszcze trochę żółci pytaniami na temat jagódki oraz kotła wytrzeźwień.

I oto zaraz potem Mister Di trafił na spokojną, pobożną i w i e r z ą c ą osobę — na biedną panią Antoninę. Trudno się nawet dziwić, że nie mogąc uderzyć we mnie, dziabnął człowieka bezbronnego, zemścił się na duszy niewinnej. Ostatecznie taka jego natura i diabelskie nasilenie złej woli. A swoją drogą niezłe musiał wyglądać na schodach naszej kamienicy w czerwonym fraku i srebrnych sztylpach, z Wielką Gwiazdą na garbie i w lakierkach na białym kopycie.

Żał mi było pani Antoniny. Wiedziałem, co dalej: karetka pogotowia, skierowanie do kliniki psychiatrycznej. Byłem pewien, że krzywdy jej tam nie zrobią. Wątpiłem jednak, by na przykład doktor Bobek zdołał ją przekonać, że diabła nie ma i że nie mogła go widzieć. Panią Antoninę cechował bowiem nie tylko twardy sen, ale nie mniej twardy upór. Miałem nadzieję, że uspokoi się szybko. Może nawet dla świętego spokoju przyzna, że wcale nie widziała czerwonego fraka i srebrnych sztylp. Ślad jednak pozostanie. A ploty?

Pół dzielnicy zbiegnie się oglądać sataniczną klatkę schodową — dziennikarka z piątego będzie miała materiał do niezłej audycji. Zapewne też wzmoże się ruch przy konfesjonatach okolicznych kościołów, sklepach monopolowych i budkach z piwem. Albowiem każdy walczy z metafizycznym strachem, jak umie.

Ale choć szczerze mi było żal pani Antoniny, przyznam, że nieco się też uśmieiałem z przedstawienia; które urządził Mister Di. Stary zgrywas! Ostatecznie w końcu jemu też należy się nieco współczucia — po kilku tysiącach lat wielkiej kariery (od Apokalipsy do Goethego i Bułhakowa) urządza głupie zabawy ze mną i idiotyczne przedstawienia przed panią Antoniną. Nic dziwnego, że starowina zaczyna popadać w alkoholizm.

Powyższym rozmyślaniom oddawałem się przy goleniu i znowu przesadziłem. Znowu zapomniałem, że to nie zarost. Wydrapałem zbyt mocno podbródek — zaciąłem się nawet.

Posłyszałem bowiem jęśliwe zawrodożenie zajeżdżającej pod dom karetki pogotowia. Tyle lat minęło, a przecież ciągle wibrujący głos syren niepokoi i męczy. Marek oczywiście nie rozumie — n a s z c z ę ś c i e nie rozumie — w czym rzecz. Ale my z Krystyną nie

zapomnieliśmy, że taka właśnie muzyka zapowiadała dudniący pogłos nadlatujących bombowców, wizgot i wybuchy, drzenie ziemi, trzask murów, krew, ogień, śmierć. Albowiem gdziekolwiek mogło rodzić się piekło p r a w d z i w e, to tylko na ziemi. I tylko za ludzką sprawą.

Odetchnąłem więc nie bez ulgi, kiedy w szumie ulicy umilkł wreszcie głos zawodzącej syreny.

Zgubiłem się trochę w czasie. Zapomniałem nakręcić zegarek. Zegarynka poinformowała mnie, że jest „dziewiąta... esiąt jeden... wiąta p-dziesiąt jeden”. Nastawiłem więc zegarek na dziewiątą pięćdziesiąt pięć. Potem wdziałem Markowy golf i wbiłem się w ulubione połatane dzinsy. Trochę mnie zastanowiło, że tym razem wlażem w nie z trudem. Aby dopiąć najważniejszy guzik, musiałem mocno wciągnąć oddech. Co to właściwie znaczy?

Zajrzałem raz jeszcze do telegramu. Zadzwoiłem do informacji PKS, by dowiedzieć się, kiedy przyjeżdża ostatni pośpieszny autobus z Zakopanego. Za pierwszym razem odezwała się gazownia miejska. Ale już za drugim razem uprzejmy kobiecy baryton poinformował mnie, że ostatni pośpieszny przybywa o dwudziestej pierwszej trzydzieści. Podziękowałem głosem tak czułym, że w słuchawce nastąpiło na moment zdumione milczenie. Wiadomo — nic tak nie dziwi polskiego człowieka pracy, jak uśmiech, uprzejmość i słowa „dziękuję, proszę, przepraszam”.

— Jeszcze raz uprzejmie dziękuję — powtórzyłem.

— U... uprzejmie p... proszę — odrzekła niepewnie informacja PKS i ostrożnie odłożyła słuchawkę.

Ja zrobiłem to samo. Ale nie zdążyłem cofnąć ręki od aparatu, gdy odezwał się jego dzwonek. Tym razem przemówił dźwiękiem nadzwyczaj łagodnym, wdzięcznym nawet.

— Słucham.

— To ty, Marek?

Odetchnąłem głęboko. Usłyszałem głos Eli Jaroń.

— Tak — powiedziałem. — Dzień dobry. Jak się czujesz?

— Już dobrze.

— Bardzo dobrze, że dobrze — zacząłem się płatać. — To znaczy, bardzo się cieszę, że... w ogóle...

A ona zaczęła się śmiać. Miała z czego: język najwyraźniej mi kołowaciał, w głowie rodził się popłoch, zawodziły sprzężenia zwrotne i bieg informacji przez szare komórki. Po brzmieniu dziewczęcego głosu wyczułem od razu, że za chwilę może dojść do poważnej i ważnej rozmowy. Że mogę usłyszeć słowa i zdania do których nikt nie ma prawa poza Markiem, tym prawdziwym Markiem!

Głos był nieco przyciszony, a zarazem bardzo bliski, ciepły, czysty. Co robić, co mówić?! Przecież nie mogę podsłuchiwać ich tajemnic! Nawet ja nie mam do nich prawa. I nie ma go nikt poza ową parą młodych ludzi: Elą i Markiem. Cóż z tego, że jedno z nich należy do najbliższych mi na świecie osób, że to mój syn?

Były, są i będą między Krystyną i mną słowa i zdania, które stanowią naszą wyłączną własność. I każdy człowiek rozumny musi umieć uszanować owo wielkie prawo do tajemnic dwojga ludzi. Niezależnie od tego, czy są to ludzie dojrzały i w pełni świadomi uczuć, czy mówi przez nich najwcześniejsza, niepewna jeszcze siebie młodość. Więcej: szczególnie owym wczesnym, młodym niepokojom, pragnieniom i tajemnicom należy się szacunek. Taki głęboki szacunek i dyskrecja, jak. wrażliwa i nadwrażliwa bywa psychika młodości.

— Ela... — szepnąłem.

— Tak?

Co jej powiedzieć? Co powiedzieć, żeby nie pobłądzić, nie urazić jej dobrej woli i tym samym nie skrzywdzić Marka? Było oczywiste, że coś popsło się między nimi i że Ela teraz, dziś, w tej właśnie godzinie pragnie naprawić jakiś ich błąd, przekreślić nieporozumienie,

wrócić.

— Marek!

Jej głos brzmiał już trochę niespokojnie, bo milczałem zbyt długo.

— Ela — powiedziałem wreszcie — Mam prośbę. O g r o m n ą prośbę.

Teraz ona zamilkła. Otarłem pot z czoła. Czułem się chyba nie inaczej niż Ptifurek po pierwszym łyku Ringomurderera. Na szczęście nie zawiodłem się na Eli. Jej głos znów zabrzmiał ciepło i z bliska.

— Mów, kochanie.

Powiedziała „kochanie”!

Mój wewnętrzny sufler westchnął ze szczęścia na miarę tuwimowskiej lokomotywy. A ja uspokoiłem się wreszcie. Udało mi się przecież opanować sytuację, oddech, panikę szarych komórek i ojcowskie sumienie.

— M u s i m y porozmawiać, prawda? — spytałem starając się, by brzmiało to tak czule, jak brzmieć powinno.

— Prawda.

— Ale ja... ja proszę...

— No, mówże głuptasie!

— Musimy porozmawiać — ciągnąłem, zaś mój wewnętrzny sufler po owym „głuptasie” jeszcze mocniej głupiał ze szczęścia. — Ale... ale... tłumaczyłem z trudem — powinniśmy chyba porozmawiać... ale n i e p r z e z t e l e f o n.

Chwila milczenia.

— Tak — usłyszałem po chwili. — To prawda.

— A więc?

— Jeśli nie boisz się resztek anginy...

— Nie boję się resztek anginy!

— Bohater! — zaśmiała się prześlicznie. — Głupi kochany bohater.

— Dlaczego głupi?

— A... — spytała z nieodparcie kobiecym sprytem — ...a dlaczego kochany?

I oto mój sufler wewnętrzny ocknął się nagle. Ani się nie spostrzegłem, kiedy sam jej odpowiedział na to pytanie.

— Ochżesz ty! — zakrzyknął. — Najwspanialsza żmijo świata!

Tu omal nie zakrztusiłem się ze śmiechu. Był to bowiem najzwyczajniejszy plagiat! Jawny i bezczelny plagiat! Po prostu: w chwilach, w których ja osobiście przegrywałem jakąś dyskusję z moją Krystyną, z jej kobiecą mądrością i rozumieniem ludzi czy zdarzeń, dawałem znać, że się poddaję, takimi właśnie słowami: „ochżesz ty, najwspanialsza żmijo świata!”

Krystynie „żmija” całkiem się podobała. Z reguły odpowiadała tylko śmiechem — cichym, wesolutko zwycięskim. Takim samym, jakim teraz mnie (mnie jako Markowi) odpowiedział całkiem ktoś inny. Czyli: panna Ela Jaroń.

— Mareczku — usłyszałem poprzez ów śmiech — wybaczam obelgę jako osoba wielkoduszna. Bądź łaskaw wpaść jutro do mnie około południa. Wyprowadzisz rekonwalescentkę na spacer? W t e d y porozmawiamy. Zgoda?

— Zgoda!

— Cieszę się.

— Ja bardziej.

— No to do jutra... — szepnęła — i...

Nie dosłyszałem ostatniego słowa, bo u drzwi wejściowych odezwał się kolejny dzwonek. Nie był zbyt nachalny. Ale swoje zrobił: nie dosłyszałem, co nastąpiło po owym „i...”

Odniosłem wrażenie, że było to „całuję”. Ale czy na pewno?

Dzwonek odezwał się znowu. Tym razem ostrzej.

— Powtórz, Ela — prosiłem.

- Ktoś do ciebie dzwoni?
- Dzwoni... psia jego...
- Cicho! — i po chwili — ...powtórzę. Ale dopiero jutro. Cześć!
- Ela! Czekaj! — krzyknąłem.

Odpowiedział już tylko bełkotliwy sygnał „zajęty”, a dzwonek przy drzwiach rozdarł się na całego.

Pobiegłem do drzwi jak do bójk.

W progu stał Ambroży.

- Co jest? — pytał. — Hrabia nie łaskaw otworzyć prostemu człowiekowi?
- A słyszałeś, jak waż... — chciałem odpowiedzieć dość znaną formułą.
- Nie wyrażać się! — przerwał mi w pół słowa Ambroży. — Jestem w nastroju świątecznym. Poza tym mamy silny mróz. Świństwa ulegają zamrożeniu i utrzymują się w powietrzu, co jest szkodliwe zarówno dla zdrowia, jak i dla moralności publicznej. Ostrzegam pana.
- A ja pana rozmnażam! — odpowiedziałem sucho.
- Ambroży o mało się nie zasmarował.
- Gdzie to kupiłeś? Co to jest?
- Proszę o spokój — wyjaśniłem. — Przytoczyłem jedynie cytaty z Gałczyńskiego, K.I.
- Bardzo cytatliwy cytat!
- Prawdziwa poezja — przyznałem.

Przeszliśmy do mojego pokoju. Pokiwałem smutno głową. Ambroży zapomniał wytrzeć w przedpokoju buty i zostawił na podłodze dość wyraziste ślady. Obaj udaliśmy, że ich nie dostrzegamy. Być może, on rzeczywiście ich nie zauważył.

Rozsiadł się w moim ulubionym fotelu, sięgnął po sporty. To jednak już mi się nie spodobało. Krystyna od razu poczuje smród dymu. Potem wszystko pójdzie na mnie!

— Kolega wybaczy — powiedziałem z groźbą w głosie — ale uprasza się nie palić w tym lokalu.

Ambroży zamiast się obruszyć, odpowiedział uśmiechem. Był to — jak to u Ambrożego — uśmiech powściągliwy, ale szczerzły.

- Stary — powiedział. — Przyszedłem podziękować.
- Za co?

Odpowiedział dopiero po chwili. Spoważniał.

- Za trzy rzeczy.
- Jakie?
- Po pierwsze: że wczoraj przyszedłeś.
- Zasluga Eli.
- Zasluga Eli. Ale to ty przyszedłeś. Zgadza się?
- Niby tak.
- Po drugie: żeś mnie objechał jak burą sukę, budząc tym samym we mnie człowieka.
- Człowiek... — mruknąłem — to brzmi dumnie.
- Jak kiedy — odpowiedział z rzetelną powagą. — Jak kiedy, człowieku.
- A po trzecie?
- Po trzecie?

Tu Ambroży znów umilkł. Patrzył na mnie (na mnie jako na Marka) w sposób, jaki rzadko się zdarza. Patrzył jak prawdziwy, najrzetelniejszy przyjaciel. Z tym rodzajem zaufania i porozumienia, do jakich zdolna jest przede wszystkim młodość.

— No, stary? — spytałem.

Jego twarz pojaśniała. A nawet — chyba tak było — oczy chłopca nagle się zaszklily, całkiem nie po męsku. Wstał, podszedł do okna.

— Słuchaj — powiedział. — Sam o tym nie masz zielonego pojęcia, jak mnie wczoraj podbuntowałeś. To po trzecie!

— Podbuntowałem? Do czego?

— Do myślenia. To znaczy... do odwagi. Nie! — poprawił się raz jeszcze. — D o s z c z e r o ś c i!

— Nie rozumiem.

— Ja też — zaśmiał się radośnie — ja też, chłopie, początkowo też nie rozumiałem, co się dzieje. Podbuntowałeś mnie do szczerości. Więc zacząłem się łamać. I tak łamałem się aż do wieczora. Ale w końcu powiedziałem sobie: „musisz z n i m pomówić. I to nie jak kapral z generałem, ale jak syn z ojcem”.

— Jak człowiek z człowiekiem?

— Jakbyś zgadł: jak człowiek z człowiekiem.

Serce zaczęło mi bić żywiej. Wiedziałem już, że wczorajszy zagubiony, nieszczęśliwy chłopiec, stojący na progu głupstwa i klęski, przyszedł dziś do mnie z dobrą nowiną.

Widziałem to po oczach, słyszałem w głosie.

— Łamałem się długo, bracie, i nie bez strachu. Nie wiedziałem, kiedy on wróci. I j a k i wróci. Rozumiesz?

Skinałem głową. Ciężka musiała to być próba.

— Ale — powiedział Ambroży nie kryjąc już nawet zaszklonych oczu — ale stary wrócił wcześniej. Ja szefa nieźle znam. Zrozumiałem: ciągnęło go w złą stronę. Ale wygrał. Nie dał się diabłu.

— Diabłu? — spytałem. — Któremu?

— No... temu... z czerwoną kartką!

— Rozumiem.

— Na pewno nie rozumiesz, jak taka wygrana cieszy, Marek! On wrócił jak... jak Cezar z Galii! Przyniósł nawet po dwa ciacha na głowę. To było jeszcze lepsze, niżby wysadził się na kwiaty dla staruszki. To było, bracie, jakby w chałupie nagle pojaśniało, jakby wrzucili nową fazę do sieci. Więc pomyślałem: czas na mnie. Spytałem, czy może przyjąć mnie do specjalnego raportu. Ja w tej chwili właściwie już zapomniałem, że przedwczoraj dostałem w kark. A on? On... jakby sobie nagle o tym przypomniał. Wtedy mama spojrzała po nas i powiedziała, że musi jeszcze wyjść, bo o szóstej ma być w sklepie masło, a poza tym musi jeszcze zapłacić za radio. Wiedziałem, że masło jest w spiżarni, a za radio sam płaciłem dwa dni wcześniej. Kobiety są mądre. Tak, Marek. To było z jej strony więcej niż mądre. Kwatermistrz postanowił zostawić nas samych, bo szef... rozumiesz mnie... szef przy szefowej zawsze wolał pokazać autorytet dowódcy niż ojcowski rozum. No i szefowa wyszła. A ja zameldowałem się wedle regulaminu. A on: „spocznij — powiedział — wolno palić”. Siedliśmy za stołem. Ja patrzyłem na niego. On bawił się zapałkami, popielniczką, cygarniczką, ale oczu nie podnosił. A ja zacząłem swoje gadanie od stworzenia świata. Spytałem, czy pamięta, jak kiedyś zwałem z domu. I jak dostałem za to swoje „chuligaństwo” kapitańskim pasem. Coś tam mruknął, że należało się gówniarzowi. Wtedy spytałem: „A czy tata wie, dokąd chciałem uciec?” — „No... dokąd?” „Do Wietnamu, melduję posłusznie, na ochotnika na front” — powiedziałem. A jemu rozsypały się zapałki, przewrócił popielniczkę i tylko patrzył w oczy. Prosto w oczy! „Nie kłamiesz?” — pyta. „Jak chcę żyć — zameldowałem — taka była prawda”. „A ja... — mówił — a ja... — mówił i ledwo mu to szło przez gardło — a ja myślałem”... I wtedy... słuchaj, stary! Wtedy pierwszy raz powiedział do mnie „przepraszam, synu”. Rozumiesz? Pierwszy raz w życiu. Pierwszy raz! Jak ci to wytłumaczyć, człowieku.

— Nie trzeba — powiedziałem. — Co dalej?

— Na bardzo długą minutę — mówił Ambroży, przymykając oczy — straciłem głos. Straciłem głos, bo... bo jakbym nagle odzyskał ojca. A on mówi: „a ja... ja myślałem”... A potem mówi: „nieprawda! Ja — mówi — wtedy n i e m y ś l a ł e m”. No i co? Wstał, obszedł pokój, potem przysiadł się do mnie. Znowu wrócił mu szefowski, kapitański głos, ale nic już nie rozkazywał. Powiedział: „mów! Mów, chłopie, wszystko, wszystko, co masz na

duży, na sercu, na rozumie”. Więc zacząłem mówić. Wszystko! Długo to trwało. A on tylko słuchał. Słuchał jak nigdy. Kiedy skończyłem...

— Powiedziałeś wszystko?

— Tak.

— O plecaku? O poprawczaku?

— Tak!

— A... — zająknąłem się — a... o butelkach?

— Też.

— I co?

— Przy tych butelkach zbladł właśnie tak, jak wtedy, kiedy uderzył. Ale ja powiedziałem sobie: „uderz. Masz swoje prawo: blizny, głupiego szefa, koleśków do knajpy, mało pieniędzy, syna, co nie zawsze wyciąga na czwórki, i ten najgorszy głód... ten parszywy głód do czerwonej kartki, otumanienia. Tępego otumanienia i ciężkiego snu”. Powiedziałem sobie: „jeśli nawet znowu uderzysz, dzisiaj ci to zapomnę od razu. Ale nie będę już udawał głuchoniemego, nie będę chował przed tobą, co mam na sumieniu. Nawet tego, co zaplanowaliśmy sobie z Zośką. Nawet jej listów”. Ale on, chociaż zbladł jak w t e d y, nie podniósł ręki. Wreszcie skończyłem. Ale długo... dłuuuugo musiałem czekać na jego słowa. Doczekałem się. Zgadnij... — tu głos Ambrożego wyraźnie się załamał, ale twarz miał tak jasną, jak wtedy, kiedy czytał list od Zośki.

— No? Zgadnij, co powiedział — rzekł z dumą.

Wiedziałem chyba, co usłyszał Ambroży. Ale nie wolno mi było powiedzieć, że wiem. Sprawa była jego — i dla niego były owe słowa przeznaczone. Dlatego powiedziałem tylko:

— Gadaj!

— Słuchaj; Szef... nie, nie szef! Mój, mój najwłaśniejszy staruszek powiedział: „a ja... przepraszam, synku”. Rozumiesz?

Skinąłem głową.

Ambroży przyjrzał mi się uważnie. Znów odniosłem wrażenie, że nie stoi przede mną żaden tzw. szczeniak, gówniarz, smarkacz, „dzisiejsza młodzież” i jak to tam jeszcze zwykli się nazywać, tylko doświadczony niełatwym życiem i dojrzały młody człowiek. Doświadczony życiem i rozumiejący jego złożoność mężczyzna. Jakoby jeden z moich rówieśników.

— Mareczku, dziecino — rzekł Ambroży. — Trochę za gładko ci się żyje, żebyś naprawdę z r o z u m i a ł. Bo wcale nie jest tak, że już nam zaświeciło jasne słońce i zaczęła się sielanka. Tak, stary. Ja wcale nie wiem, czy na przykład szef już dzisiaj nie wróci na sztywnych nogach i z czerwonym okiem. Może nawet podnieść rękę. Ale coś się z a c z ę ł o. Coś całkiem nowego. Matka nic jeszcze nie mówi. Ale już się uśmiecha. W całkiem nowy sposób. A on... on dziś wstał wcześniej, wyniósł z kuchni brudne szkło i... i sam wytarł podłogę w kuchni moką szmatą. Jakby zmywał coś z siebie... z życia.

Umilkliśmy obaj. Ambroży zapalił sporta, rozsiadł się w moim fotelu. Jego siwe oczy skryły się za siwym dymem. Mnie jednak nie drażnił już smród tytoniu, ślady na podłodze i coraz bardziej cisnące w pasie dzinsy.

Powiem szczerze: przeżywałem chwilę rzetelnej radości. Jakby komuś bliskiemu udał się trudny eksperyment — ważne doświadczenie wyznaczające nowy kierunek działania. Taką chwilę można by nawet nazwać wielkim słowem: chwila szczęścia. Nieważne, kto tu się zasłużył — Ela, ja, list Zośki, odwaga Ambrożego? Ważna była suma spraw. Suma dobrej, ludzkiej woli.

— Wiesz?...

Chciałem zacząć tłumaczyć, co o tym wszystkim myślę. Ale nie udało się.

Telefon.

Zadzwonił wesoło, jak na dużą przerwę po ciężkiej klasówce. Może i lepiej, że nie dopuścił mnie do głosu. Mógłbym przytłamsić myśli słowami. Telefon tym razem odezwał się w

dobrej chwili, z chęcią więc podniosłem słuchawkę.

— Do ciebie — zaśmiałem się usłyszawszy głos. — Do ciebie, Ambroży.

— Zośka?

Tak — była to właśnie Zośka, więc wyszedłem z pokoju. Niech sobie pogadają. I rzeczywiście, pogadali sobie niezłe, około dwudziestu minut. Zdażyłem zrobić sobie i Ambrożemu kawę, wypilem ją powoli, ze smakiem, wytarłem i zatarłem ślady po jego butach, czego on na pewno nie zauważył. W końcu jednak zaczęło mi świdrować w głowie, że o czymś zapomniałem.

O czym? Łączyło się to chyba z zegarkiem, z godziną — z czasem.

Była godzina dziesiąta czterdzieści pięć. Zajrzałem jeszcze do drugiego pokoju, by porównać swój zegarek z nieomylnym staruszkim „kukułką”, ulubionym zegarem mojej Krysstyny, ów drewniany staruszek z kukułką i wagami był jak najbardziej na miejscu w pokoju znanego, wielce cenionego etnografa. Który to etnograf mieszkał tu jako urocza i mądra kobieta, moja żona oraz — jak wiadomo — matka mego syna.

Oczywiście w pokoju etnografa znajdowało się duże lustro. Zawadziłem o nie wzrokiem. Ujrzałem w nim siebie (siebie jako Marka), a przede wszystkim furę rozpełnionych włosów, które wyglądały, jakby nie dotknęły ich dziś ni szczotka, ni grzebień. Po prostu wdzierając golf zupełnie zapomniałem poprawić fryzurę.

I oto nagle stanęły mi w oczach Planty obrośnięte szadzią szronu, posłyszałem ostry głos wzywający mnie po nazwisku, ujrzałem wysokiego faceta, którego okrągła i na pozór dobroduszna twarz z różowymi ustami cherubinka pochylała się nade mną świecąc rozłożonym okiem. Usłyszałem też zdławiony gniewem ostry głos:

— Masz być u mnie jutro o jedenastej! W liceum... durniu jeden!

Bądźmy sprawiedliwi — wprawdzie potraktowano mnie (mnie jako Marka) niesprawiedliwie. Ale dla odmiany ja (jako Marek) zachowałem się chyba zbyt bezczelnie. Powinienem zatem ponieść konsekwencje. Z obowiązującym mnie (jako mnie) spokojem i wyrozumieniem. M u s i a ł e m zatem zastosować się do polecenia — „Masz być u mnie o jedenastej!” — i wysłuchać, co mi będzie dane do wysłuchania.

Zegarek z kukułką wskazywał dziesiątą czterdzieści osiem. Na szczęście do ogólniaka było blisko. W trudniejszych sytuacjach Marek przebywał dystans w minut sześć. Ale po pierwsze — Ambroży ciągle jeszcze wisiał przy słuchawce. Po drugie zaś, powinienem tym razem przyszyć tarczę do rękawa mego kożuszka.

Rany boskie! Gdzie nici? Gdzie tarcza? Gdzie igła? I w ogóle gdzie mam szukać profesora, do którego powinienem się zgłosić?

Ambroży gadał, czas płynął, świat nagle poszarzał.

Mimo wszystko znalazłem igłę, nitkę, tarczę. Przyszyłem tarczę do właściwego rękawa. Nie trwało to długo — dzięki czemu cztery palce krwawiły mi niezbyt mocno. Piąty za to zachowywał się tak, jakbym trafił w tętnicę.

Byłem wreszcie gotów do startu: dziesiąta pięćdziesiąt jeden! Musiałem okazać się bezwzględny w stosunku do człowieka szczęśliwego.

— Ambroży!

Dopiero kiedy po raz czwarty i tuż nad samym uchem wrzasnąłem „Ambrożeńku!”, oprzytomniał wreszcie.

— O co chodzi? Nie można chwilę porozmawiać z człowiekiem.

— Nie można!

— Zośka! — rzekł w słuchawkę Ambroży. — Słyszałaś?

Udało się Ambrożemu wyrwać słuchawkę.

— Zośka! — mówiłem zdyszczonym głosem, obsmarowując słuchawkę krwią serdecznego palca. — Mam dla ciebie pilny telegram: muszę być w budzie o jedenastej stop jest dziesiąta pięćdziesiąt dwie stop ufam że rozumiesz stop gdzie przysłać tego twego bęcwała znak

pytania stop Marek!

— Do „Tramwaju”! — krzyknęła Zośka. — A w ogóle Marek to... to w ogóle!

Ambroży chciał jeszcze przechwycić słuchawkę. Nie pozwoliłem na to. Dziesiąta pięćdziesiąt trzy!

— Jazda do „Tramwaju”! — wrzasnąłem tak przekonywająco, że nie było już mowy o żadnej dyskusji. Po prostu — jak przyjaciel przyjaciela — wyrzuciłem go za drzwi, zamknąłem drzwi na klucz, zaczęliśmy zbiegać po schodach.

Na półpiętrze, w tym miejscu, gdzie biedna pani Antonina ujrzała Onego w czerwonym fraku i srebrnych sztylpach, paliły się cztery duże świece i klęczały dwie starszki. Szeptały modlitwy, co chwila żegnając się krzyżem, a dziennikarka z piątego piętra towarzyszyła im podsuwając mikrofon to ku jednej, to ku drugiej. Jest rzeczą ludzką, że Ambroży chciał się zatrzymać, a jego wole oczy błagały choć o dwa słowa wyjaśnienia. Udało mi się jednak kopnąć go we właściwy pośladek. Nie zdołał się więc zatrzymać, utracił też rozeznanie sytuacji.

Usłyszałem tylko, że dziennikarka wtrąca swój komentarz głosem rzeczowym i wielce radiofonicznym:

— A na przykład młodzież...

Reszta już do nas nie dotarła. Ambroży spokorniał i zarazem stumaniał. Wypchnąłem go za próg bramy i jeszcze raz huknąłem w plecy.

— Jazda! — krzyknąłem. — Tramwajem do „Tramwaju”!

Nie mam pojęcia, co odpowiedział ani co uczynił. Była godzina dziesiąta pięćdziesiąt cztery, a od liceum dzielił mnie dystans tysiąc czterystu metrów. Jestem specjalistą od biogenetyki, wiem jednak także co nieco o lekkoatletyce. Tysiąc czterysta metrów w kozuchu, w za ciasnych dzinsach, po zmarzniętym śniegu, w dość ciężkich traktorach — to już naprawdę jest nie tyle średni, ile ciężki dystans.

Jak rozłożyć siły? Trzeba chyba wziąć szybsze tempo na pierwszy tysiąc, a potem zwalniać i odzyskiwać oddech. Żeby móc przynajmniej odzyskać na tyle głos, by powiedzieć: „Dzień dobry pa...nie profeso...rze”.

Po drodze o mało nie wpadłem pod stara, uniknąłem czołowego zderzenia z dziecięcym wózkiem o dwa centymetry oraz całkiem mimo woli o mało nie znokautowałem (ciemieniem w szczękę) byłego bokserskiego wicemistrza Europy w wadze półciężkiej.

A przecież zdążyłem!

Kiedy przekroczyłem bramę liceum, była dziesiąta pięćdziesiąt dziewięć. Wprawdzie gardło miałem zaschłe na azbest, a serce podlażło pod same uszy, udało mi się jednak nie spóźnić.

Tylko gdzie szukać owego Cherubinka? W zasadzie na wywiadówki i spotkania z wychowawcą Marka chodziła głównie Krystyna, ja jednak też byłem ze dwa razy w tym gmachu. Ogromnie przy tym spodobał mi się wychowawca Markowej klasy, drobniutki i krągłutki bardzo młody człowiek. Zapamiętałem więc przy okazji drogę do owej klasy. Ale gdzie szukać krewkiego Cherubinka? Chyba w pokoju nauczycielskim. Ale gdzie jest ów pokój? Nowoczesny gmach liceum na moment przypomniał mi ponury mit o labiryncie. Stałem na środku hallu z trudem łapiąc oddech, a głębię musiałem mieć mocno głupawą.

Znów jednak dopisało mi szczęście. Ujrzałem postać znaną tylko z opowiadań, ale nie sposób było jej nie rozpoznać: wysoki, bardzo chudy tyson z hetmańskimi wąsami o bladobłękitnych oczach, z których tylko jedno świeciło żywym i wilgotnym blaskiem, drugie zaś miało połysk szklano sztuczny. Jako że sławny wąsał, woźny zwany „Hetmanem”, prowadził swój czołg przeciw „tygrysom” w bitwie pod Studziankami za cenę lewego oka i otrzymanego później Krzyża Grunwaldu.

— No co, Marek? — zahuczał Hetman głosem marszałkowskim. — Będzie ciężki wygawor, że tak powiem. Pan profesor Laudański zapowiedział, że czeka na ciebie w pokoju nauczycielskim o jedenastej piętnaście.

Trzasnąłem kopytami jak do raportu.

— Tak jest, jedenasta piętnaście, pokój nauczycielski. Ale...

„Hetman” mrugnął sztucznym okiem, przekrzywił głowę na lewe ramię. Spod siwych wiechciów wąsa błysnął uśmiech.

— Jakie znowu „ale”?

Co miałem powiedzieć? Że nie wiem, gdzie jest pokój nauczycielski? Mógłby to uznać za wygłup lub kpinę. Musiałem jednak zaryzykować.

— Ale — powiedziałem możliwie przymilnym głosem — melduję, że ze strachu dostałem zaniku pamięci. Gdzie ten pokój, panie Hetmanie kochany?

— Ejżesz ty! — pokiwał głową stary. — Co się z wami dzieje, bajoki? Na samym progu życia, że tak powiem, skleroza?! Przecie widzę: po pierwsze, zapomniałeś, Tyka, wstąpić do fryzjera. A po drugie, pierwsze piętro, pokój siedemnaście, kwiczołe włochaty. Masz przy najmniej grzebień?

— Nie.

Znów pokiwał głową i... wyciągnął z kieszeni na piersiach grzebyk o grubych mocnych zębach. Słyszałem o tym. „Hetman”, choć sam łusy jak kolano, nosił przy sobie grzebień, by w podbramkowych sytuacjach pomagać niektórym młodzieńcom.

— Jazda! — rozkazał Hetman. — Jazda do, że tak powiem, toalety. Perukę pod kran, przyczesać i przylizać.

Z sercem pełnym wdzięczności wykonałem, co nakazał mądry „Hetman”, zwróciłem grzebień, wygłosiłem krótkie przemówienie dziękczynne i powędrowałem na pierwsze piętro w poszukiwaniu pokoju numer siedemnaście.

Byłem w traktorach. Szedłem na, że tak powiem, „ciężki wygawor”. Nie było mi lekko na duszy, starałem się więc iść krokiem jak najłżejszym.

Nie dosłyszano zatem, że nadchodzę, i wbrew woli, a także ku własnemu zawstydzeniu, zacząłem podsłuchiwać dość głośną rozmowę prowadzoną właśnie w pokoju numer siedemnaście.

Zacząłem podsłuchiwać i — nie przestałem. Mimo wszystko miałem prawo do tej nieuczciwej na pozór gry. Albowiem już po pierwszych podsłuchanych słowach zrozumiałem, że mowa o Marku. O moim synu i „jego” zachowaniu.

Zawiniłem ja. Ja jako Marek. Ale choć nadal siedziałem w jego młodej skórze, byłem przecież jego ojcem, który powinien się dowiedzieć, co o Marku sądzą jego profesorowie. Ostatecznie, gdybym zjawił się tu w owej właściwej postaci, zamiast podsłuchiwać, mógłbym po prostu wziąć udział w rozmowie. Ale ciągle jeszcze — będąc w istocie i dla siebie sobą — dla ludzi byłem Markiem.

Została mi zatem jedna możliwość: podsłuchiwać. Tym bardziej że profesor Laudański przesunął termin „wygawornej” audiencji na jedenastą piętnaście. A zegar w hallu mówił: jedenasta cztery.

Oba głosy były mi znajome. Pierwszy z nich należał oczywiście do Cherubinka. Ale ów drugi? Jeszcze młodzieńczy, a już dojrzały? Przecież pamiętam go. I przypomniałem sobie: był to spokojny tenor profesora Kalisza, wychowawcy, a zarazem ulubieńca Markowej klasy.

Charakterystyczne — niezależnie od not, problemów i szkolnych kłopotów Marka, których Kalisz nie miał w zwyczaju traktować zbyt łagodnie, Krystyna rozpyływała się pod adresem Kalisza w typowo kobiecych i kobieco rozumnych zachwytach. Przyznaję, że i ja — zetknąwszy się z nim wszystkiego dwa razy — zacząłem potakiwać z pełnym przekonaniem.

A Marek? Jego ody na cześć Kalisza były o wiele powściągliwsze od naszych. Ale miały o wiele głębszy sens i znaczenie. My mówiliśmy swoje na podstawie doraźnych spotkań i wrażeń. On zaś wiedział. Wypowiadał swoje sądy na podstawie blisko dwuletniej codziennej praktyki. Więcej — jestem skłonny przypuszczać, że jeśli czasami Marek zastanawiał się, czy zamiast myśleć o czysto naukowej pracy, zająć się metodyką i powszednią pracą szkolnego

nauczania — o której wiedział przecież, jak ciężka bywa i niewdzięczna — to owe zastanawiania wynikały z obserwacji takich właśnie ludzi, jak Kalisz czy kilkoro innych. Sprawiedliwie wymagających, często surowych, zawsze przyjaznych. Stale walczących o rozwój także własnej umiejętności i wiedzy.

Niech się więc nikt nie dziwi, że podsłuchiwałem z wielką uwagą. A nawet nie bez serdecznej wdzięczności wspominałem samego Mister Di. Biedaczek! Jak uparcie, jak regularnie jego diabelskie zagrania przeciw mnie obracały się w istocie na dobro i na korzyść — nie tylko moją.

Mniejsza zresztą o ekscelencję.

Była jedenasta pięć. Stałem blisko drzwi. Za załomem muru. Słyszałem każde słowo.

Laudański był mocno zirytowany. Nawet zły. Ale w jego głosie słyszałem też zmęczenie, gorycz. Może nawet smutek.

— Jakim prawem? — pytał. — Jakim prawem go bronisz? Zachował się bezczelnie. Nie raczył się ukłonić. Nie raczył w ogóle zauważyć zwapniałego belfra. Tego belfra, który w końcu dba o szczeniaka i daje mu dobre noty!

— Zasługuje?

— No... niby...

— Więc...

— Nie zaczynaj zdania od „więc”! Poza tym nie o notach mowa. Uczeń złamał przepisy. Zachował się i odpowiadał w sposób bezczelny. Ośmieszył mnie przed ludźmi... a ja... sam wiesz...

Chwila ciszy.

I znów głos Laudańskiego:

— Jesteś ode mnie młodszy o trzydzieści lat. Wiem; nie jestem z tych, co to ich lubią. Ale zdaje mi się, że ty mnie lubisz.

— To jest prawda, Franek.

— Zacząłem uczyć od razu w dobrej firmie. Potem przyszło biegać po tajnych kompletach. Uczyłem, jak mogłem, jak umiałem. Myślisz, że święty młodzieńczy zapał to twój wynalazek? Sam go miałem. Dlatego zapychałem z kompletu na komplet, żyjąc brukwią i czarnym chlebem. Niektórzy ówcześni moi uczniowie dość wysoko zaszli w przedmiocie, którego ich uczyłem. Kiedy wzięło mnie gestapo, wiedziałem za co.

— Franek, my wszyscy...

— Nie przerywaj. Nieważne, że dali mi w kość. Nieważne nawet i to, że ledwo wylałem z obozu, od razu wróciłem do szkolnej harówki. A harówka była ciężka. Mów: jestem dobrym fachowcem?

— Jesteś.

— Ech, ty... młodziaku. Zmęczony jestem. Trzy lata do emerytury, kamica nerkowa, nerwy też w nie lepszym stanie. Zmęczony jestem, stary, brzydki, śmieszny. Coraz częściej po prostu brak mi sił i ochoty. Nawet pamięci. Bywa, że zaczynam plątać się w wykładzie. Czas mnie przegania. Rozwój nauki jest za szybki, żebym mógł uczciwie nadażyć. Mimo to ciągle jeszcze jestem niezłym fachowcem, a ten... kolega nasz kochany, ten... udając, że ma straszne plecy i ogromny polityczny autorytet, podpuszcza niektórych! Wydzwania do kuratorium, chce mi ukraść moje ostatnie lata. Nie za to, że nie umiem uczyć. Ale za to, że mówię mu w oczy, co myślę. No i co? Wysadzi mnie z siodła, jak amen w paciorku!

— Nie uda się mu.

— To ty tak mówisz.

— Nie ja jeden tak myślę! — i tu Kalisz się zezłościł.

— A ja nie wierzę. Nie dasz rady.

— Zobaczymy.

— Zobaczymy — westchnął Laudański.

A ja słuchałem. Słuchałem zaklęty w kamień.

— Zobaczmy — powtórzył Laudański. — Ale, Kaliszku, nie on jest najgorszy. Najgorsza jest w końcu moja starość. A przede wszystkim to, że dzieci są okrutne. Dzieci? Przecież oni są już niekiedy prawie dorośli. Dwa lata do praw wyborczych. I w ogóle: rewolucja, kontestacja *et caetera*. A bywają tak głupio okrutni. Jestem śmieszny. Więc śmieją się. Śmieją się prosto w oczy. Bywają bezczelni i pogardliwi jak ten twój Marek. Ty bronisz jego smarkaczowskiej godności. A co z moją? Wiesz, jak to jest: gówniarz chce się popisać tanim kosztem przed swoją damą albo przed całym narodem. Choćby ta twoja ukochana Iza, o której wiem, że też włóczy się po kawiarniach, w których bywa podejrzane towarzystwo, co mi zrobiła? Obkuta jest bezbłędnie. Jej brat robi doktorat w moim przedmiocie. No i ta twoja „mądra i myśląca” panieneczka podpuściła mnie na temat, którego nie zdążyłem opanować. A na drugi dzień przyniosła zagraniczne fachowe pismo. I udowodniła, że to ona miała rację. „Mądra i myśląca”? Mogła przecież przyjść, pogadać w cztery oczy. Kaliszku! Ja bym ją przeprosił. A ona zrobiła przedstawienie przed całą widownią.

— Czekaj, Franek. Mówiłem z Izą. Powiem ci, że nie tylko zrozumiała. Ona pobeczowała się ze wstydu. Powiedziała, że z całego serca chce ciebie przeprosić.

— Przeprosiła. Ale niektóre przeproszenia niewiele pomagają. Panienka obmyła sobie sumienie, była zawstydzona, skruszona i w ogóle. Ale tamtej komedii ze starym Laudą, który „sam sobie dał pałę”, nikt nie potrafi odwrócić. Ani zmyć. Przynajmniej z mojej pamięci.

Spojrzałem na zegarek. Jedenasta dwanaście. Należy chyba już się wycofać i znowu „nadejść” tupiąc po korytarzu, żeby usłyszeli. Nie byłem jednak w stanie jeszcze się ruszyć.

Teraz mówił Kalisz:

— Widzisz, Franek. Ty masz rację. Bywają głupi jak makaki. Bywają okrutni, jak tylko kilkunastoletni potrafią. Mnie niby lubią. Ale myślisz, że ja sam nie mam czasem ochoty uciec od nich, choćby do... zamiatania ulic? Staram się, jak mogę, żeby wchodzili w początek dojrzałości jak ludzie. A niektórzy, nawet najlepsi, potrafią zakosić taki numer, że jako wychowawca po prostu nie wiem, co robić? Jeden kretyń potrafi zarazić kretyńszczyzną pół klasy. Ostatnio zrobili sobie podział „klasowy”: na „panów” i „dziadów”. A to bałwanstwo dotknęło nawet część takich, na których... zdawało mi się... mogę liczyć zawsze! Bywają i tacy, od których od rana jedzie piwem jak od kolesiów spod najgorszej budki. Ktoś kradnie. A jedna plotkara potrafi narobić smrodu na całe piętro. No i co? W końcu robi się błędne koło. No, nie tylko my ich wychowujemy. Przynoszą do nas to, co widzą w domu. Co kupują na srebrnym ekraniku. Jeden idiotyczny festiwal piosenki robi się nagle ważniejszy od wszystkiego, co stworzyli Marks, Darwin, Einstein i Norwid razem wzięci. No i zaczyna się spychotechnika: kto winien? Rodzice na nas. My na rodziców. Potem i oni, i my — jazda na program szkolnictwa, i nie bez racji. Potem resort szkolnictwa naskakuje na telewizję, telewizja na rodziców i na nas, a rodzice i my na „margines” społeczny i ulicę. I wszyscy mają niby rację, a nikt do końca.

Laudański tylko się zaśmiał.

— Mnie to będziesz opowiadał? Jeszcze powiedz, że tylko dzieci niczemu nie winne. Biedactwa! Zniszczone programem i reżimem. Biedne, niczemu nie winne... bo to takie młode... takie bez kryteriów i doświadczenia...

— Franek — krzyknął Kaliszek. — Nie rób ze mnie idioty! Oni nie są niewinni, bo nie są ani głupi, ani bezmyślni. Przynajmniej zdrowa większość. Ale ty też nie jesteś taki Chrystusik, jak ci się zdaje. Przyznaj się: zaczynasz ich nie lubić. Zaczynasz, może niezbyt świadomie, mścić się. Za swoje zmęczenie. Za ich małpie zagrania. Za nasze własne rozróbki. Zawsze byłeś prawdziwy pedagog. A teraz nagle dostajesz szusów, przykręcasz śrubę, oko za oko, ząb za ząb. Oni tobie po godności... to ty im. Nagle zaczynasz szarpać za tarcze, mierzyć spódnice, publicznie obśmiewać. Przecież nigdy taki nie byłeś. Przecież to nie twój poziom. Franek. Nie twój! Przepisy są po to, żeby ich pilnować. Ale jak? W jaki sposób? Przecież...

Znów chwila ciszy. Musiałem zacząć się już wycofywać — była jedenasta piętnaście. Usłyszałem jeszcze tylko przyciszony głos Laudańskiego:

— Ach, daj mi święty spokój. Ja naprawdę...

Nie dowiedziałem się, co „naprawdę”. Zacząłem się wycofywać na palcach, wpierw krok za krokiem, potem niemal biegiem aż do samych schodów. Stamtąd zaś ruszyłem tęgim truchtem, tupiąc buciorami możliwie najgłośniej.

Najpierw spojrzałem na Kalisza. Powitał mnie bez uśmiechu. Miał wypieki, czoło w drobnym pocie, niepokój w oczach.

— Dzień dobry — powiedział sucho — czekaliśmy na ciebie z panem profesorem Laudańskim. Wcale mnie to nie cieszy. Wychodzę.

Było mi naprawdę przykro i żal. Musiał dostrzec. Położył mi rękę na ramieniu.

— Mam nadzieję, że zajrzysz potem do klasy.

— Tak jest, proszę pana profesora.

Laudański miał twarz zwróconą do okna. Na chudej szyi kołysała się łysa głowa. Choć siedział pod światło, dostrzegłem, że to, co oeniłem jako krągłość i pulchność rysów, było ich zgrubieniem i obrzmiałością. Mróz i gniew dodały wczoraj tej twarzy kolorów. Dziś ich zabrakło. „Różowe usta Cherubinka” były dziś wyschłe i blade.

— Najmocniej przepraszam, panie profesorze — powiedziałem cichym głosem — spóźniłem się, ale...

— Bliżej — rzekł. — Proszę bliżej!

Podszedłem bliżej.

— Co masz mi do powiedzenia?

— Powinienem pana profesora przeprosić.

Uśmiechnął się z jawną ironią.

— Powinieneś? — spytał. — Czy przepraszasz?

— Przepraszam. Gorąco i szczerze.

— Za co?

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Za co? Za tarczę, za loki, za dowcipasy o Chopinie i Emilii Plater? Chyba nie tak.

— Mam nadzieję — rzekłem — że pan profesor mnie rozumie. Zachowałem się...

— Wiem, że się z a c h o w a ł e ś. I cóż dalej?

Jego uśmiech nadal kpiący był i nieufny.

Zapewne Marek zbuntowałby się przeciw temu uśmiechowi. Ja sam jeszcze nie rozumiałem, czy to ciągle tylko zawziętość „Laudy”, czy pedagogiczna prowokacja. Ale faktem jest, że ja zawiniłem. Co gorsza — ja jako ja. Dlaczego właśnie ja jako ja przepraszam teraz starego, zmęczonego człowieka z rzetelną szczerością. C h c i a ł e m uzyskać jego przebaczenie. Nie po to, by zabezpieczyć Marka przed następstwami całej sprawy, ale by oddać zmęczonemu człowiekowi przynajmniej część należnej mu sprawiedliwości.

Laudański zawadził wzrokiem o rękaw kożuszka, o moje przylizane włosy. Przesunął dłonią po twarzy. Uśmiech zniknął. Blade oczy patrzyły z uwagą.

— Powiedziałeś, że przepraszasz szczerze. Dobrze słyszałem?

— Tak, panie profesorze.

Wstał wspierając się o stół rękami o nabrzmiałych żyłach. Znów odwrócił się do okna.

— Chcę wierzyć — powiedział suchym głosem — że jesteś szczerzy.

— Jestem, panie profesorze.

— Szczerość za szczerość — mówił, nadal odwrócony do mnie plecami i bez żadnej przyjaźni w głosie. — Mówisz: gorąco i szczerze przepraszam. I czekasz na wybaczenie. Dobrze rozumiem?

— Tak, panie profesorze.

— Wobec tego ja dla odmiany powinienem ci s z c z e r z e wybaczyć. Niestety, mój

drogi, dziś jeszcze nie potrafię.

Nagłym ruchem zwrócił się ku mnie, jakby chciał zaskoczyć na jakiejś zgrywie czy nie-
lojalności. A ja rozumiałem go w owej chwili być może lepiej niż on sam.

Musiał chyba dostrzec coś z tej prawdy w moich oczach. Wykonał niepewny gest,
postąpił krok naprzód.

Ale na jego twarzy znów pojawił się tamten nieprzyjazny uśmiech.

— Będę się starał — powiedziałem — żeby pan profesor...

— Nie dzisiaj — przerwał mi. — Rozmowę zakończyliśmy. Przy okazji wstąp do fry-
zjera. Do widzenia.

Skloniłem się. Wyszedłem bez słowa. Czy był niesprawiedliwy? Nie. Był szczerzy.
Więcej — miał swoje prawo do drwiącego, nieufnego uśmiechu. Nadal ciążył mi mój własny
wstyd. Zachowałem się wobec niego bez zastanowienia i dojrzałego namysłu. On zaś widział
we mnie tylko młodego chłopca.

Tak — młodzież bywa okrutna, choćby z tej przyczyny, że nie potrafi sobie wyobrazić,
czym jest starość, zmęczenie i gorycz późnego wieku, ostatnich lat. Przypomniał mi się „Fa-
fuła” — mój historyk z tajnych kompletów. On też biegał z adresu na adres, żyjąc czarnym
chlebem i brukwią, w dziurawych butach, w paletku podszytym wiatrem. Nie był najlepszym
wykładowcą. Nudził wedle najgorszych tradycji: stąd-dotąd z podręcznika, data za datą.
Mawiał, że bez zrozumienia historii nie można zrozumieć nawet siebie. Wierzył w swój prze-
dmiot, lubił go, więcej niż lubił. Cóż z tego? Nie umiał nas do niego przekonać. Więc płatali-
śmy mu małpie figle, wyśmiewaliśmy w oczy i poza oczy. Nawet kiedy przeczytaliśmy jego
nazwisko na liście rozstrzelanych, nadal pozostał w pamięci „Fafuła”, nie lubianym, nudnym
belfrem.

Sam tak o nim myślałem, póki w kilka lat po wojnie nie trafiłem na niedużą książkę
podpisaną jego nazwiskiem. Była to praca o ostatnim okresie dyktatury Romualda Traugutta
— skromna, mądra, pisana piękną polszczyzną, świadczyła o wielkiej wiedzy i wyobraźni
„Fafuły”.

Dopiero wtedy rozumiałem, jak bezmyślnie i bezwzględnie zatruliśmy ostatnie lata
życia mądrego człowieka. Nie zapomnę chwili przejmującego wstydu, z jakim skończyłem
czytać ową książkę.

W zamyśleniu zbłądziłem. Trafiłem na jakieś boczne schody, zląłem do piwnic.

Ledwo wyplątałem się z labiryntu, Kalisz kazał mi zajrzeć do klasy. Na parterze znów
zacząłem błądzić, ale w końcu ujrzałem znajomą sylwetkę. Usłyszałem krzyk Izy:

— Ludzie, ratunku! Cud!

Tak to trafiłem do klasy Marka. Iza złapała mnie za rękę, pociągnęła na próg.

— Cud się stał, narodzie kochany! — wrzasnęła jak na meczu. — Pan Marek raczył
przybyć.

W klasie było kilkoro, których znałem z widzenia, a nawet z bliska (Iza, Ewa, Waldek).
Kilkoro, których nie znałem. Na mój widok podniósł się krzyk oraz jęk zachwytu. Jakby
zamiast mnie pojawił się jakiś piosenkarz wielkiej sławy lub co najmniej król strzelców pie-
rwszej ligi — z tym że ów krzyk oraz jęk miał bardzo ironiczną barwę.

Odczekałem, aż ucichną. Ukłoniłem się z godnością.

— Cześć pracy, obywatele! — rzekłem.

Powiedzenie było na miejscu. Klasę niedawno odmalowano. Śmierdziało jeszcze świe-
żą, wilgotną farbą. Obecni pracowali nad doprowadzeniem sali do porządku: część zmywała
podłogę, część dekorowała ściany i tym podobnie.

Kalisza nie było. Zapewne szło mu tylko o to, bym wziął udział w robocie. „Bardzo
proszę” — pomyślałem. Iza jednak nadal próbowała robić mnie w konia — jeśli nie w osła.

— Pan dyrektor — pytała — raczył pojawić się w charakterze nadzoru technicznego
czy estetycznego?

Coś mi zaczęło świtać w głowie. Czyżby Marek miał jakieś nie znane mi obyczaje, dotyczące się tzw. prac społecznych? Nie spodobały mi się powitalne prześmiewki. Nie dlatego, że były skierowane przeciw mnie jako Markowi. Ale przede wszystkim dlatego, że miały widocznie jakieś istotne uzasadnienie w postępowaniu prawdziwego Marka.

Nie odpowiedziałem na pytanie Izy. Ściągnąłem golf przez głowę i poprawiłem podkoszulek.

— Zgłaszam się — rzekłem — do mycia podłogi. Szanowne koleżeństwo robi to, że tak powiem, trochę po partacku. Woda powinna być gorąca, szmaty lepiej płukane. Potem zostają takie smugi jak pod oknem. I koło tablicy.

Odpowiedziała mi chwila głuchego milczenia. Jedna Iza jęknęła z najgłębszym zdumieniem:

— Ludzie! Kto tu zwariował?

— Mam znajomych na psychiatrii — powiedziałem sucho. — Mogę cię zaprotegować. Ambulatorium przyjmuje codziennie od ósmej do dwunastej. Kopernika 21.

I zabrałem się do pozostawionych pod oknem smug. Jeszcze patrzono na mnie jak na zjawę z innego świata, ale potem wszystko poszło zwyczajnie. Waldek opowiedział historyjkę o złotej śrubce w pępku pewnego Irlandczyka — Ewa z Izą wróciły do dekoracji ścian. Dwóch nie znanych mi chłopców zaczęło się kłócić o to, który olej lepiej nadaje się do mieszanki dwutaktów w temperaturze dziesięciu stopni poniżej zera.

Szefem prac była Iza. Ogłosiła przerwę obiadową o trzynastej trzydzięci. Spytałem, czy mogę ją odprowadzić. Wymieniły spojrzenia z Ewą, ktoś tam głupawo zachichotał.

— Nie wtrącać się! — powiedziałem. — Chodzi o sprawy ponadseksualne! Oboje z Izą nie zasługujemy na podejrzliwy śmiech gawiedzi.

Wyszliśmy w mróz, słońce i południowy ruch uliczny. W powietrzu wisiła już błękitna śmierdząca spalinami mgiełka, a śnieg czerniał na słońcu kaszę.

Skęciliśmy w bocznice. Iza ciągle milczała. Zacząłem atak:

— Stary Mazagran kazał ci się kłaniać i spytać, czemu robisz mnie w konia. O co chodzi?

Podstawiła mi nogę tak zręcznie, że ledwo nie huknąłem głową w pień starego kasztana.

— Pani jest zbyt uprzejma — rzekłem, z trudem łapiąc równowagę. — Ale na każdego przyjdzie swój czas.

— Co za bezczelność! — oświadczyła Iza. — On pyta, o co chodzi? Czy ty cierpisz na zanik pamięci, czy sumienia? P i e r w s z y r a z o d r o k u książkę Marek pojawił się, żeby przyłożyć rękę do jakiejś roboty, i jeszcze się stawia! Minoga jedнопłetwna.

— Przepraszam — poprawiłem — *Permyzones* nie są jedнопłetwne. Należą do kręgowców kręgowstych. W gruncie rzeczy rodzaj ryb. Otwór gębowy w kształcie przyssawki, brak wyodrębnionych płetw. Postać węzowa.

Iza przyjrzała mi się.

— Zgadza się. Samo życie.

— A po drugie — przerwałem — co to znaczy: pierwszy raz od roku?

— No a jak? — fuknęła. — W każdym razie pierwszy raz od września.

— Przecież — broniłem się niepewnie ;— przecież pomagałem komuś tam... w matmie, w chemii...

Pamiętałem, że ktoś przychodził do Marka, że odbywały się jakieś koleżeńskie korepetytorskie zajęcia. Ale już sobie solennie obiecałem, że pogadam ja sobie z synaczką na poruszony przez Izę temat. Jej złość była nie udana. A dziewczyna należała do gatunku zwierząt rozumnych. Broniąc się, chciałbym w istocie pociągnąć ją za język. Sprowokować do dalszego ciągu.

Udało się:

— Marek! — trzasnęła jak z bata. — Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że w tym roku

jesteś po prostu „Ptifurkiem pracy społecznej”. Tak! Tak! Trujesz, żeś pomagał, żeś raczył. Zapomniałeś, ile musiałam się naprosić, żeby jego wysokość raczył udzielić swej wysokiej wiedzy potrzebującym? Chciałeś prawdy, masz prawdę! Udajesz uduchowioną elitę, studiujesz skrypty uniwersyteckie, robisz dwa nadobowiązkowe języki z hiszpańskim na czele i tak dalej, i tak dalej! Chodząca Akademia Nauk w węzowej postaci. A ja ci powiem, że po prostu jesteś sobek. I głupio się odgrywasz. Nie wyszła ci w zeszłym roku robota z samorządem i teraz strajkujesz. Obrażony. Zamiast po prostu przyznać się, że nawaliłeś robotę w samorządzie, za co cię całkiem zasłużenie objechaliśmy, teraz udajesz wyższego ponad tłum i motłoch.

— Ale...

Uspokoila się. Miałem chyba rzeczywiście dość żaloszny wyraz twarzy, bo od razu złagodniała.

— Stary — rzekła. — Przecież każdy wie, że nawaliłeś z powodu kłopotów uczuciowych. Każdy, nawet te plotkary z szóstej ławki, zamknęłyby jadaczki, gdybyś zwyczajnie jak człowiek przyznał, że nawaliłeś. A ty nie! Zacząłeś obrażać się, bawić w dyktatora, pokrzykiwać. Więc dostałeś za swoje. Należało się?

— Należało się — przyznałem. A mój sufler wewnętrzny cichutko jęknął.

„Czekaj no — pomyślałem sobie. — Jeszcze pojęczysz ty »Ptifurku społeczny«. I co on jeszcze napłócił o jakichś dodatkowych językach, z hiszpańskim na czele?”

Iza zatrzymała się pod przystankiem tramwajowym.

Spojrzała nagle bardzo miło. Jej zielone oczy pojaśniały w słońcu.

— Iza! — powiedziałem. — Słowo honoru. „Ptifurek społeczny” zostanie przywołany do rzeczywistości i wróci do narodu z całą pokorą.

— Mam ci wierzyć — śmiała się. — No to...

Wyciągnęła rękę na pożegnanie. Ale ja też miałem coś do powiedzenia. Mogło to wprawdzie wyglądać na zwykłe odgrywanie się. Ale powinienem był przypomnieć jej pewną sprawę.

— Czekaj — powiedziałem. — Jeszcze jedna rzecz. Ale pamiętaj... to nie jest żadna próba rewanzu. Żaden chwyt.

— No?

— Przestań z tymi zagraniami pod starego Laudę. Wiesz, o co chodzi.

Widziałem, jak jej twarz oblewa rumieniec od czoła poprzez policzki ku szyi. Wystraszyłem się, że to tylko gniew. Ciągnąłem więc szybko:

— Facet się czepia. Mnie samego posłał dziś do fryzjera i tym podobnie. Ale...

— Wystarczy — powiedziała. — Temat zamknięty. Kaliszek przeczyścił mi sumienie, jak należy. Spokojna głowa, wasza wysokość. O... mój tramwaj...

Rumieniec nabrał wiśniowych kolorów. Nie był to gniew ani obraza. W porządku. Odetchnąłem z ulgą.

Iza rzeczywiście jest dziewczyną wrażliwą i mądrą. Ma nawet trochę za dużo wdzięku jak na moje prawdziwe lata i chyba trochę zanadto mi się spodobała. Nic dziwnego, że tym razem sufler wewnętrzny beczelnie zarechotał, ale od razu wypomniałem mu uduchowioną postawę minogi oraz łgarstwo z językiem hiszpańskim. Natychmiast się uciszył.

Zaraz potem odezwał się mój żołądek. Zażądał możliwie szybkiego wsparcia. A że nadjeżdżał właśnie tramwaj, którego trasa wiodła w stronę naszego domu, i nie był nawet specjalnie przepełniony, od razu wpakowałem się na tylny pomost drugiego wozu. Tramwaj ruszył, a mnie zrobiło się głupio. Wóz był „samoobsługowy” — ja zaś nie miałem biletu. Co gorsza — na przednim pomoście pojawił się właśnie jegomość z przepaską kontrolera.

Rozejrzałem się po sąsiadach.

— Przepraszam państwa. Czy ktoś nie byłby łaskaw odsprzedać mi biletu?

— O — powiedziała paniusia w komisowym stylu. — A gdyby nie kontrola, to co?

— Sam se kup, bajoku — mruknął trzydziestolatek. — Władza też handluje biletem. Wszystkiego pięć dych sztuka.

Odwrociłem się od głupio złośliwej gęby bez słowa, choć chętnie powiedziałbym mu kilka słów. Powtórzyłem swoją prośbę głośniejsze.

Dwoje młodych ludzi przy drzwiach udawało, że nie słyszą. Może rzeczywiście nie słyszeli. Kontroler zaś był coraz bliżej. Ale oto wyciągnęła się ku mnie szczerwieniła od mrozu, tłuśta i brudna dłoń z biletem. Poznałem: kwiaciarka z pobliskiego targu, zwana „Śpiewaczką”, jako że głos miała niczym wawelski Zygmunt.

— Kawaler bierze — zadudniła po zygmuntofsku. — Cena państwowa.

Podziękowałem z całego serca. „Śpiewaczka” roześmiała się. Natomiast paniusia w moherowym berecie i futrze z nylonowego lamparta skrzywiła pogardliwie wargi. Trzydziestolatek jakby się spieszył. Zdażyłem przestemplować bilet.

Kontroler należał zresztą do ludzi łagodnego usposobienia. Kiedy okazało się, że zagadana i zapatrzona w siebie para ma przeterminowane o dzień bilety miesięczne, zamiast wypisać mandat, wygłosił kilka zdań na temat obowiązku poszanowania przepisów. Równocześnie radził wysiąść na najbliższym przystanku, bo mogą trafić na większego służbistę.

„Śpiewaczka” przy okazji znów zahuczwała śmiechem jak dzwon.

— Panie władzo — rzekła. — Sam pan widzisz, co ja rozumiem. Dla nas jeszcze zima, a oni już som w maju. No nie, państwo młode? Kiedy ślub?

— W maju — rzekł młody człowiek.

— Idźże, idźże! — zaśmiała się partnerka.

Wysiedli posłusznie na najbliższym przystanku i już w tejże samej chwili omal nie doszło do dramatu. Wsiadali tylnymi drzwiami. Wsiadających było wprawdzie niewielu, ale za to czoło owej grupki stanowiło dwóch jegomościów. Pierwszy z nich, o gębie zapuchłej od wody, o maślanych, świńskich ślipiach, pchnął wysiadającą parę tak, że o mało nie spadli ze schodów.

— Którędy? — zachrypiał znanym mi basem. — Jak się... pchacie. Ja was... nauczę, którędy... się wysiada:

Stchórzyli. Zrobiło się cicho. Jedna „Śpiewaczka” spojrzała groźniej. Paniusia w lamparcie szybko zaczęła przepychać się ku przodowi. A ja poznałem ten głos. Brzmiał podobnie jak przez telefon. Obecnie jednak nabrał nowej, skrajnie chamskiej tonacji. Jego właściciel wzbogacił też słownik. Każdy pięciokropek cytowanych tu wypowiedzi wcale nie oznacza zastanowienia czy pauzy. Zastępuje określone, pięcioliterowe słowo.

Stukilowiec ciągnął za sobą chudego trzydziestolatka o zmarzłej twarzy, wychudłej postaci i wystraszonych oczach. Nim padło jego imię, już wiedziałem, jak się zwie: Leoś!

I rzeczywiście.

— Leoś — wołał bas prąc do przodu, jak zalany spychacz. — Ze mną nie masz się co obcinać.

Nie jestem purytaninem. Nie uciekam od tzw. „mięsa”. Czasem bez „takiego” czy innego słowa nie da się np. opowiedzieć dobrego dowcipu czy objechać kogoś w sposób przyjaźnie zabawny.

Ale nie cierpię, nie znoszę, nienawidzę chamstwa! Nie znoszę bluźgania rynsztokiem. Nie cierpię obrażania ludzi przez sam fakt świnienia wbrew i przeciw ludzkiemu poczuciu wstydu. Nienawidzę owego bluźgania rynsztokiem także dlatego, że są to po prostu objawy tępoty i mózgowego analfabetyzmu. Owi rynsztokowi mówcy to najczęściej idioci operujący setką słów, którzy nie umiając inaczej wyrazić swoich niby-myśli, „wzbogacają” własny słownik owym smrodliwym mięsem, kilkunastoma ordynarnymi świństwami jako słownikiem zastępczym.

W tramwaju, który już ruszył, zapanowała cisza. Rozejrzałem się za kontrolerem. Zniknął. I nawet szczególnie mnie to nie zdziwiło. Nie tak znów dawno obiegnęła prasę wiado-

mość o pobiciu jednego z kontrolerów przez kilku zapitych bydlaków. Skończyło się wprawdzie kilku wysokimi wyrokami, ale pobity ledwo wyżył.

Złamanie podstawy czaszki, trzaśnięte dwa żebra, wybite oko. Bili go przez cały nieludzki kwadrans, przez piętnaście śmiertelnych minut, przez dziewięćset nie kończących się sekund! Rzecz działa się na końcowym przystanku, w południowej porze, nie na pustyni. Świadców nie brakło. Byli wśród nich młodzi, zdrowi mężczyźni. Było ich więcej niż tamtych. I nie ruszyli palcem. Po prostu — z obojętności. A przede wszystkim ze strachu! W istocie stali się współuczestnikami zbrodni.

Jak to się prawnie nazywa? Chyba „zaniechanie obowiązku pomocy”. A jak nazwać ową obojętność i tchórzostwo uczciwym ludzkim językiem?

Z wnętrza przedziału znów rozległ się rynsztokowy bas Leosiowego szwagra.

— Miejsce — chrypiał — miejsce dla inwalidy.

— Ja bym go — zahuczał dzwon „Śpiewaczki” — ja bym go, pijanicę, sama przerobiła na inwalidę. Żebym była młodsza. Ale ci, co to mogliby zrobić, robią w portki. Co, panie silny? — zwróciła się do trzydziestolatka o tępych oczkach.

Nie dosłyszałem, czy i co odpowiedział, bo przeszedłem już do przedziału.

Nie było tu zbyt pełno. Kilka kobiet, trzy dziewczynki z niebieskimi tarczami, dwóch starszych facetów, paniusia w lamparcim futrze, trzech chłopców w moim wieku z tarczami któregoś technikum.

Zazwyczaj — wedle idiotycznego narodowego obyczaju — widok zapijaczonego faceta budzi uśmiechy. Ale tym razem nikomu nie było do śmiechu. Szwagier Leosia wyglądał zbyt groźnie. Co gorsza: zażądał miejsca „dla inwalidy”. A na owym miejscu siedziały dwie młode kobiety — ni ładne, ni ubrane, obie z pełnymi siatkami zakupów, obie teraz bardzo blade. Nad nimi zaś kotysało się ogromne chłopisko, jadąc wodą, chamstwem i podłym śmiechem silnego wobec słabych.

— Jazda! — darł się bas. — Wstawać bo tu przed wami inwalida! Zmęczony człowiek pracy! Wstawać, bo ja wam tu zaraz!

Nie ukrywam: bałem się. I to mocno. Jeszcze byłem sam. Sam wśród innych. Ale czułem, że blednę z wielkiego gniewu, bardziej niż tamte obie kobiety z miejsca dla inwalidów.

— Jezus, Maria — szepnęła jakaś starsza siwa pani. Z jej oczu zaczęły płynąć łzy.

Jedna z siedzących na inwalidzkim miejscu kobiet już chciała się podnieść. Ale ta druga pobladła widocznie nie ze strachu, lecz z gniewu. Przytrzymała koleżankę za rękę, popatrzyła prosto w krwawe oczka Leosiowego szwagra.

— Nie wstanę — powiedziała. — To miejsce nie dla takich...

Było chwalebnyim świadectwem dla owego chudego, wystraszonego Leosia, że spróbował działać.

Pociągnął szwagra za łokieć, potrząsnął jego ramieniem.

— Karol — powiedział. — Lolo, słuchaj...

Leos nie był jednak żadnym partnerem ani przeciwnikiem dla stukilowego, zapitego wieprza. Pan Lolo, mój telefoniczny znajomek, odepchnął Leosia gestem niby drobnym i lekkim. Tamten jednak poleciał jak po uderzeniu kopytem. Byłby padł na plecy, gdyby nie podtrzymali go dwaj chłopcy z technikum. Obaj mieli wypieki na policzkach. A szwagier Leosia wrzasnął do owej odważnej:

— Mam ci sam pomóc?

Zrozumiałem — nie ma chwili czasu do stracenia! Nie wolno czekać nawet sekundy!

Tramwaj wchodził właśnie w zakręt, dzięki czemu bydlakiem zatoczyło wstecz. Szczerśliwe nie trafił na nikogo z siedzących. Rzuciło go plecami na szybę. A ja uprzytomniłem sobie, że za kilka sekund, za kilkadziesiąt metrów, będziemy mijać bocznice, przy której jest komisariat. Jeśli uda się zatrzymać tramwaj na rogu owej bocznicy, posiłki przyjdą szybko. Chodziło już tylko o to, by dać motorniczemu sygnał i zdobyć choć jednego pomocnika.

Różnica wagi i uderzenia była po stronie pana Lola tak wielka, że choć miałem przewagę szybkości i refleksu, to jednak — jeśli nie uda mi się choć jeden unik — mogę wyjść ze sprawy mniej więcej tak, jak tamten kontroler z wybitym okiem i złamaną podstawą czaszki.

Jeszcze ciągle się bałem. Ale mój sufler wewnętrzny krzyknął słowo, na które czekałem: „naprzód!”

Złapałem jednego z technikum za rękę. Krzyknąłem:

— Boisz się?

Nie czekając odpowiedzi, wrzasnąłem:

— Dzwonić! Zatrzymać tramwaj!

— Dobra jest! — dosłyszałem radosny dzwonek „Śpiewaczki”. — Jazda, bajoki!

Uwiesiła się przy sznurze dzwonka. Dzwonek zaczął jazgotać jak cała sfera gończych. Równocześnie ta, która nie chciała ustąpić miejsca, zamachnęła się siatką z zakupami. Zamachnęła się i trafiła. W siatce było co najmniej dziesięć jajek owiniętych w gazetowy papier. Białka i żółtka przebiły papier i siatkę, trafiły w czoło, spłynęły na oczy Leosiowego szwagra.

— Chłopaki! — krzyknąłem. — Do przodu!

Poszli. Ja, dwóch z technikum i (to było najciekawsze) starszy siwy jegomość, chuchro sięgające mi zaledwie do brody, ale z bitewnym ogniem w wyblakłych oczkach.

Motorniczy dosłyszał alarm. Tramwaj hamował już z jękiem i zgrzytem. Leosiowego szwagra zarzuciło tym razem wprost na lamparcie futro paniusi, która zemdlała dokładnie i natychmiast.

A my? Już go dopadliśmy! Nadal centralną postacią dramatu była owa odważna, która nie pozwoliła się wysadzić z miejsca. Poprawiła siatkę. Tym razem do surowej jajecznicy doskoczył śledź, który na cudowny ułamek sekundy utkwiał w kłapciastym uchu Leosiowego szwagra.

— O,! — ryknął Lolo. — Ja wam zaraz

Jego klęska dokonała się w ciągu następnych trzech sekund. Dwaj z technikum uczepili się jego rąk, ja podbiłem kolana, a starszy pan z bitewnym ogniem w oczach i śmiesznym kapelutku na jajowatej głowie zadziałał bezbłędnie: trzepnął kantem dłoni prosto w tłustą grdykę Leosiowego szwagra.

— Jezus, Maria! — pisnęła radośnie starsza pani.

— Jezusie! — jęknął Leoś.

Kiedy tramwaj zatrzymał się na skrzyżowaniu z właściwą bocznica, pełna grozy przed chwilą tragedia przemieniła się nagle w czystą groteskę.

Stukilowiec leżał w przejściu. Łapał oddech w wielkim utrudzeniu i wódczanym smrodzie. Chłopcy z technikum siedzieli mu na łapach, ja na nogach, a jegomość w śmiesznym kapelutku trzymał Leosiowego szwagra za uszy.

Zadziwiły mnie zręczność i refleks starszego pana. Gdzie się tego nauczył? Z wieku wynikałoby, że mógł brać udział w walkach ulicznych. Dawny spadochroniarz? Cichociemny? Bojowiec?

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

— To było dobre! — sapnął.

Jeszcze przez moment musieliśmy natężyć wszystkie siły, bo powalone byczysko raz i drugi szarpnęło z dużą mocą. Jeden z chłopców odleciał w tył. Ale nie pomogło. W ułamku sekundy był z powrotem.

— Wołać milicję! — krzyknęła odważna.

— Milicjaaa! — zahuczała „Śpiewaczka”. Tak, to był g ł o s — co najmniej sto decybeli na sekundę.

A nas wszystkich nagle zaczął brać śmiech. Oto ów zapijaczony, groźny bydlak, który jeszcze przed minutą szalał tu niczym andaluzyjski *el toro* i na którego nie było niby mocnych — nagle z byka przemienił się w płacziwą owieczkę.

— Szanowne państwo — zaczął jęczeć. — Kochani! Nie róbcie krzywdy człowiekowi. Leoś! — błagał. — Leoś, pomóż!

Okazało się jednak, że Leoś nie pomoże, bo nie chce. Nachylił się nad szwagrem. O mało nie splunął.

— Dobrze ci tak! — syknął. — Możesz mnie...

Nie dopowiedział. Odszedł.

Natomiast znaleźli się inni obrońcy. Paniusia, która przebudziła się z omdlenia, nagle postanowiła okazać wielkoduszne serce.

— Po co od razu milicja?

Znalazł się też przy nas ów trzydziestolatek z tylnego pomostu.

— No co? — powiedział. — Napić się człowiek nie może? W ORMO się bawicie? Puście go.

Dostyszała owe słowa „Śpiewaczka”. Szarpnęła obrońcę uciśnionych za ramię, podsunęła pod nos pięść jak dwukilowy czerwony kalafior.

— A won stąd? — huknęła. — Chuligan chciał bić kobity. Wtedy ciebie tu nie było. Trząśłeś się jak wieprzowe nogi? A teraz co? Adwokat się znalazł? Już cię tu nie ma, bo...

I rzeczywiście — już go nie było.

A nas wszystkich ogarnął wielki, wyzwalający śmiech. Starsza pani, płacząca przedtem ze strachu i rozpacz, płakała teraz ze śmiechu. Dziewczynki z niebieskimi tarczami piszczały niczym sejm jaskółek. Starszy pan rżał kogucim falsetem.

Uciszyło nas dopiero pojawienie się przedstawicieli władz porządkowych z pobliskiego komisariatu. I oto okazało się, że jednym z nich jest mój wczorajszy znajomy, January Kowalski, plutonowy.

Ujrawszy, kogo przytrzymaliśmy, tylko się uśmiechnął. Nie był to uśmiech zbyt miły.

— A — powiedział — z n o w u pan Lolo? — I krzyknął: — Wstawać!

Pan Lolo — cicha teraz i niewinnie skrzywdzona owieczka — podniósł się. Zamiast odpowiedzieć, chlipnął. Plutonowy był niższy od niego prawie o głowę, ale pan Lolo z sekundy na sekundę malał. Jak tylko mógł, tak się starał przynajmniej kurczyć, zniżać, zdrabniać. I taki był już w końcu malutki, że zanikła tak niby widoma różnica wagi, wzrostu, sił, niemal do zera.

— Ostrzegałem! — mówił plutonowy. — Jeszcze w c z o r a j cię ostrzegałem, człowieku. I co? Znowu! Jeśli sprawca dopuścił się umyślnego występku o charakterze chuligańskim, to pan Lolo wie, co ja rozumiem. Artykułik 59. A jeśli groził innej osobie, to artykułik 166. A do tego jeszcze recydywka, czyli artykułik 60. Można podsumować? 166 plus 59 plus 60, razem 285. Co się znaczy, że ze trzy latka można się nie widzieć. A jeszcze wczoraj ostrzegałem, bo żal mi było twojej żony i dzieciaków. Ale coś mi się widzi, Lolitko, że trzeba im dać urlop od takiego tatusia i męża. Im i nam. No nie?

Pan Lolo znów chlipnął.

Plutonowy natychmiast z uwagą rozejrzał się po obecnych. Chyba nawet mnie rozpoznał. Oko mu błysnęło, ale zachował rzecz dla siebie.

Wyjął z raportówki spory notes.

— Kto z obywateli był świadkiem zaszłej tu zaszłości?

Jak wiadomo, narodek nasz uwielbia się gapić.

Czasem bywa to groźne i bydlęce, jak w wypadku owych tchórzów, którzy beczynn timer gapili się na mordowanie tramwajowego kontrolera. Ale bywają też gapie niewinni i wyłączenie gapiowaci.

Ci uwielbiają się gapić. W trudniejszych jednak sprawach też tchórzem. Kiedy to z gapia trzeba awansować na świadka. „Po co mają — powiada ten i ów — włóczyć mnie po sądach? Moja chata z kraja, nie widziałem, nie słyszałem, nie mam czasu”.

Tym jednak razem plutonowy January aż się zadziwił. Poza paniusią w lamparcim

futrze nie uchylił się nikt — ze „Śpiewaczką” na czele.

Plutonowy spisał dziewięć nazwisk, dziewięć adresów, łącznie z Markiem. Czyli ze mną.

Nie mogłem się uchylić. Ale znów poczułem zamęt w głowie: jak wybrnąć z tej piekielnej sytuacji, że Marek ma być świadkiem — i to jednym z głównych świadków — wydarzenia, którego świadkiem nie był? A więc panu Di znów udało się zrobić mi kawał — i to niegorszy. Rozejrzałem się dokoła, czy przypadkiem ktoś z obecnych nie błyska oczami, z których lewe świeci złotą iskierką, a drugie czerni się niczym wylot bezdennej studni.

Otóż nie! Tym razem nie dostrzegłem nikogo podejrzanego. Nie mogłem więc obciążać pana Di bezpośrednią odpowiedzialnością za nowy kłopot. Zrozumiałem też, że sam muszę wziąć ten kolejny bardzo ostry zakręt.

Tramwaj ruszył dalej. Do domu było już blisko. Znów upomniał się o swoje prawa żołądek. Dokupiłem do domowych zapasów konserwowy groszek i dwa kompoty, a przy kuchence gazowej i przy talerzach (wpierw dość pełnych — potem całkowicie pustych) spędziłem prawie dwadzieścia minut. Dalsze pięć poświęciłem na zmywanie i porządki w kuchni.

Oczywiście Markowe dżinsy musiałem rozluźnić w pasie o dobre kilka centymetrów. Równocześnie rozpoczął się znany proces anemizacji mózgu — mój mocno dopchany żołądek odciągał krew od głowy. Zrozumiałe: musiał przecie dać sobie radę z zupą ogonową, gołąbkami, groszkiem, podwójnym kompotem i sporym kawałkiem gorzkiej czekolady.

Nie pomogła nawet mała, ostra czarna. Ogarnęła mnie łagodna, bezmyślna senność. Wyłączyłem telefon rozwalilem się na tapczanie. Znów pomyślałem z tęsknotą o dobrym papierosie. Mimo że mózg uległ anemizacji, rozum jednak zwyciężył! Nie zapaliłem!

Kukułka z pokoju Krystyny wykukała czas: pół do piątej. Za oknami zrobiło się już mroczno, rozbłysły jarzeniówki, z dalekiego cienia wyłoniło się podświetlone reflektorami wawelskie piękno.

Przymknąłem oczy. Musiałem przymknąć je zbyt dokładnie, jako że kukułka nagle wykukała piątą. Czy to ona mnie obudziła? Nie. Dopiero po chwili zrozumiałem: dzwonek przy drzwiach.

Ogarnęła mnie ostra złość przebudzonego z drzemki człowieka. Postanowiłem — nie otworzę. Dość rozrywek. Krystyna i Marek mają klucze. Wszystkim innym zabraniam wstępu. Muszę przecie odpocząć, odetchnąć Muszę wrócić w swoją skórę. A wreszcie: muszę rozwikłać problem wagi zasadniczej.

Przecież wbrew własnej woli wrobiłem Marka w kilka sytuacji, które nie zamykają się dniem dzisiejszym.

Poczynając od sprawy Eli, a kończąc na przygodzie z panem Lolo!

Jak to zrobić, żeby Marek jako Marek z r o z u m i a ł, co się stało z nim jako mną. Żeby nie stanął przed światem jak wół przed wrotami Oksfordu czy Sorbony.

Dzwonek odezwał się znowu.

— Nic z tego — rzekłem ostro.

Odpowiedział natychmiast. Przyznaje: odzywał się skromnie, z niejaką pokorą, prosząco nawet. W dodatku zaczął odzywać się w szczególnym, skądś mi znanym rytmie. Nadal zachowywał skromny, cichy ton. Ale ów rytm? Kojarzył mi się z czymś niepokojącym: trzy krótkie, trzy długie, trzy krótkie. I znów: trzy krótkie, trzy długie, trzy krótkie.

Zerwałem się z tapczana, podbiegłem do półki z książkami, sięgnąłem po małą encyklopedię.

Dzwonek znów się odezwał w owym dziwnym rytmie, a ja odnalazłem poszukiwane hasło. Tak — to było SOS. Trzy krótkie, trzy długie, trzy krótkie. Czyli: ...---...

A więc prośba o pomoc! Wezwanie o pomoc!

Zakląłem, cisnąłem encyklopedię o ziemię. Przecież ktoś wzywa pomocy. Czy mogę odmówić? Nawet jeśli jest to tylko jakiś nowy kawał piekielskiego szarlatana — nie mogę!

Pobiegłem do drzwi. Otwarłem je.

Nie omyliło mnie przeczucie. Na progu czekał właśnie on, Mister Di.

Ale jakże zmieniony, jakże pokorny! Podniósł na mnie swoje oczy — złota iskierka bardzo przybladła, ciemność zszarzała. Wyglądał teraz na całkiem zwykłego, zmęczonego, starszego jegomościa. Odziany był dość nędznie i szaro. Przypominał zagubionego w wielkim mieście małomiasteczkowego turystę.

— To pan? — spytałem ostro. — Jakiś nowy chwyt? Zagranie na litość?

— Profesorze — odpowiedział cichym głosem. — Nie mam na co przysięgać. Ale przysięgam: przyszedłem prosić o pomoc. Jedynie o p o m o c.

Jeszcze mu nie wierzyłem. Ale mimo wszystko obudził we mnie litość. Czułem też, że (przynajmniej wobec mnie) jest już całkowicie bezbronny.

— Proszę.

Wszedł boczkim, skromnie, trzeźwo. Zdjął kalosze, wytarte paletko zawiesił na wieszaku. Nie poczułem zapachu żadnego alkoholu — ani Napoleona, ani jagodówki. Zaprosiłem więc do swego pokoju. Przysiadł skromnie na małym taborecie. Milczał.

— Słucham, Mister Di — rzekłem już łagodniej. — Przychodzi pan prosić o pomoc? Czyż to możliwe? I dlaczego do mnie? Chcę wiedzieć, czy to prawda?

Skinął głową.

— Tak.

— A więc... słucham.

— Profesorze — zaczął — przychodzę do pana, bo właśnie przez całą historię z panem jestem na bruku.

— Co?!

— Jestem — powtórzył — na bruku. Dostałem dymisję.

— Nie wierzę, Mister Di! — krzyknąłem. — Dymisję? Pan?

— Tak — szepnął. — Ja.

Zdumienie odebrało mi głos. Byłem niemal pewny, że nie kłamię. Ale niczego nie rozumiałem.

— Profesorze! — ciągnął dalej. — Musi pan wiedzieć, że mam za sobą niemałą karierę. Lista mych zasług jest długa. Wiele na niej sukcesów, z których część weszła nawet do historii światowej literatury. A mimo to...

— Dymisja?

— Wypowiedzenie dyscyplinarne.

— Dlaczego aż tak?

— Zgubiła mnie pewność siebie, pycha. A wreszcie swoisty konserwatyzm. Złamałem wiele przepisów. Złamałem nawet ustawę.

— Ustawę?!

— Właśnie! Albowiem musi pan wiedzieć, że w okresie wznoszącego niedowiarstwa, w okresie dwudziestowiecznej ofensywy laicyzmu nasze Zgromadzenie Ogólne uchwaliło ustawę o omijaniu i unikaniu starc z niewierzącymi. Ja miałem inne zdanie. Starłem się wprowadzić poprawkę do ustawy. Głosowałem przeciw. Trzymałem się swojej idei, którą wyłożyłem już panu w drodze z Rio do Genewy. Że także niewierzący mają swoje słabości, zabobony, przesady. Że, być może — tędy droga.

Umilkł. Otarł czoło. A nawet oczy.

— Słucham, Mister Di — powiedziałem ze współczuciem.

— Spotkaliśmy się, profesorze — ciągnął cichym głosem — przypadkowo. Ale przyjrzawszy się panu, postanowiłem zaryzykować. Zgłosiłem do Centrali: „pozwólcie na eksperyment”. Ostrzeżono mnie: w wypadku niepowodzenia zostaną wyciągnięte najsurowsze dyscyplinarne konsekwencje. I tu poniosła mnie pycha. Zgodziłem się, poszedłem na ryzyko. I...

— I przegrał pan.

— Całkowicie.

— Rozumiem.

Zdziwił się prawdziwie.

— Rozumie pan?

— Mister Di — rzekłem — chyba rozumiem. Pan chciał nie tylko zrobić mi diabelski kawał, ośmieszyć, wygłupić, wpędzić w zamęt życie moje i mojej rodziny. Pan musiał myśleć szerzej: wykazać, że nawet my, myślący o swym życiu całkowicie po ludzku, zamykający się między dniem narodzin a dniem śmierci, bez żadnego dalszego ciągu i metafizyki, potrafimy za waszym poduszczeniem narobić szkód, pogwałcić prawa, zrezygnować ze swego powszedniego człowieczeństwa. Tak pan myślał?

— Nie inaczej. Miałem już sporo dobrych doświadczeń.

— Ale przegrał pan.

Rozłożył ręce.

— Źle trafiłem.

— Nie — rzekłem ostro. — Proszę uprzejmie mnie nie przeceniać. Nie podbijać bębena. Pan musi wiedzieć, że i ja mam za sobą różne czarne dni, podłe słabości, że nie mam najczystszej sumienia. Wiedział pan?

— To była moja nadzieja.

Roześmiałem się nie bez współczucia zresztą.

— Mój drogi. Zapomniał pan, że człowiek, który powiedział sobie, że chce zrobić możliwie najwięcej, na ile go stać, i zamknąć to między dniem pierwszym a ostatnim swego życia... bez żadnych ulg i ułatwień w postaci żalu i rozgrzeszenia... bez żadnej, czyścicowej choćby pociechy na dalsze istnienie... że z takim człowiekiem może pan przegrać. Nie moja w tym zasługa. Przede wszystkim pański błąd. Jasne?

— Tak. Teraz jasne. Aż mi się czarno robi przed oczami.

Umilkliśmy na dłuższą chwilę. Za ścianą ktoś grał prościutki, łatwiutki menuet z *Handbuch für Anna Magdalena Bach*. Spojrzałem na biurko. Dostrzegłem na nim Markowy magnetofon — i oto naszła mnie chwila olśnienia.

W i e d z i a ł e m już, jak rozwiązać problem Marka i wszelkie te zawile sprawy — ja jako Marek, Ela, Ambroży, Lauda, pan Lolo. Na chwilę zapomniałem nawet o swym gościu.

Mister Di chrząknął nieśmiało:

— Profesorze. Pan mi otworzył drzwi, bo rozpoznał pan sygnał. Tak?

— Zgadza się — przypomniałem sobie. — Pan przyszedł prosić o pomoc. Ale nie bardzo rozumiem, w jaki sposób mogę...

— Może pan — przerwał. — Dostałem dymisję, jestem na bruku. Zostawili mi ludzką skórę. I zostawili samego. Ale, panie profesorze, ja wiem, że pan może mi pomóc. Pan ma swoje znajomości. A mnie pozostała drobna, lecz nie tak znów byle jaka resztką dawnych talentów i sztuczek. Wystarczy na całkiem niezły program iluzjonisty. Mogę zdać każdy egzamin, poćwiczę, mam też nowe pomysły. A jeden z pańskich przyjaciół jest dyrektorem „Estrady”. Zaś siostrzeniec pańskiej żony, ten młody reżyser, opracowuje także czasem programy cyrkowe. Prawda?

Gdyby nie jego zgnębiona mina, wybuchnąłbym potężnym śmiechem. Mister Di jako iluzjonista? I przychodzi po protekcję do mnie? Oto jeden z najbardziej nieprawdopodobnych kawałów, jakie mógł mi sprawić mój własny zyciorys.

Wstałem bez słowa, włączyłem telefon, wykręciłem potrzebny numer. Udało mi się — mój przyjaciel dyrektor „Estrady” odezwał się od razu. Poprosiłem go, żeby okazał przychylność pewnemu iluzjoniście, który zgłosił się z mego polecenia. Byleby zechciał go przyjąć — wtedy sam oceni, czy można coś z tym zrobić i czy kwalifikacje tego pana są istotnie wystarczające.

Mój przyjaciel, człowiek uroczy i przychylny ludziom, zgodził się od razu. Wyzaczył

dzień i godzinę, ja zaś pod dyktando uszczęśliwionego pana Di podałem jego nowe dane osobiste oraz pseudonim: Mister Di.

Nie będę powtarzał, jakimi słowami dziękował mi mój gość. Poza tym śpieszyłem się bardzo. Miałem jeszcze sporo roboty do chwili powrotu Krystyny i Marka. Wspomnę tylko, że na pożegnanie Mister Di spytał nieśmiało, czy zechcę (jeśli sprawy dobrze pójdą) przyjąć zaproszenie na jego pierwszy program.

Odpowiedziałem, że oczywiście, że tak, że będzie bardzo mi miło.

Po jego wyjściu natychmiast znów wyłączyłem telefon oraz dzwonek do drzwi. Na szczęście wiedziałem, że Marek ma spory zapas taśm. Ustawiłem sobie magnetofon obok fotela, przygotowałem do nagrywania, przygotowałem też taśmy.

Jeszcze chwilę zastanawiałem się, od czego zacząć. Od czego zacząć opowieść o tym wszystkim, co stało się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin, a o czym musi dowiedzieć się Marek i o czym tak czy tak opowiedziałbym Krystynie.

Początek, rzecz — wiadomo — najtrudniejsza. Tym jednak razem poszło łatwiej niż zwykle. Zacząłem po prostu tak:

„Szeryf Lordsburga, dwudziestoletni John Baker szedł środkiem opuszczonej ulicy...”

Długo trwała ta praca, minuta za minutą, godzina za godziną, taśma za taśmą. Dobrze wreszcie do następującego zdania „...na pożegnanie Mister Di spytał nieśmiało, czy zechcę (jeśli sprawy dobrze pójdą) przyjąć zaproszenie na jego pierwszy program. Odpowiedziałem...”

Kaloryfery grzały, pociłem się z trudu. Dawno już ściągnąłem z siebie golf Marka. Ochryplem goniąc czas.

Walczyłem, jak długodystansowiec walczy z kilometrami maratonu, w zapamiętaniu i transie.

I właśnie przy słowie „odpowiedziałem” obudził mnie z owego transu chrobot kluczy w zamku. Wyłączyłem magnetofon. Pobiegłem do drzwi.

To byli oni: Krystyna i Marek! Uśmiechnięci, zaróżowieni, pachnący mrozem.

Lecz oto nagle Krystyna spojrzała na mnie okrągłymi ze zdumienia oczami.

— W jakim ty stroju nas witasz?

I krzyk Marka:

— Tata! Moje dzinsy!

Był to okrzyk rozpaczliwy. Nic dziwnego — w jednej chwili dzinsy trzasnęły we wszystkich szwach i powoli osunęły się na ziemię. Stałem przed nimi w samych slipach.

Odetchnąłem — nie bez zawstydzienia, lecz z ogromną ulgą. Byłem znowu sobą!

Post scriptum: autor czuje się w obowiązku wyjaśnić, że wszelkie przedstawione tu wydarzenia i osoby są jedynie fikcją literacką. Ci natomiast Czytelnicy, którzy mieliby zastrzeżenia do ścisłości lub nieścisłości owej fikcji, proszeni są o zwracanie się ze swymi zastrzeżeniami listownie na adres następujący: Kraków, Poczta Główna, *Poste restante*, „Mister Di”.